

Joanna Sykat

*Cztery strony
miłości*

Przepięknie opisana historia skomplikowanych
relacji międzyludzkich. Serdecznie polecam

Edyta Świętek



Replika

Joanna Sykat

*Cztery strony
miłości*


Replika

Copyright © Joanna Sykat

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Monika Orłowska

Projekt okładki

Iza Szewczyk

Zdjęcia

<http://www.depositphotos.com/alphacell>

<http://www.depositphotos.com/LessLemon>

<http://www.depositphotos.com/SergeyNivens>

<http://www.depositphotos.com/Zaikina>

Skład, łamanie przygotowanie wersji elektronicznej

Maciej Martin

Wydanie I w tej edycji

ISBN 978-83-7674-380-6

Wszelkie wydarzenia i osoby, który pojawiły się w książce, są fikcyjne, a ich ewentualna zbieżność z rzeczywistością może być tylko przypadkowa i niezamierzona.

Wydawnictwo Replika

replika@replika.eu

www.replika.eu

Wtedy

– Masz zmęczone oczy – powiedział i dotknął moich powiek.

Spojrzałam na niego, a pokój rozmazał się do białych plam kserografu i czarnych mebli. Szymon ujął moją dłoń, a potem położył ją sobie na policzku. Bardzo długo nie wierzyłam kropli łzy, która powoli torowała sobie drogę do ciemnego zarostu mężczyzny.

– Zostawiłam na ksero! – Głos za cienką ścianą kazał mi wyrwać rękę z uścisku i odsunąć się o dwa kroki. Szymon pochylił głowę nad maszyną i powiedział beznamiętnie:

– Papier. Papier się zaciął. Zaraz spróbuję to naprawić.

Otwarte gwałtownie drzwi odskoczyły i do pokoju weszła Alicja.

– Znowu nawaliło, Szymonku? – zapytała. – Tyle razy mówiłam dyrekcji, żeby wreszcie zgłosić to do serwisu.

– Teraz to tylko wkręcona kartka. Da się zrobić. – Zanurzył rękę między tryby i wyszarpnął pognieciony arkusz.

Alicja zabrała z półki plik kserówek i zniknęła za drzwiami. Szymon powoli zamykał szufladę na papier, a ja złapałam torebkę i po prostu uciekłam. Bez słowa.

17 września 2015

Historie miłosne rozpoczynały się w najdziwniejszych miejscach i w najdziwniejszy sposób. Masz zmęczone oczy, powiedział Szymon i, choć broniłam się przed tą myślą z całych sił, wiedziałam, że w moim życiu rozpocznie się coś bardzo ważnego. Że już się rozpoczęło.

Wracałam wtedy do domu. Długo. Może nawet dłużej niż zwykle. Co chwila przytykałam dłoń do nosa, łowiąc zapach Szymona. Przesuwałam po niej opuszkami palców. Masz zmęczone oczy, powiedział. Masz zmęczone oczy. Nie: piękne, nie: niezwykle. Masz zmęczone oczy, powiedział z czułością. Te słowa były dużo więcej warte od wszystkich komplementów, którymi kiedyś mnie obsypywano.

Szłam wtedy przed siebie bezwolnie, nie zauważając świata. Rano nie widziałam go, bo... jak zwykle, potem nie dostrzegałam, bo... Szymon. Co? Dlaczego? Po co? Upychałam te pytania na tył głowy, podobnie jak niedawny obraz przytulonej do siebie pary. Drobną dziewczyna wyjrzała ku mnie zza ramienia Szymona i uśmiechnęła się, pewna swojego szczęścia. Więc dlaczego? Po co? Po co? Powtarzałam w myślach równoważniki zdań, nie będąc w stanie ani sformułować z nich pytań, ani tym bardziej znaleźć odpowiedzi.

– Grzeczność wymaga, żeby odwzajemnić pozdrowienie. – Gdzieś spoza moich rozważań dolatuje głos, którego nie chcę słyszeć.

Rozglądam się nieprzytomnie. Pan... (nie znam jego nazwiska) przygląda mi się z dezaprobatą. Jest starszy niż cały świat. Wolniutko szura nogami, przechylony na lewo. Jego pies też szura, ale zad ucieka mu na prawo. Kiedy idą obok siebie, kłaniają się dwóm stronom chodnika. Trudno ich minąć. Wchodzę więc na trawnik, mamrocząc „dzień dobry”. Pies stosunkuje się do mojego głosu ciemną kupą, która ląduje dokładnie na środku przejścia. Pan... złorzeczy pod nosem i wyjmuje z kieszeni reklamówkę. Śmiesznie odstawia sztywną nogę i próbuje się przegiąć na bok. Urękawiczone siatką palce zawisają wysoko nad psimi ekskrementami. Odchodzę. Trudno się patrzy na analogię do swojego życia. Kupa w otoczeniu słonecznej od nawłoci

jesieni jest... jak moje mieszkanie w świeżo wyremontowanym bloku. Z daleka widać ciemnoniebieskie obramowanie okien i kawowy odcień ścian. Za tymi czystymi szybami na parterze mieszka moje życie. Próbuję je posprzątać, ale zamiast środka szoruję kąty. Zawisam nad nim i... nie mogę go osiągnąć.

To dlatego do domu wracam najdłużej jak się da. To dlatego przed wejściem do budynku jeszcze przez moment pławię się w słońcu. Słucham ptaków, które nawołują się wysoko nad moją głową, a potem biorę głęboki haust powietrza i otwieram drzwi klatki.



Nie ma go, konstatuje po chwili stania pod zamkniętymi drzwiami pokoju. Dla pewności poruszam jeszcze klamką. Zamknięte! Czuję się jak złodziej we własnym domu. Tylko czekam, żeby wykorzystać okazję. Przekręcam prędko wszystkie zamki w drzwiach, zrzucam z nóg pantofle. Płaszczkiem nie trafiam na wieszak, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Szybko, szybko przemycam do łazienki świeczki i odtwarzacz CD. Rozbieram się w biegu, nie chcąc tracić ani minuty z darowanego mi czasu.

Dobry nastrój pryska dopiero w momencie, gdy zatykam odpływ wanny. Oczy zaczynają mnie boleć od wzbierających łez, a żołądek chętnie dołożyłby do brudnej emalii swoje trzy grosze. Szybko wyjmuję spod umywalki paczkę mokrych chusteczek i przykładam jedną z nich do tłustego paska w połowie wanny. Tuż przy odpływie dostrzegam skręcony włos i półksiężyc paznokcia, które brzydzą mnie tak bardzo, że przez chwilę mam ochotę wyjść z łazienki i w ogóle się dzisiaj nie myć. Trudno mi uwierzyć, że kiedyś na widok tego samego brudu miałam inne odczucia i że nawet lubiłam go sprzątać. Teraz mam ochotę zostawić cały ten gnój w wannie, łącznie ze zużytą chusteczką. Przecież, jeśli mu się zachce wziąć kąpiel, chyba najpierw to usunie?...

Przed zostawieniem bałaganu w łazience powstrzymuje mnie tylko dzisiejszy, drogeryjny zakup. Biegnę do torebki, w której czeka olejek arganowy. Złotawo i ciężko przelewa się w butelce, jakby mu się nudziło. Zdejmuję zakrętkę i wdycham słodki zapach migdałów, dodany do olejku. Aromat znieczula aż po czubek głowy, zubożnia na wspomnienie tłustego osadu na wannie. Zmień kołnierzyk, wracają do mnie słowa Blue i uszyty na miarę fartuch szkolny z kołnierzem na

guziki. Brud najbardziej odznaczał się na tym żorzetowym, który chłonał go jak bibuła atrament. Z czego to? Przecież się myję, patrzyłam zdziwiona na ciemną pręgę, która szpeciła materiał. Zwyczajnie, z włosów, z kurzu, mama wzruszała ramionami i wrzucała żorzetę do prania. Na drugi dzień czyściutki i wyprasowany kołnierzyk przypinałam do fartucha. Trzeba czyścić, prać, prasować...

Dlatego znowu biorę chusteczkę w dłoń i złuszczam naskórek wanny. Po chwili nie ma w nim śladu obrzydliwej historii. Jest tylko miejsce na rosnącą pianą wodę i zapach, który szybko przykleja się do ciała. Wnętrze dłoni pozostaje odporne na kosmetyk. W mojej pamięci, do tej pory, jest na nim tylko miejsce dla dotyku Szymona.

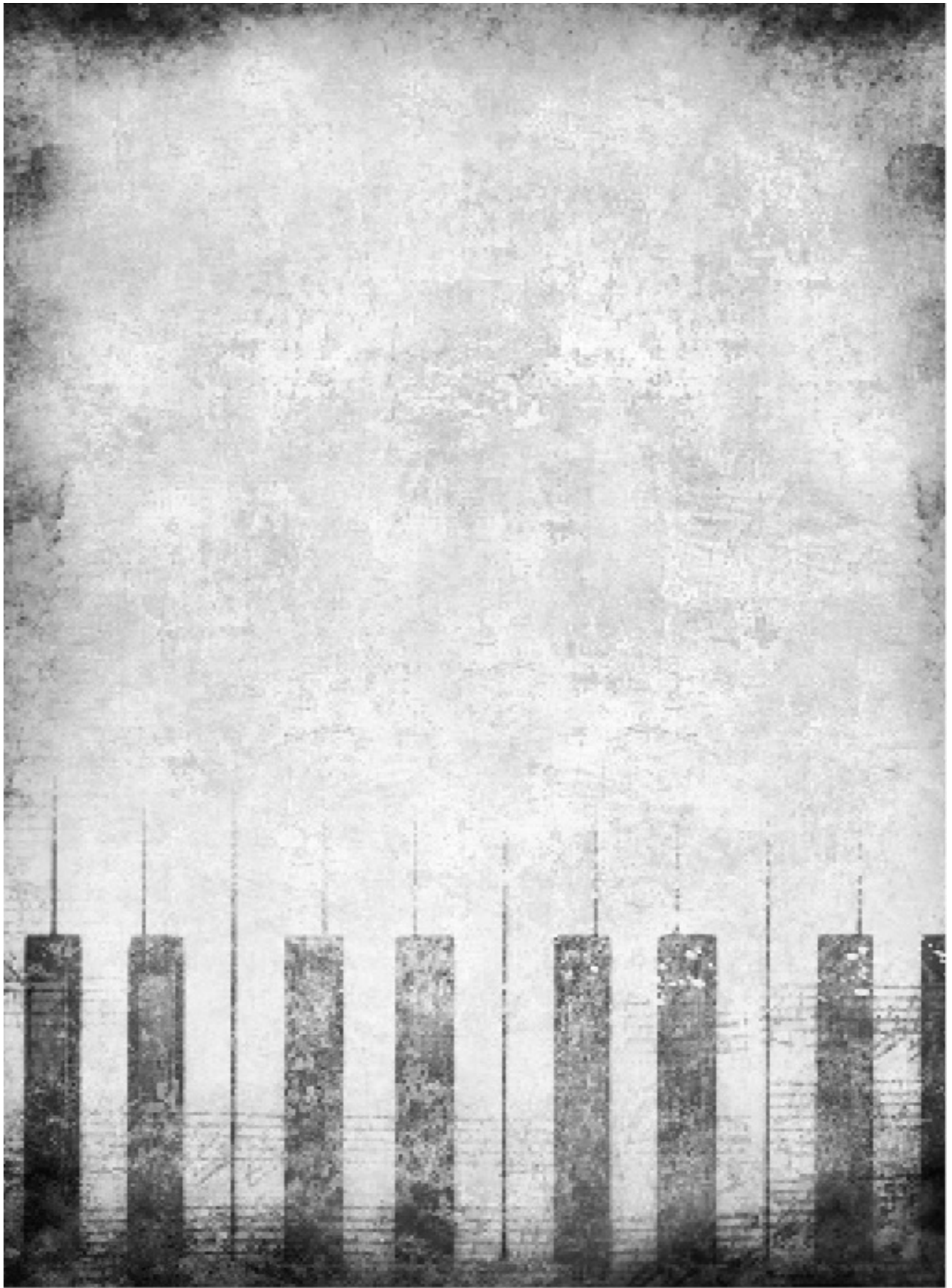
Ze snu, bo chyba zadrzemałam w kąpielni, budzi mnie stukot otwieranych zamków u drzwi wejściowych. Staję prędko na posadzce i trzęsę się z zimna tak mocno, że nawet puchaty, długi do ziemi szlafrok nie jest w stanie mnie ogrzać. Woda z resztkami piany ucieka do odpływu i tym razem to ja pozostawiam ślad po swoim ciele. Pojedyncze włosy na emalii wyglądają jak ciemne mikropęknięcia. Ale przypuszczam, że M nawet ich nie zauważy. Trudno powiedzieć, czy widzi cokolwiek.

Otwieram drzwi łazienki i wychodzę do przedpokoju. Chciałabym jeszcze szybko zrobić sobie kolację, ale widok siedzącego w garderobie mężczyzny odbiera mi apetyt. M jest pijany. Bardzo pijany. Widzę to po ręce, którą jeszcze trzyma w kieszeni mojego płaszcza, i po oczach, które się we mnie wpatrują. Gdy jest trzeźwy, nie patrzy na mnie nigdy. Teraz głowa kiwa mu się w przód i tył, a usta pełne są niewymówionych słów.

– Ty... ty... – Bełkot M, którego kiedyś nazywałam mężem, znika w mokrej nitce, sunącej ku podłodze. Ślina przyczepia się do linoleum i ciągnie za sobą bezwładne ciało. M jeszcze walczy z grawitacją na czworakach, ale ostatecznie pokonuje go struga wymiocin. Przez chwilę przygląda się jej jakby ze zdziwieniem, a potem wpada w nią głową i od razu zasypia. Walcząc ze wstrętem, zamykam drzwi od garderoby, choć wiem, że smród i tak ogarnie cały dom. O kolacji trudno mi już myśleć, więc idę prosto do sypialni, którą także zamykam. Na klucz.

Otwieram za to okno, bo noc zapowiada się pogodna. Krata

antywłamaniowa dzieli widok nieba i drzew na małe prostokąty. Ale dziś mi to nie przeszkadza. Paradoksalnie, gdyby nie ona, udusiłabym się w swoim codziennym więzieniu.



Wtedy

Szymon był konserwatorem w szkole, w której znalazłam zatrudnienie. Pamiętam, że gdy przyszłam do pracy pierwszego dnia, bezradnie rozglądałam się po korytarzu, nie wiedząc, dokąd najpierw powinnam pójść. Moje niezdecydowanie zauważył przechodzący obok mężczyzna.

– Mogę w czymś pomóc?

– Szukam sali muzycznej.

– A pani jest...? – Przełożył do lewej ręki zwój kabla, który zwisał mu spod pachy.

– Łucja... Nauczycielka muzyki.

– Szymon. Pracuję tutaj jako konserwator. – Uścisnął moją dłoń i uśmiechnął się tak miło, że od razu zniknęło moje uprzedzenie do brodatych mężczyzn. Wujek Gerard i jego kędzierzawy rudy zarost przestali straszyć. – Pani Łucjo, najpierw musi pani iść po dziennik. Pokażę, co i jak.

Poszłam za nim, onieśmielona, próbując od razu wbić sobie do głowy zawilosci korytarzy i schodów. Z zewnątrz szkoła nie wyglądała na dużą, jednak stare budownictwo – wysokie pomieszczenia i szerokie klatki schodowe – niosło wrażenie przestronności i dostojności. Cieszyło mnie to, że będę pracować w miejscu, któremu nie próbuje się nadać nowoczesnych rysów, gipsując te wyszlachetnione latami. Poręcz schodów była szersza niż moja dłoń, a palce aż świerzbiły, żeby zbadać gładkość marmurowych tralek.

– To jest pokój nauczycielski. – Szymon zatrzymał się i otworzył jakieś drzwi. – O tej porze nie ma tu już prawie nikogo – objaśnił puste krzesła ustawione wokół kwadratowych stolików. – A dzienniki ma pani tutaj. – Wskazał podzieloną przegródkami półeczkę. – Te odłożone osobno są właśnie przeznaczone dla zajęć dodatkowych.

Akurat wyjmował jeden z nich, gdy drzwi się otworzyły, a do pokoju nauczycielskiego wpadła z impetem jakaś kobieta.

– Pani Łucja? – Nie czekając nawet na potwierdzenie, wyciągnęła do mnie rękę, szybko się przedstawiając. – Dyrektorka prosiła, żebym ci pokazała, co i jak. Możemy sobie mówić na ty? – Nie zdążyłam nawet kiwnąć głową, bo Alicja pobiegła już do następnego tematu: – Zapomniałam o tobie zupełnie, ale widzę, że nasz Szymon stanął na wysokości zadania. Buziolo. – Cmoknęła w stronę kolegi, zerwała z haczyka klucz i pociągnęła mnie za ramię. – No to chodź, zaprowadzę cię do muzycznej i opowiem trochę o twoich uczniach. Wierz mi – zachichotała – jest o czym.

Zanim dotarliśmy do sali, w której miałam prowadzić zajęcia, rozboleła mnie głowa od natłoku informacji i... intensywności Alicji, którą tłumaczyłam sobie szefowaniem teatrowi szkolnemu. Mniej więcej w połowie drogi wyłączyłam się z czynnego słuchania i tylko podążałam za koleżanką, która chyba niczego nie umiała robić wolno. Nawet chodzić. Rozcierając skronie, zastanawiałam się, jak przetrwam te najbliższe cztery godziny. Cztery bardzo ważne godziny, od których zależało wiele.

– No dobrze. – Ala wreszcie się zatrzymała. – Wiesz już, gdzie jest pokój nauczycielski, wiesz, gdzie ksero. A tutaj jest twoje miejsce pracy. – Niemal wepchnęła mnie do sali i odbiegła do siebie tylko wiadomych spraw, krzycząc: – Powodzenia!

Pokoik był maleńki. Właściwie mieściło się w nim tylko pianino, obrotowy taboret, stolik i szafka na nuty. Położyłam na niej torbę i wyjęłam ze środka plik kartek zadrukowanych muzycznym alfabetem. Żeby pokonać stres, podniosłam klapę instrumentu i przejechałam palcami po klawiszach, które ułożyły się w moją ukochaną melodię. Włosy zsunęły mi się z ramienia na policzek i załaskotały. Odrzuciłam głowę na bok, kątem oka rejestrując stojącą w drzwiach postać.

– Chciałem zobaczyć, czy Twister Alicja pani nie zamęczyła. – Szymon odezwał się dopiero po chwili. Miałam wrażenie, że choć stoi obok, powraca z jakiegoś stanu półświadomości. – Gdyby pani czegoś potrzebowała, do dwudziestej drugiej siedzę w piątce.

– Dziękuję. – Skinęłam głową. – Naprawdę bardzo dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy. – Zamknął już drzwi, by znów je uchylić. – Proszę

mi jeszcze tylko powiedzieć, jaki jest tytuł utworu, który pani grała. W życiu nie słyszałem nic piękniejszego.

Uśmiechnęłam się.

– To Ballada dla Adeliny, panie Szymonie.

Kiwnął głową i tym razem na dobre zamknął drzwi. Nim pojawiła się pierwsza uczennica, zdążyłam zagrać Adelinę jeszcze raz. Tym razem grałam ją nie tylko dla siebie. Bardziej chyba dla młokosa w czerwonych trampkach, na którym zrobiła takie wrażenie.



Czerwone trampki Szymona fascynowały mnie. Miały w sobie jakiś spokojny luz, właściwy tylko ludziom młodym, i przywodziły na myśl studenckie wędrówki, które odbywałam tak dawno, że chyba nigdy. Ile to już lat temu zamieniłam trampki na elegantsze obuwie? Zawsze wyczyszczone, grzecznie ustawiane w przedpokoju i tak samo grzecznie wystające spod sukienki czy spódnicy. Zawsze podobne do siebie, z kwiatowym bądź koronkowym wzorkiem. I zawsze wyglądające na nowe, z doskonale zapastowaną historią dnia poprzedniego. Buty Szymona ze śladami brudnych mikropęknięć i startymi podeszwami były pełne życia i tras, z których zebrały kurz. Często, gdy rozmawiałam z tym chłopakiem, czułam, że mnie zwiedza. Że jego trampki stoją przed szybą wystawową, za którą ustawiono moje pantofelki – muzealny eksponat. Potem Szymon odbiegał do swoich spraw, a ja, choć także ruszałam do zajęć, miałam wrażenie, że stoję w miejscu jak manekin z wygładzoną pudrem twarzą. Albo że idę, ale wszędzie niosę ze sobą szybę ochronną i karteczkę z napisem „nie dotykać”.

Często wydawało mi się, że Szymon próbuje mnie zza tej szybki wystukać. Życzliwy tak samo jak wobec każdej przechodzącej osoby, zawsze witał mnie pozdrowieniem i ciepłym uśmiechem. Tajałam powoli w sobie, ucząc się bezinteresownej życzliwości obcych ludzi, i rozsuwałam brak zmarszczek nieśmiałym uśmiechem. Bo zmarszczek, pomimo trzydziestu siedmiu lat, nie miałam. Ani tych od śmiechu, ani tych od płaczu. Po odejściu Piotra obiecałam sobie, że płakać nie będę. Ale powodów do radości też raczej nie miałam. Ot, stara panna (czułam się właśnie starą panną, a nie eufemistyczną i entuzjastyczną singielką), z gładko rozczesanymi włosami

i dziennikiem w dłoni.

Dlatego zastanawiałam się, co we mnie mógł zobaczyć Szymon. Bo po dwóch miesiącach pracy w szkole byłam już pewna, że jego życzliwość i pozytywny stosunek do świata nie są jedynymi uczuciami, jakie zaczął mi okazywać. To zwiedzanie... Nie potrafiłam znaleźć innego słowa na określenie zachowania Szymona. Jeszcze obejmował dłońmi talię swojej Doroty, jeszcze przeciągał między palcami jasne pasma jej włosów. Jeszcze zauważał opuszkami jej owal twarzy, ale jego oczy były ciekawe już mnie.

Ciągle próbował być blisko, tak jakby zupełnie nie bał się zetknięcia z obcym przecież ciałem. Poruszaliśmy się w tej centymetrowej nieraz przestrzeni między naszymi dłońmi bardzo często. Ja – pewna bezpiecznej granicy swojego wieku i niebojąca się dotyku tyle lat młodszego od siebie mężczyzny. Szymon – spokojny i nieuciekający wzrokiem – sprawiał wrażenie przyjaciela, do którego mogłam pójść z każdym problemem. Nieważne, czy chodziło o zepsute ksero czy okno, które nie chciało się zamknąć. Częściowo było to uzasadnione porą dnia, w której pracowałam. Popołudniami w szkole odbywały się już tylko zajęcia dodatkowe: kółko teatralne Alicji, warsztaty fotograficzne prowadzone przez Tomka i moje lekcje muzyki. Z Alicją jakoś nie połączyły mnie cieplejsze więzy; jej pozytywne ADHD nieprzyjemnie uderzało w moją potrzebę komfortu w otoczeniu. Od Tomka też wolałam się trzymać z daleka. Jego bardzo intensywna męskość i pewność siebie przerażały i przypominały, że wciąż mam ciało, które domaga się uwzględniania swoich potrzeb. Szymon był bezpieczny, a raczej bezpieczny dla mnie był jego wiek. To dlatego nie bałam się prosić go często o pomoc. Bo co mógł sobie pomyśleć on lub ktoś stojący z boku? Nic, zupełnie nic. Ot, uczynny chłopak, który pomaga kobiecie w słusznym wieku.

Być może to właśnie dlatego pewnego dnia dałam mu się zaprosić na herbatę. Po ostatniej, upiornej lekcji z Agnieszką musiałam się przed kimś wygadać. Smarkula wychodziła ze skóry, żeby tylko uprzykrzyć każde zajęcia. Tamtego dnia nie chciała nawet usiąść do pianina, twierdząc, że zapomniała nut, a z pamięci jeszcze nie umie grać.

– Proszę, to jest moja kopia.

Agneszka wzięła ją do ręki, niby uważnie czytając. Jednocześnie

podniosła do ust kubek z wodą i nawet nie markując wypadku, oblała nią siebie i nuty.

– Przepraszam! Przepraszam. Taka jestem niezdarna. Zaraz wysuszę.
– Wygrzebała z kieszeni chusteczkę higieniczną, rozłożyła kartkę na stoliku i zaczęła ją delikatnie osuszać. Nuty uciekały z papieru, niknęły w dziurach, z których wyglądał blat. – Ojej! Nie wiem, czy tu było cis czy zwykłe c...

– Chyba mam gdzieś jeszcze jedną kopię. – Próbowałam nie dać się sprowokować i szukałam w teczce nut do sonatiny. – O, proszę! – Położyłam kolejny zadrukowany arkusz na podpórce, przekładając równocześnie kubek Agnieszki na stolik. – Tak na wszelki wypadek. Dzisiaj jest chyba dzień niezdarności, bo sama rozlałam przed chwilą sok. Proszę, Agnieszko, zacznaj. Mam ci rozpisać liczenie?

Naburmuszona dziewczyna posłusznie uderzyła w klawisze, naciskając jednak f zamiast fes.

– Agnieszko, zerknij na początek pięciolinii. Jest tam bemol. Widzisz? – Pokazywałam jej odpowiednie miejsce. – Zacznij, proszę, jeszcze raz, pamiętając o fes.

– Jakie fes? – Patrzyła na mnie jak na niedouka. – Pani ma złe nuty. Na tamtych nie było żadnego fes.

– To te same nuty, zapewniam cię. Nie ma w nich żadnego błędu.

– Na tamtych nie było fes – powtórzyła uparcie. – Zarzuca mi pani kłamstwo? – Spojrzenie dziewczyny odpychało na równi z głosem.

– Nie zarzucam ci kłamstwa. Ale w kwestiach muzycznych wiem trochę więcej od ciebie i powinnaś mi zaufać, zamiast niepotrzebnie tracić czas lekcji. – Nie nawiązywałam z nią kontaktu wzrokowego, licząc, że tym ją spacyfikuję. – Agnieszko, zostało nam kilkanaście minut. Przegraj, proszę cię, ten kawałek do końca.

Uczennica odwróciła się w stronę pianina i złożyła ręce na piersiach. Jedynym objawem tego, że żyje, było poruszanie się krótkich rzes, które nieudolnie próbowała przedłużyć tuszem. Cicho westchnęłam, zastanawiając się, po co rodzice zmuszają do pianina kogoś, kto tak bardzo tego nie chce. Po tylu latach praktyki umiałam bezbłędnie odczytać, a raczej usłyszeć, intencje każdego ucznia tak samo dobrze jak nuty.

W takiej atmosferze bezruchu przesiedziałyśmy do końca lekcji,

którą obwieściłam z ulgą. Agnieszka odrzuciła do tyłu kręcone włosy i powiedziała:

– Nie wiem, czy mama będzie zadowolona z tego, że przez całą lekcję nawet nie kiwnęła pani palcem.

– Do widzenia, Agnieszko. – Udałam, że nie słyszę. – Mam nadzieję, że za tydzień pójdzie ci lepiej. Dziś zaznaczam ci kompletne nieprzygotowanie – dodałam, żeby upewnić smarkulę, że w razie czego powiem swoje słowo przeciwko jej oskarżeniom. Zazaczyłam w dzienniku np i dopisałam przy nim datę. Ten sposób podpowiedziała mi Ala już przy pierwszym spotkaniu.

– Asekuruj się, bo zapewniam, że chętnych do kontaktu z tobą rodziców będzie wielu – poradziła, a ja po kilku lekcjach przyznałam jej rację i zaczęłam odliczać czas do końca roku szkolnego.

Przez chwilę po wyjściu Agnieszki siedziałam bez ruchu, postarzała o kilka lat i zniechęcona do dalszej pracy pedagogicznej. Potem machinalnie spakowałam torbę, zabrałam dziennik i opuściłam salę.

W pokoju nauczycielskim Tomek siedział nad jakimiś papierami.

– Ciężki dzień? – zapytał.

– Uhm. – Wsunęłam dziennik w odpowiednią przegródkę i włożyłam płaszcz, wyciągając włosy spod kołnierza.

Tomek odsunął się od stołu i klepnął ręką w mocne udo.

– Chodź, mała. – Wykonał zachęcający ruch głową. – Takie lalki jak ty potrzebują dobrego miejsca, żeby się wyplakać. Chyba specjalnie założyłem dziś podkoszulek. Lepiej chłonie łzy niż koszula.

Ładny był z tymi równymi zębami i blizną, która uwidaczniała jego lewą brew. I na tym spostrzeżeniu poprzestałam.

– Spieszę się. Ale dziękuję za propozycję. – Z ulgą zostawiłam Tomka za zamkniętymi drzwiami, choć myśli nie chciały się odczepić od mocnych ramion mężczyzny, które jeszcze przed chwilą mi oferował.

Odgłos moich kroków ciężko odbijał się od podłogi i zwielokrotniał echem. Patron szkoły zerkał ku mnie spod opadających powiek, pewien swego zasłużonego miejsca we wnęce korytarza. I tylko ja czułam się tu zupełnie nie u siebie. I w pracy, i nie w pracy, bo przecież trudno było nią nazwać dwanaście godzin tygodniowo na zlecenie i w dodatku w czasie, kiedy inni ludzie siedzą już w domu. Trudno było mi nawiązać relacje z uczniami, wysyłanymi na lekcje

głównie po to, aby zaspokoić ambicje rodziców. Chyba tylko jedna osoba przychodziła na nie chętnie i była zawsze przygotowania. Beatka, moje światło w mroku.

– Ciężki dzień?

Aż się wzdrygnęłam na słowa, które usłyszałam po raz drugi. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że w drzwiach od kanciapy woźnego stoi Szymon. Nie proponował kolan, nie podrywał głupio, tylko patrzył na mnie z tą swoją zwykłą życzliwością.

– Agnieszka – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Kiwnęłam głową.

– Chyba nigdy dotąd nie zdarzyło mi się pracować z tak wstrętnym bachorem – wypaliłam szczerze, choć może nie do końca na miejscu.

– Tutaj każdy myśli o niej tak samo. – Uśmiechnął się. – Mała, kameralna szkoła. Wszystko widać jak na dłoni. Twoja uczennica przed chwilą przeleciała tędy jak furia i nawet kopnęła w drzwi. Dlatego zastanawiałem się, w jakiej formie jest nauczycielka. Napijesz się herbaty?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem. Zaczerwienił się lekko i uciekł wzrokiem.

– Przepraszam. Jakoś tak mi się wyrwało...

Patrzyłam na niego z coraz większą sympatią. Tomek, być może z racji swojego wieku, od pierwszego dnia bezceremonialnie nazywał mnie lalką. Szymon zawsze odnosił się do mnie z szacunkiem. Może dlatego spontanicznie wyciągnęłam rękę.

– Łucja.

– Szymek. – Mocno objął moją dłoń, a potem zapytał: – To, co? Herbata?

– Z chęcią. – Wsunęłam się do kantorka i usiadłam na wskazanym krześle, rozglądając się dyskretnie po wnętrzu.

Zaadaptowane pod skosem schodów pomieszczenie było przytulne, choć niemal każdy jego centymetr kwadratowy zagospodarowany był najróżniejszymi przedmiotami. Dwa pokaźne imadła trzymały się brzegów konserwatorskiego stołu, a z zawieszonych nad nim kieszonek wyglądały młotki i przeróżne śrubokręty. Szymon miał do swojego użytku czajnik i dwupalnikową kuchenkę, na której akurat coś się gotowało. Zauważył moje spojrzenie.

– Czasem siedzę tutaj w nocy, kiedy rozchoruje się stróż. I dlatego to – kiwnął kuchence głową – i tamto. – Wskazał kciukiem ką, w którym stał rozkładany fotel. – Zwykła czy zielona? – zmienił temat, bo akurat woda w czajniku zawrzała.

– Zielona.

Patrzyłam, jak sprawnie porusza się w ciasnocie klitki i w milczeniu parzy herbatę. Obserwowałam jego szczupłą sylwetkę, a Dorota obserwowała mnie. Zdjęcie zawieszona było dokładnie nad półeczką z kubkami i, miałam wrażenie, bardzo wyraźnie zaznaczało swój stan posiadania. Ale kiedy jest się długonogą, młodą i śliczną kobietą, zapewne można wszystko.

– Proszę. – Szymon postawił przede mną kubek malowany w maki. Obróciłam go delikatnie dokoła i uśmiechnęłam się do tych kwiatków. Takie były ładne!

– Podoba ci się?

Skinęłam głową.

– Herbata z takiego kubka musi smakować wspaniale. – Upiłam łyk napoju. – Z malinami! Moja ulubiona! – ucieszyłam się szczerze.

– To już wiem o tobie dwie rzeczy. – Chłopakowi błyszczały oczy. – Lubisz maki i maliny.

Roześmiałam się, czując, jak napięcie dnia schodzi ze mnie bardzo szybko. Nie pamiętam, o czym dokładnie potem rozmawialiśmy i jak długo, bo wspomnienia całkiem zatarł męski dotyk. Gdy dopiliśmy herbatę, Szymon wyciągnął rękę po kubek, a potem palcami objął naczynie, sięgając mojej dłoni. To już nie był kurtuazyjny, nic nie znaczący gest powitania. Mężczyzna, zaledwie muskając mnie opuszkami, dotykał całym sobą. Wiedziałam o tym ja i tym bardziej wiedział on.



Świat wspomnień jest tak cudowny i ciągle tak bardzo żywy, jakby to wszystko zdarzyło się nie pięć lat temu, ale wczoraj. Obrazy w mojej pamięci, choć nakładają się jeden na drugi, pełne są tylko Szymona i wczesnej wiosny, której nie dałam rady nie zauważać. Czy kiedykolwiek było tak żółto od forsycji? Czy ja w życiu widziałam takie migdałowce? A bez, który kolorem i zapachem mieszał mi w głowie i sercu? I nie dawał spokoju nawet w sali muzycznej, w której Szymon

nauczył się zostawiać otwarte okno?

Takie to byłoby banalne i nie w moim stylu, zakochać się na wiosnę. Czy rzeczywiście absolutnie każdego, prędzej czy później, musiał dopaść taki schemat? Zmusić do odrobienia zadania z wiosennej miłości? Jeżeli już, to ja wolałbym wcześniej. Te przynajmniej piętnaście lat temu, kiedy mogłam do woli całować się na parkowych ławkach, a ciało, oporem na grawitację, zgadzało się z twarzą i poglądami na świat. Później, kiedy i jedno, i drugie, i to trzecie obrasta tłuszczem schematów, doprawdy trudno już robić dyplomy i repetować zaległe klasy.

Szymon nie dawał mi spokoju. Bez też robił swoje. A gdy któregoś dnia na pianinie zakwitła wilgotna, fioletowa kiść, nawet muzyka nie była w stanie na trwałe przykuć moich myśli i uczuć. Beacie palce plątały się po klawiszach jak nigdy, a utwór za nic nie chciał wybrzmieć do końca. Z westchnieniem, raz po raz, wracała do początku zapisu nutowego, ale ani oczy, ani dłonie nie chciały jej słuchać. Patrzyłam, jak ta drobna, śliczna dziewczyna denerwuje się swoim roztargnieniem. Wreszcie zamknęła klapę pianina.

– Nic z tego dziś nie będzie. Nie mogę się skupić.

– Wiosna?

Westchnęła.

– Wiosna i... Paweł.

Od jakiegoś czasu byłam wtajemniczona w sprawy sercowe osiemnastolatki. Któregoś dnia tak po prostu, chwilę po zakończonej lekcji zaczęła mówić o koledze, w którym się zakochała. Byłam zdziwiona jej otwartością; w końcu dziewczyny w jej wieku ze swoich problemów zwierzają się rówieśnikom, a nie rodzicom czy tym bardziej nauczycielom. Ale pozwoliłam jej mówić. Nie musiałyśmy się spieszyć, bo Agnieszka odwołała lekcję, z czego byłam bardzo rada. Wolałam nie zarobić niż przez czterdzieści pięć minut znosić tę arogancką, głupią dziewczynę.

Usiadłyśmy wtedy z Beatą pod ścianą. Ona przyciągnęła nogi do brody, mnie łatwiej było siedzieć bokiem.

– Paweł... zakochał się w mojej najlepszej przyjaciółce. – Chudziutkie ramiona zadrżały, a ciemne oczy pełne były smutku i pytań, na które nie umiałam udzielić odpowiedzi.

Biedna mała. Los podwójnie wykiwał ją na dzień dobry, bo i przyjaciółka, i ten chłopak. Swoją drogą, nie mogłam zrozumieć, jak ktoś mógł nie chcieć tak ślicznej i mądrej dziewczyny. W dodatku utalentowanej muzycznie. Nie wiedziałam, co mogłabym jej powiedzieć w sytuacji, w której każde słowo wydawało się banałem. Na szczęście Beata poradziła sobie sama, choć od jej westchnień chyba nawet klawisze dostawały gęsiej skórki.

– Jakoś się z tym uporam – stwierdziła w końcu i uśmiechnęła się blado. Pomyślałam, że chciałabym mieć taką córkę jak Beata.

Gdybym mogła przewidzieć, że parę miesięcy później sprawy poukładają się tak, jak się poukładały, nigdy nie dopuściłabym do takiej zażyłości z uczennicą. I pewnie nie pozwoliłabym, żeby Szymek zbliżył się do mnie bardziej niż na odległość tego malowanego w maki kubka. I żeby w ogóle zrobił mi tę herbatę.

Nie, nieprawda. Pozwoliłabym. Drugi, trzeci i nawet dziesiąty raz.

20 września 2015

Tej nocy wspomnienie dotyku Szymona nie pozwala mi zasnąć. Głośno odkręcam zamek w drzwiach i czekam. Wiem, że przyjdzie. Ale nie od razu.

Pół godziny potem otwierają się drzwi do mojego pokoju. M wchodzi, odsuwa zasłonkę nad łóżkiem i kładzie się obok mnie. Naszym jedynym rytuałem jest brak rytuałów i to, żeby nie patrzeć sobie w oczy i nie dotykać ustami ust. Takie intymności są już nie dla nas. Może dlatego i wstyd jest ostatnią rzeczą, o której myślę w trakcie naszego stosunku. Oboje potrzebujemy seksu, co do tego jesteśmy zgodni. Ja... chciałabym czegoś więcej, ale milcząco dostosowuję się do M. Jak najszybciej. Jak najmniej dotyku. Przewracanie się pod kołdrą, która pamięta naszą miłość, jest niczym seks w kościele. Rano zmienię poszewki i dobrze naciągniętym prześcieradłem okadzę łóżko.

Po wszystkim obracamy się plecami do siebie. M szybko wkłada piżamę i wychodzi bez słowa. Zostaję sama w rozgrzanej pościeli, z zapachami, które dopiero teraz przyprawiają mnie o wstyd, niesmak i refleksję, że tak dalej być nie może. Skrzyp łóżka M rozlega się jak wystrzał. Jak policzek, na który nie wiem czym zasłużyłam.



Wtedy

W małej szkole nie widywać się było trudno. Mogłam, co prawda, wchodzić na drugie piętro innymi schodami niż te, pod którymi znajdował się kantorek Szymona, ale to i tak nie zmieniało niczego. Myślam wracałam do początków pracy, do tej swobody, z którą kiwałam głową Szymkowi na powitanie i potrafiłam się do niego uśmiechnąć. Tak zwyczajnie uśmiechnąć. Od czasu naszej rozmowy przy herbacie malinowej zmieniło się dużo. I, o ile wcześniej nie rozumiałam Szymonowego zainteresowania moją osobą, o tyle potem nie potrafiłam zrozumieć jego braku. Tej powściągliwości w zachowaniu, do której, oczywiście, się dostosowałam.

Mijaliśmy się chyłkiem jak pogryzione psy. Szymon unikał mojego spojrzenia, ja nie narzucałam mu się w żaden sposób. Wycofani na bezpieczne pozycje, pozostaliśmy co prawda przy mniej oficjalnej formie zwracania się do siebie, ale brzmiała ona chropawo i nienaturalnie. Tak chropawo i nienaturalnie jak moje myśli z tamtego okresu, kiedy próbowałam jakoś je oswoić. Ubrać w słowa, które nie umiały nawet poskładać się w całość, a co dopiero wyjść przez usta i trafić potem w czyjeś uszy. Tylko właściwie dla kogo miałam sobie zadawać ten trud? Znajome wychowywały dorastające dzieciaki, były po rozwodzie lub w trakcie rozpraw. Ja ciągle nie nadażałam za nimi z obowiązującymi tematami. Nie miałam do powiedzenia nic ciekawego. Ani w kwestii zielonych kupek, ani problemów z matematyką, ani pierwszych papierosów czy znalezionej w komórce męża SMS-a od jakiejś Patrycji. Wprawdzie był czas, kiedy do bórem tematu dystansowałam koleżanki, ale romans z dzieciatym i żonatym Piotrem na szczęście miał krótkie ramy czasowe.

Blue śmiała się z moich problemów, a właściwie bardziej z inercji, którą przejawiałam podobno od samych narodzin.

– Tobie można było zabrać wszystko. Zabawkę, smakołyk czy nawet

buty zdjąć z nóg – podsumowywała mnie z dobroduszną ironią. – Nigdy nie umiałaś walczyć o swoje i nie protestowałaś ani płaczem, ani krzykiem, gdy działa ci się krzywda. Otwierałaś tylko szeroko te swoje oczy i zamierałaś w stuporze na minuty czy godziny.

Nawet na lata, Blue – dodawałam w myślach. Przez całe lata potrafiłam pić piwo, którego nawarzyłam sobie niekoniecznie sama.

– Ty jesteś dobra do łóżka – skomentował mnie z innej strony, choć w całkiem podobnym sensie, Piotr. – Taka lala z dużym cycem, który można przykryć włosami. Ale drewno, rozumiesz, jest dobre tylko do tego. – Wulgarnym gestem dokończył myśl. – I tylko na chwilę.

Zwymiotowałam mu wtedy na buty. Do tej pory szczegółowo pamiętam tę naszą ostatnią randkę, choć miała miejsce z dziesięć lat temu. Piotr zrywał wtedy ze mną nieelegancko, a ja bezgłośnie otwierałam usta, by jednak w końcu wyrazić swoje zdanie. Na doskonale wyczyszczone męskie półbuty poleciał zjedzony wcześniej lunch i czerwone wino.

– Nawet nie potrafisz powiedzieć mi „Spierdalaj” czy choćby „Idź do diabła”. Albo chociaż się rozpłakać. – Piotr spokojnie polewał buty wodą mineralną. – Umiesz tylko grać te swoje sonatki i walce. No i jeszcze ładować w siebie słodycze. A dupa rośnie. Nawet pod tą obszerną kiecką – skomentował mój gust, który wziął za próbę ukrywania kompleksów. – Gdybyś umiała zawalczyć, może teraz obejmowałabyś mnie za szyję i mówiła, że jestem najważniejszy. Że nie pozwolisz mi odejść. I może jeszcze umielibyśmy odnaleźć w tym wszystkim sens. No, księżniczko, no? – kpił ze mnie w żywe oczy, a może faktycznie czekał na jakiś gest z mojej strony.

Odwróciłam się wtedy na pięcie, przeklinając w milczeniu swój kretynizm, który mocno sznurował mi usta. Dobrze, że mama rozumiała mnie czasem bez słów.

– Sztyblety? – zapytała, kiedy godzinę później stanęłam u niej w drzwiach.

Kiwnęłam głową, a ona usunęła się w milczeniu, robiąc mi przejście.

– Z tobą jest taki kłopot – stwierdziła po wysłuchaniu mojej relacji – że ty mylisz czasy. Są w życiu momenty odpowiednie tylko na tenisówki, są i takie, kiedy należy oglądać się raczej za sztybletami. A że niektórzy, choć te sztyblety noszą, po prostu do nich nie dorośli,

to jeszcze inna sprawa.

Blue delikatnie dała mi do zrozumienia, że w czasie, gdy powinnam spotykać się z rówieśnikami, ja zaplątałam się w starszego pana po czterdziestce, który tak naprawdę nosił tenisówki. I że trochę pomyliłam realia z tym, czego oczekiwałam.

– Dlaczego mi nie zabroniłaś?

Głupiej zapytać chyba nie mogłam. Mama wydmuchała z ust kółko dymu i popatrzyła na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

– Chyba żartujesz?! Miałabym czegoś zabronić dwudziestosześcioletniej kobiecie? A poza tym – nachyliła się tak bardzo, że jej siwo-blond afro załaskotało mi twarz. – Posłuchałabyś?

– Nie.

Przymknęła oczy, unosząc brwi.

– Jeżeli dzięki burakowi w sztybletach przeżyłaś coś pięknego, zapamiętaj to. I po prostu idź naprzód – dała mi oszczędną radę i postawiła na stole patelnię z jajecznicą na szynce.

Dziesięć lat później, gdy znów pomyliłam czasy i poznałam chłopaka w tenisówkach, powiedziała mi dokładnie to samo. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby czerwone trampki dotrzymały mi kroku.



Ale najpierw, w tym tangu dla trojga, były jeszcze jedne buty. Sprane niebieskie conversy, o kilka rozmiarów mniejsze od tych Szymkowych. W maju często je widywałam. Dużo częściej niż poprzednio, jako że wiosna sprzyja nie tylko narodzinom miłości, ale też jej renesansowi. Dorota zawisała na Szymonie w jego kantorku, a mnie aż bolały zęby, gdy musiałam tam wejść i prosić kolegę o pomoc. Stare ksero miało to do siebie, że psuło się często i w najmniej odpowiedniej chwili, a przy lekcjach z Agnieszka nie chciałam ryzykować jedynymi kopiami swoich nut.

Szymon nadal był mi życzliwy. Równie życzliwy jak każdej innej osobie. Ale już nie tak po prostu. W jego zachowaniu czytałam jakąś nienaturalność, silenie się... O, właśnie, to było dobre słowo. Chłopak silił się na tę naturalność i tak samo siliłam się na nią ja. Może dlatego, ze względu na wkład sił, bardzo irytowało mnie to, że Szymon nie był spójny w swojej roli. Że mimowolnie podkopywał nasz

wypracowany status quo.

Czego ty chcesz? Czego od mnie chcesz? – pytałam w myślach, widząc jak wsuwa czubek trampka między tenisówki Doroty i jednocześnie rzuca szybkie spojrzenie na mnie, a potem ucieka nim we włosy swojej dziewczyny. Bardzo długo nie domyślałam się, że ta szczupła blondynka była dla niego jak wentyl bezpieczeństwa. Że jej obecnością próbował zaprzeczyć swoim prawdziwym uczuciom, których może się obawiał?

– Poczekaj. Zaraz wrócę – mówił do Doroty i wychodził ze swojej strefy komfortu tak, jakby wskakiwał do basenu z lodowatą wodą. Niebieskie conversy zostawały w kanciapie, a on szedł naprawiać ksero czy otwierać drzwi, z którymi nie mogłam sobie poradzić. Szybko usuwał usterkę, a potem uśmiechał się równie szybko i mówił:

– Gotowe. Teraz nie powinno być problemu.

Ta dziwna sytuacja męczyła mnie okropnie. Czułam, że Szymon nie jest szczery ani sam ze sobą, ani w stosunku do Doroty. A takich sytuacji nie cierpiałam bardziej niż na przykład bezczelnego postawienia sprawy przez Piotra. Z nim przynajmniej wszystko było jasne. Bez niedomówień i bez zbędnych nadziei. Sztyblety okazały się nawet nie porządnyimi tenisówkami, ale kiepską, jednosezonową podróbką. Ale przynajmniej dowiedziałam się... w czym chodziłam przez cały rok.

W tym przypadku... nie miałam pomysłu, jak określić Szymkowe trampki. A do takiego określenia zostałam zmuszona, bo miałam wrażenie, że ta dziwna sytuacja jednak dotyczy mojej osoby, i to bardziej, niż mi się wydaje. Czułam niepokój i w takiej atmosferze wyczekiwałam wakacji. Skreślałam dni w kalendarzu, nie mogąc doczekać się tego, który wreszcie rozwiąże moją umowę o pracę. Swoje trzy grosze dokładała też Agnieszka. Dziewczyna stała się tak arogancka i nie do okiełznania w żaden sposób, że straciłam nadzieję na nawiązanie z nią jakiegokolwiek sensownego kontaktu. Nerwowo podliczałam pozostałe godziny lekcyjne i z ulgą odznaczałam własnym podpisem kolejne czterdzieści pięć minut, które zbliżało mnie do celu. Do przedostatniego czwartku czerwca dostosowała się nawet pogoda. Nic nie było w stanie popsuć mojej radości z tego, że po raz ostatni zobaczę Agnieszkę i że dzień jest tak piękny. Słońce świeciło mocno,

wydobywając z ziemi rozgrzany aromat. Po delikatności wiosny nie zostało ani śladu. Wszędzie panowało już lato, rozbuchane niekoszonymi trawnikami, nad którymi zamykały się korony drzew. Pomyślałam, że za sto osiemdziesiąt minut będę mogła cieszyć się tym wszystkim i nie myśleć o Agnieszce... oraz Szymku, który również nie ułatwiał mi pracy.

Do szkoły weszłam tylnymi drzwiami. Niezamknięte, wpuszczały do budynku długi promień, który jasno rozcinał podłogową mozaikę. Zatrzymałam się, by śledzić oczami i stopą finezyjne wzory na posadzce ze starych kafli, które dopiero teraz ujawniły swoje kolory. W tamtej chwili cieszył mnie nawet zapach kurzu. Ramiona, już dawno pozbawione ciepłych okryć, czuły się dobrze ze swoją nagością, a o skórę nóg przyjemnie ocierała się koronka sukienki. Nie chciało mi się w ogóle ruszać z tego korytarza, ale do pierwszej lekcji miałam już tylko piętnaście minut, a musiałam jeszcze wydrukować i wypisać dyplomy.

Kserograf grzecznie wypluł z siebie trzy gratulacyjne karty, by zadławić się czwartą.

– Szlag! – Uderzyłam ręką w maszynę i otworzyłam jakieś boczne drzwiczki. Nie po to siedziałam wczoraj do późna w noc, produkując dyplomy, żeby moja praca się zmarnowała. Maszyna łypała na mnie rozbebeszonym bokiem, ale jej spojrzenie nie mówiło mi nic.

– Potrzebujesz pomocy? – Szymon cicho zamknął drzwi za sobą i podszedł do urządzenia.

– Ja już nie mam siły. Przecież to ksero psuje się przynajmniej raz na tydzień – powiedziałam. – Dyrektorka chyba powinna kupić nowe.

Szymon słuchał mnie z uwagą, a w jego twarzy widziałam jakieś napięcie. I determinację. I pewną miękkość, której nie wywoływały nawet rozsypane po jego ramieniu włosy blond.

– Masz zmęczone oczy – powiedział i dotknął moich powiek.

W ciągu może kilkadziesiątu sekund całym ciałem odbierałam Szymka. Na łydce czułam dotyk jego dżinsowych spodni, a palcom pozwoliłam na moment zanurzyć się w ciemnym zaroście. Łzy, która w końcu dotarła do mojej opuszki, miałam ochotę posmakować.

Szymon nie pobiegł za mną. Nie musiał. Przecież chwilę wcześniej właśnie mnie dogonił.

23 września 2015

Zawsze, kiedy jadę do swojego domu, mam ochotę go przytulić.

Już z daleka widzę okna, które, pozbawione firanek i kwiatów, przypominają oczodoły. Mój jasny, wymarzony dom jest jak ślepiec i to nie ja sprawię, że odzyska wzrok. Że właściwie po raz pierwszy zobaczy tulące się do cegieł bzy.

W milczeniu otwieram bramę i wjeżdżam na podjazd. Nie wita mnie nikt. Ani mąż, ani pies. Ani kwiatki, których nie zdążyłam zasiać. Są tylko te małe drzewka, wsadzone jeszcze przed budową domu. Żeby zdążyły choć trochę okrzepnąć. Stworzyć nam własny świat. Rosnąć razem z latami naszego małżeństwa.

– Drzewa posadziłem. Dom zbuduję – śmiał się mój mąż jeszcze trzy lata temu.

– Ale syna mieć nie będziesz....

– Ciebie mam. – Jego słowa szły w sukurs miłości w oczach i ramionach, której uwierzyłam. To dlatego wcześniej zrobiłam głęboki wdech i zdecydowałam się na długoletnią inwestycję pod nazwą dom.

I miałam go teraz. Mieliśmy z M oboje. Jako wspólne zobowiązanie, przekleństwo i żart losu, który do tej pory drwił z nas w najlepsze, bo, choć potencjalnych klientów było sporo, nikt nie chciał wziąć klucza z naszych rąk.

Próbowałam spojrzeć na dom świeżym okiem. Próbowałam być obiektywna, ale pozostawione za bramą uczucia pchały się przez siatkę, a potem przysiadły mi powieki i serce. Najpierw konfrontowałam zarośnięty ogród z planami, które razem z M, jeszcze wtedy nawet nie mężem, robiłam na kartkach papieru. Leżeliśmy na łóżku w moim mieszkaniu. Ja kreśliłam słowem i ręką to, czego nie potrafiłam narysować, M nadawał mojemu opisowi formę graficzną. Co chwilę temperował ołówek, gumował drobne niedokładności. Chuchał na nasz ogród już od projektu. Jak cudnie było planować to przyszłe życie, choć gdy teraz patrzę wstecz, to wiem, że raczej powinniśmy byli omawiać co innego niż gatunki roślin i kolor ścian. Z cegieł można

zbudować fasadę, ale do tego, co wewnątrz, potrzeba już jednak innego budulca. Kiedyś wydawało mi się, że znam wszelkie przepisy i receptury. Że wystarczy każdy dzień obficie doprawić miłością, żeby i dom, i rodzina mocno się trzymały. Ale... święta Łucja patronką niewidomych. Powinnam była raczej nauczyć się rozmawiać i, tak samo, tę codzienną rozmowę przepisać M.

Z bólem serca rozglądałam się wokoło. Tu miał być stawek, tam – wyłożona poduszkami huśtawka. Z listy moich ukochanych roślin na działce rósł tylko bez, zasadzony jeszcze ręką babci. Jasnioletowe kiście wiosną zaglądały do kuchni, w której panował idealny porządek i pustka. I tak już miało zostać. Bez codziennego rozgardiaszu, okruchów na stole i bez zapachów. Mój dom jest pusty, bo nawet nie opuszczony. Nie ma w nim żadnych historii, ważnych rocznic i plam, które potrafią datować wydarzenia. Ta dziura w suficie to od szampana, którego wypiliśmy w pierwszą noc na nowym miejscu. A ten odłamany bok sofy to z czasów, kiedy potrafiliśmy kochać się nieprzytomnie i mocno. A tu, pod farbą, znajduje się najśłynniejsze malowidło świata – czołg, wyrysowany przez nasze dziecko na ścianie dwa dni po nałożeniu świeżej farby. Mamy też firanki, z których syn wyciął sobie kwiatuszki i zrobił z nich szóstkową pracę plastyczną do szkoły.

U nas takich historii miało nie być. Ani tych zabawnych, ani tych smutnych. Może dlatego tak bardzo lubiłam zwiedzać cudze domy? Wywąchiwać ich nieme historie. Karmić się nimi do syta.

Szczególnie pamiętam jedno takie miejsce. Kiedyś, na wycieczce z M, natknęliśmy się na opuszczone gospodarstwo. Rosnące przed nim jabłonie uginały się owocami do samej ziemi, a czubki gałęzi ginęły w wysokiej trawie. Pyszna sprawa! M zajął się oglądaniem sadu, ja podeszłam do drzwi i nacisnęłam klamkę.

– Nie wchodź! – ostrzegł mnie mąż.

Odwróciłam głowę i wzruszyłam ramionami.

– Dlaczego? Przecież tu nikt nie mieszka.

– Ale może spać jakieś zwierzę. Pijak...

Cofnęłam rękę. Lubiałam tropić cudze historie, ale wchodzić w nie – już niekoniecznie. Byłam typem podglądacza i może dlatego przesunęłam się wzdłuż ściany do nisko osadzonego okna. Uchylone,

zapraszało do dźgnięcia palcem. Otworzyło się cicho, a ja wsunęłam głowę do środka. Najpierw, pod parapetem, zobaczyłam okryty ceratą stół. Na nim parę dziecięcych sandałów, rozrzuconych piętami od siebie. Buty znamionowały epokę dzieciństwa Blue. Byłam w szoku, bo najwyraźniej dom opuszczono już dawno, a on jakimś cudem oparł się złodziejom. Poszukałam wzrokiem innych pamiątek, które przetrwały i czas, i mieszkańców.

Był obraz, krzywo wiszący nad piecem. I niedomknięty kredens ze stosami talerzy. I jeszcze garnek na wystygłej od lat płycie. I szafa, pękata wylewającymi się z niej ubraniami. I wieża z drewnianych klocków. Jednak nic tak bardzo nie poruszyło mojego serca jak widok bucików. Bardzo chciałam poznać ich historię i chwilę później mi się to udało. Gdy odwróciłam się od okna, zobaczyłam, że M rozmawia z jakąś kobietą. Czułam jej pytający, badawczy wzrok na sobie, więc podeszłam bliżej.

– Pani chce wiedzieć, czy jesteśmy krewnymi. – M wprowadził mnie w rozmowę.

– Krewnymi?

– Tej kobiety, która tutaj mieszkała – wyjaśnił.

Pokręciłam głową.

– Tak tylko zajrzałam do środka. Lubię stare domy – tłumaczyłam się nie wiem po co.

– Ciągle tam są, prawda?

Popatrzyłam na kobietę niepewnie i zerknęłam na M. Wzruszył ramionami, wgrzyzając się w zerwane chwilę wcześniej jabłko.

– Te buty – uściśliła. – Są jeszcze?

W ten sposób, przez zupełny przypadek, poznałam historię kobiety, która zmarła długo po swoim dziecku.

– Wie pani... Ona zawsze te sandały... Od momentu, jak go przynieśli do domu... Zdjęła i postawiła na stole. I dalej stoją... Boże mój! Jedynak był... Jedynak. – Odeszła szybko, a mnie została opowieść, która na zawsze obciążyla pamięć i serce. Sandały, które przetrwały i dziecięce stopki, i palce matki, która je na te stopki wsuwała.

Tak, tamten dom był pusty, ale pełen przebrzmiałych historii, i tych dobrych, i tych bardzo, bardzo złych. Z kolei nasz nie miał w sobie nic

oprócz starannych wykończeń i nigdy nie splamionych ścian.

– Po co to robisz?! – niejednokrotnie pytałam M, wytrącona z równowagi. – Po co wykańczasz dom pod swój gust? Dla obcych ludzi... Przecież ktoś będzie to chciał zrobić po swojemu!

Nie słuchał mnie. Uparcie kładł płytki, które kiedyś razem wybraliśmy, i malował ściany, choć ich biel byłaby dużo stosowniejsza pod każdym względem. Nasz wystawowy dom piękniał coraz bardziej...

W złości pociągam ku sobie jeden z kartonów. Szarpię mocno. Taśma klejąca wrzyna mi się w dłoń, uchylając jednak wieka pudła. W środku są kubki, z których mieliśmy pić herbatę w nowym domu. M nie pozwolił ich wcześniej używać. Miały razem z nami zaczekać na pierwszy gwizd czajnika. Na pierwszy aromat zalanej wrzątkiem torebki. Razem z nimi czekała w pudłach reszta gospodarstwa. Wszystko nowiutkie. Dobierane pieczolowicie i z miłością, której zabrakło na sam koniec. Starła się, sprąła jak kiepska farbka, która ładnie wygląda tylko na początku.

Tych cholernych rzeczy nie powinno tu być! Tak samo jak czekoladki w kieszeni, na którą natrafiają moje palce. Wyjmuję ją z kieszeni płaszczyka i kładę na dłoni. Taka sama od lat. Codzienna. Kiedyś pełna uczucia, które doskonale komponowało się z kakaowo-czekoladową słodyczą. Dziś – sama słodycz, której mimo wszystko nie potrafię zniechęcić.

Odwijam miedziunkę ze złotka i powoli odgryzam kęs, popijając herbatą z pustego kubka. Do licha z tym odkładaniem życia na później!



W mieszkaniu, ciągle pełna złości, zaparzam sobie herbatę w zabranym z pudła kubku. Chrzczę naczynie malinowym napojem. Patrę, jak żółtawy osad barwi ceramikę. Wreszcie zrobiłam przynajmniej jedną z tych rzeczy, które zawsze odkładaliśmy na później. Później, kiedy już będzie weranda z fotelami. Później, kiedy już wylejemy prowadzące do tej werandy schody. Później, kiedy już posadzimy przy nich glicynię. I jeszcze później, i dopiero później, usiądziemy przy tej herbacie.

W ramach protestu chętnie wyrzuciłabym obtłuczone kubki i talerze. Przywiozła tamte, śliczne i nieużywane. Zdarłabym tę pseudoboazerię

z przedpokoju i pomalowała ściany jasną farbą. W oknach powiesiłabym zasłony wybrane do tamtego domu.

Moje myśli przerywa wejście M. Formalnie ciągle mąż bez słowa kieruje się do szafki i wyjmuje z niej obiadową saszetkę. Do czajnika dolewa wody i taką bazę zupy stawia koło garnka z moim posiłkiem. Patrząc na tę analogię naszego życia. Niby blisko, w jednej płaszczyźnie, ale, bardzo uważnie, obok siebie. Żeby nie trącić się łokciami, nie spotkać wzrokiem. Garnek i czajnik też rozstawione starannie. Reszta, porozdzielana niewidocznie po połowie. Stół, szafki, lodówka i półki w łazience. Toaleta i wanna wspólne, co trudno mi znieść. I dopiero kiedy każde z nas wreszcie zamknie się w swoim pokoju, jest dobrze. Dobrze...

– Musimy w końcu sprzedać ten dom! – Głośno odstawiam kubek. – Słyszysz? Kupisz kawalerkę i wreszcie będzie normalnie!

Normalnie... W ciągu kilku sekund użyłam dwóch słów, których znaczenia chyba już nie rozumiem. Dobrze i normalnie. Normalnie i dobrze.

M nie odpowiada, tylko kieruje spojrzenie na kubek. Wiem, o czym myśli, i dlatego pozwalam sobie wyrwać naczynie z rąk. Jak nazwać to, co zrobiłam? Profanacją miłych wspomnień, albo raczej tego, co nie zdążyło się wydarzyć? A może kolejną drwiną losu? Idę o zakład, że M myśli bardziej o tej pierwszej opcji. Ze złością wylewa moją herbatę do zlewu, starannie myje kubek i wynosi go z kuchni.



Wtedy

Stół. Podobno najważniejszy mebel w rodzinie. Tak uczyła mnie Blue, którą trudno było mi posądzić o taki tradycjonalizm. Blue, która pochłaniała kurczaka, stojąc przy sztalugach. Blue, która zajadała się makaronem, leżąc w łóżku. Jednak stół był w moim dekadencckim domu szalenie istotny. Nie po to, żeby jeść, ale by omawiać sprawy, ważne i te zupełnie błahe. Co wieczór siadywałam z Blue i Gerardem przy ciemnym blacie, który zajmował pół stołowego. Pokój był przechodni z każdej strony, a nieprzechodnie fragmenty ścian obstawiono kredensami i lampami. Zawieszono obrazami Blue.

Przy stole omawialiśmy na przykład tematy finansowe, których mama nie mogła znieść. Dyskutowaliśmy o wakacjach i moich samodzielnych już potem wyjazdach, przerzucając się przy tym żarcikami i rodzinnymi złośliwościami. Bywało też i poważnie, kiedy narozrabiałam.

– Łucjo, proszę, przyjdź tutaj. – Z jadalni płynął łagodny głos Gerarda. Jeśli Blue nie dorzucała się do zaproszenia, wiedziałam, że chodzi o szkołę.

Oczywiście, mogłam nie iść, ponieważ Gerard nie był typem impetyka wywlekającego dziatwę z pokoju za kołnierz. Szłam jednak zawsze, z szacunku i sympatii do wujka, którego trudno było się bać. Owszem, kiedy byłam mała, jego gęsta, sięgająca piersi broda przywodziła na myśl porywających dzieci piratów. Później stała się już tylko wizerunkowym elementem. Niechętnie widzianym u mężczyzn, lecz całkowicie niegroźnym.

Tak czy owak szłam do tego stołowego i pierwsze, co widziałam, to były pantofle Gerarda. Wujek zawsze miał tylko dwie pary butów: domowe i „zewnątrzne” – wysokie, sznurowane, na grubej słoninie. A te pantofle... Gdy wchodziłam do jadalni, naprawdę próbowałam się nie śmiać, widząc równo ułożone pod stołem bassetowe stworki... Nie

pomagało kierowanie wzroku na stopy matki, bo ona z kolei po domu chodziła boso i miała palec – niuchacz. Gdy byłam dzieckiem, Blue potrafiła rozśmieszyć mnie do łez, kiedy, pociągając nosem, zaglądała do pokoju najpierw palcem, a potem resztą stopy i nogi. Zawsze widziałam i słyszałam wtedy zbliżone do ziemi chrapy psa, łowiące intensywne zapachy koło mojego łóżka.

W każdym razie widok futrzanych stóp Gerarda i roznegliżowanego palca Blue uniemożliwiał zachowanie powagi.

– Łucjo, nie powinno ci być w takiej chwili do śmiechu – pouczał mnie wujek, poważny za nas oboje. Matka, stojąc przy drzwiach, wydmuchiwała z ust kółka dymu. – Proszę, usiądź. Chciałbym porozmawiać o twoich wynikach szkolnych. – Nakładał okulary, chrząkał, jakby przygotowywał się do przeprowadzenia lekcji z historii, a nie wykładu umoralniającego. – A twoje wyniki są, delikatnie mówiąc... No, jak by to... – Rozkładał bezradnie ręce, nie umiejąc najwyraźniej obrazić moich uczuć. – Co masz na swoje usprawiedliwienie? – Z ulgą przechodził do meritum.

Na swoje usprawiedliwienie miałam pianino, które białą klawiszami próbowało mnie wyłuskać zza stołu. Liczyła się tylko muzyka i nic więcej, a moje oceny zawsze oscylowały między dwoma biegunami. Za te muzyczne dostawałam najwyższe noty. Te inne – to już było dno. Nie miałam zacięcia ani do polskiego, ani do matematyki. Historia była koszmarem, a dwudziestowieczne układy, kto z kim i przeciw komu, przyprawiły mnie o... histerię. Ja chciałam tylko grać. Grać. Pozostałe przedmioty traktowałam jak piąte koło u wozu.

– Więc powiedz nam teraz uczciwie – Gerard próbował znaleźć rozwiązanie – czy jest sens, żebyśmy opłacali ci korepetytorów? Czy w ogóle przejawiasz chęci, żeby na świadectwie mieć bardziej zróżnicowane oceny, a nie same mierne i celujące?

Pokręciłam głową.

– Rozumiem, że bierzesz za siebie pełną odpowiedzialność?

– Tak.

Blue się nie wtrącała. Tak dalece szanowała moje wybory, że czasem wolałabym, aby powiedziała „nie”. Podniosła głos czy nawet postraszyła. Albo choć raz poszła na wywiadówkę, zamiast wysyłać na nią Gerarda. Nigdy nie narzuciła mi swojego zdania, co najwyżej

pokazywała możliwości. Pamiętam, że kiedy miałam pięć lat, zaprowadziła mnie do pracowni i powiedziała:

– Zastanów się dobrze i powiedz, co najbardziej cię tu interesuje.

Nie zapytała wprost. Nie ciągała mnie do swoich zainteresowań. Nie pukała palcem w książki i sztalugi. Zostawiła mnie tylko na środku i przysiadła na tapczanie. Ubrana w zielone ogrodniczki, ze sterczącymi na wszystkie strony blond kosmykami, wyglądała jak słonecznik. Ja rozglądałam się po pokoju, który fascynował od zawsze. Patrzyłam na pełną obrazów ścianę. Patrzyłam na trzy inne, do których przyklejone były książki. Patrzyłam na stare pianino, ale to taboret stojący przed instrumentem ściągnął moją uwagę. Okrągłe siedzisko potrząsnęło frędzlami, gdy dotknęłam go ręką. Blue nie mówiła nic, więc przestałam się na nią oglądać. Przez chwilę bawiłam się taboretami, wisząc na nim głową w dół, potem, dłonią, znalazłam pedały. Zbadałam też cały instrument, nim w końcu odkryłam szczelinę, biegnącą na całej długości pianina.

– Podnieś! – zwróciłam się o pomoc do Blue.

Chwilę później pianino uśmiechnęło się do mnie. Naprawdę! Białe klawisze skojarzyły mi się z dużymi, równymi zębami, a te ciemne z grzebieniem. Były miłe w dotyku i bardziej ciągnące kształtem i dźwiękiem niż te białe. Do tej pory lubię muzykę, w której przeważają bemole i krzyżyki. Takie utwory brzmią inaczej. Bardziej miękko? Nie, to złe słowo. Bardziej wyrafinowanie? Przyjemniej dla mojego ucha? W każdym razie, wtedy, klawisze kupiły uwagę moich rąk i oczu na długą chwilę.

– Mamo! Ja czeszę ząbki! – Klęczałam na taborecie i badałam wszystkie dźwięki, które wpadły mi pod palce.

Blue nie przeszkadzała. Nie ruszyła się z tapczanu tak długo, jak ja byłam zajęta pianinem, a następnego dnia zapisała mnie na lekcje muzyki. Dwa lata później podstawowa szkoła muzyczna stała się oczywistością.

Od tej pory czesałam zęby gorliwie i z pasją nałogowca. Inne przedmioty wydawały się niepotrzebną stratą czasu. Maturę zdałam, ale na oceny, które śmieszają mnie do tej pory. Zwłaszcza że sprzedawałam Alaskę Rosjanom.

O tej nieszczęsnej maturze nie pozwala mi zapomnieć plama na

naszym stole. Dokładnie w kształcie rzeczzonego obszaru geograficznego, łączącego połowy blatu. U M znajduje się większość plamy, na którą wpływa półwysep Alaska i Aleuty. Nie wiem, z czego powstała nasza prywatna Alaska. Z kawy? Z herbaty? Na kiepskiej jakości okleinie widać wszystko. Geograficzno-historyczną mapę naszego małżeństwa. Tu plama od soku, tam strupek kleju. Jeszcze gdzie indziej parafinowa tłustość. Na początku zapierałam ten nasz blat. Szorowałam, skrobałam, a M śmiał się ze mnie, że dom to nie muzeum. Że dzięki temu widać, że nie jest martwy, że toczy się w nim jakieś życie. Ale ten nasz stół był wyjątkowo felerny. Może dlatego, że kupiony jeszcze przeze mnie? W przededniu ślubu i w promocji?

Tak czy owak mebel był piękny tylko na początku. Jasny i gładki, stanął w kuchni. Wypiliśmy przy nim pierwszą małżeńską herbatę, trzymając się za ręce. Chwilę potem M przesunął łokciem po krawędzi stołu. Suchy trzask odsłonił beżową tarcicę. M szybko przyłożył listwę do ubytku.

– Nic się nie ukruszyło, zobacz! – Pokazywał mi odpadły fragment. – Skleję i nie będzie ani śladu.

Scalone miejsce trzymało się porządnie. Natomiast w innych stół pękał, marszczył się i łuszczył jak po najlepszym peelingu. Brzegi były tak obgryzione, że warstwy spoiwa wybrzuszały ratowane fragmenty albo kazały im się kruszyć pod palcami. A nogi? Stół negliżował się też od dołu. Porobiliśmy mu z M sznurkowe skarpety, które mocno trzymały rozwarstwienia. Prościej byłoby pojechać do sklepu i wymienić stół, ale M, który przejął po mnie prowadzenie teczek z dokumentami i ważnymi papierami, zapodział gdzieś gwarancję. Potem powoli przestaliśmy zwracać uwagę na ubytki i plamy, a ta w kształcie Alaski stopniowo zmieniała nam klimat w umiarkowany chłodny i subpolarny. Dominującą porą roku stała się zima.

Tak, wszystkie ważne historie zaczynały się u mnie od stołu. I Szymon, i M... Od stołu i... od Doroty, którą musiałam do niego zaprosić jako pierwszą.



Któregoś letniego popołudnia, po tym pierwszym przepracowanym w szkole roku, usłyszałam pukanie. Wizjer zniekształcił sylwetkę blondwłosej dziewczyny, którą rozpoznałam właściwie po niebieskich

conversach. Zastanowiłam się, czego może ode mnie chcieć. I skąd wzięła mój adres. Przez chwilę stałyśmy oddzielone drzwiami. Ona, patrząca natarczywie przed siebie. Ja – schodząca z linii jej wzroku. Zapukała kolejny raz, więc pomyślałam, że skoro wiedziała, gdzie mieszkam, to przecież musiała zobaczyć zapalone w kuchni światło. Odkręciłam zamek i uchyliłam drzwi.

– Tak?

Z włosów ściekała jej woda, a tenisówki ciemniały przy czubkach. Nie byłam pewna, czy to, co widzę na jej twarzy, to deszcz, czy jednak łzy.

– Pamięta mnie pani?

Kiwnęłam głową.

– Tak. Pani jest znajomą Szymona.

Popatrzyła na mnie w taki sposób, że zastanowiłam się, jakiego rodzaju nietakt popełniłam.

– Mogę wejść? – zapytała po chwili milczenia.

Nie było mi to na rękę. Od początku wakacji próbowałam leczyć się z myśli o Szymonie i z tego, co sobie zariżowałam, gdy w pokoju ksero przytulił do policzka moją dłoń. W końcu co los, pod postacią dwudziestosiedmioletniego mężczyzny, mógł ofiarować dużo starszej kobiecie? Mógł chyba tylko zabrać resztę złudzeń i zostawić żal, że tak szybko uciekły gdzieś lata młodości. Albo że kazał się urodzić za wcześnie.

Usunęłam się jednak z drogi, wpuszczając Dorotę do przedpokoju. Chwilę później podałam jej ręcznik, żeby choć trochę się osuszyła. Mocno tarła włosy, a chyba jeszcze mocniej policzki, próbując rumieńcem pokryć opuchniętą twarz. Więc jednak płakała.

Tkwiłyśmy bez słowa w przedpokoju, ukradkiem wpatrując się w odbicia naszych sylwetek w lustrze. Nie wiem, o czym myślała Dorota. Wiem, co pomyślałam i zobaczyłam ja. Drobniotka, długowłosa blondynka o cerze, która nie potrzebowała makijażu, stała obok... dwa razy grubszej od niej kobiety w długiej spódnicy i podkoszulku. Jeszcze do tamtej pory próbowałam się pocieszać, że wyglądam całkiem dobrze. Lustro i Dorota uświadomiły mi jednak, że prawda jest zupełnie inna. Poza pewną bujnością kształtów, której brakowało tamtej młodej dziewczynie, nie mogłam z nią konkurować.

W słabo oświetlonym przedpokoju aż za dobrze widziałam opuchliznę pod oczami i skórę twarzy, z której zaczynała już uciekać świeżość. Konfrontować się z lustrem było jednak łatwiej solo. Wtedy... prawdę twarzy można było znieść mniej boleśnie.

Przypomniałam sobie, jak wiele lat temu, jeszcze na studiach, jechałam na wakacje. Po nieprzespanej nocy zajrzałam do upstrzonego przez muchy lustra. Pociąg trząsał i turkotał, a ja nie mogłam nadziwić się gładkiej, napiętej buzi, po której wcale nie było widać zmęczenia. Pomyślałam sobie wtedy: „Jaka ja jestem ładna!”.

Może parę lat później usłyszałam to samo od siedzącej na przystanku tramwajowej kobiety. Zapytała mnie o godzinę. Z twarzą, która cieszyła się wtedy do wszystkiego, podałam jej czas. Wtedy ona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Ach, jaka pani ładna! Włodek, no popatrz, jaka ładna!”. Szturchnęła siedzącego obok mężczyznę, który spojrzał na mnie bez cienia zachwytu, wzruszył ramionami i stwierdził: „Młoda!”. Jakby to miał być mój jedyny atut! Dopiero niedawno, po tych ponad dziesięciu latach przyznałam mu rację.

Dorota wpatrywała się natarczywie w moje odbicie. Poruszyłam się niespokojnie, nagle zła, że liczy mi zmarszczki. Chciałam powiedzieć coś ostrzej, uświadomić jej, że nie zawsze lustro będzie aż tak pochlebne, ale ubiegła mnie i powiedziała szybko:

– Przepraszam, ja tylko próbuję zrozumieć, dlaczego on wybrał panią.



Rozmowa z Dorotą była dziwna. Dziwna, zważywszy na sytuację, w której obie, a zwłaszcza ona, się znalazłyśmy. Wolałabym, żeby otwarcie płakała, wyzywała mnie od najgorszych. Może nawet próbowała uderzyć.

Przypuszczam, że od wszelkich reakcji powstrzymywało ją wielkie niezrozumienie i moja niewiedza – mimowolne uczestnictwo w spektaklu wyreżyserowanym przez jedną osobę.

W pewnej chwili parsknęłam śmiechem.

– Przepraszam, to jest takie niedorzeczne – tłumaczyłam się chwilę później. – Dziewczyno, spójrz na siebie i spójrz na mnie! A poza tym, Szymon jest ode mnie młodszy. I to dużo.

Dalej, pomimo wszystkiego, a raczej tego śmiesznie niczego, co

wydarzyło się między nami, próbowałam zaprzeczać i jej, i sobie. Próbowałam sprowadzić relacje z Szymkiem do dobrych stosunków koleżeńskich. Żałosne.

– Może coś źle zrozumiałaś? – Bez oporu mówiłam jej na „ty”, żeby podkreślić absurd sytuacji.

Dorota wyglądała na bardzo znękaną, ale i to nie odbierało jej buzi dziecięcego wdzięku i świeżości. Ach, rację miał mój znajomy-nieznajomy z przystanku tramwajowego! Nic ponad młodość. Można się nie malować. Można się nawet popłakać, a młodość i tak trzyma się twarzy.

Spojrzała na mnie z zastanowieniem i jakby wyrzutem.

– Kiedy pani przestanie udawać? Mnie już o nic nie chodzi. Stało się, trudno. – Nerwowo rozmasowywała sobie palce, by chwilę potem złapać za moją dłoń. – Widzi pani? – Przyłożyła swój kciuk do mojego. – Nawet w tym bije mnie pani na głowę. – Trzymała mnie za rękę tak długo, żebym mogła porównać jej małe, niezbyt ładne dłonie o obgryzionych paznokciach ze swoimi. Ja – dbałam o ręce. Były moją wizytówką na klawiaturze pianina. Miękkie, z krótko obcięzonymi, ale wypielęgnowanymi paznokciami i obszarem wokół nich. Z lakierem, który tylko zaznaczał koniec palców.

Cofnęłam dłoń, ale Dorota mówiła dalej. Mówiła rzeczy tak dziwne, że pomyślałam, że albo ma bujną wyobraźnię, albo jednak jest niespełna rozumu.

– Ja to przecież muszę zrozumieć, uszanować. Wycofać się. Gdyby to był jakiś jednorazowy szal, fantazja, cokolwiek, nie pozwoliłabym. – Tak mocno potrząsała głową, że musiałam jej uwierzyć. – Ale to? To? – Jej oczy okrąglały ciągłym zdumieniem i szokiem. – Gdyby tylko mi powiedział, wyśmiałabym go. Albo nie. Tłumaczyłabym. Próbowałabym tłumaczyć. Przypominać to, co nas łączy. Ale on to napisał. Rozumie pani? On się wyświadał nie tylko przede mną. Zrobił to przed całym światem. Na swoim blogu, na którym wcześniej opisywał nasze podróże. – Umilkła, by za chwilę powiedzieć coś oczywistego i absurdalnego jednocześnie: – Gdyby to było o mnie... Gdyby on tak napisał o mnie, leżałabym przed nim do końca życia. Bo taka miłość usprawiedliwia wszystko.

Jej czerwone policzki i jakiś obłęd w oczach kazały mi się

zastanowić, czy nie ma gorączki. Wyszłam szybko zza stołu, mówiąc:

– Zaparzę herbaty.

Nalałam wody do czajnika i postawiłam na stole cukier. W milczeniu przygotowywałam kubki, stojąc do Doroty tyłem i zastanawiając się, co jej powiedzieć. Jak wytłumaczyć urojenia. Czy może przyznać się, co zaszło w pokoju ksero? Ale właściwie co zaszło? Co się wydarzyło? Romantyczny epizod, który nie przełożył się na kolejne dni? No, właśnie.

– Niech mi pani tylko powie – Dorota przerwała moje myśli – czy pani o tym wiedziała? Czy to, no... czy to było jednostronne? Bo ja już nie wiem, czy on tego wszystkiego nie zrobił tylko po to, żeby po prostu rozstać się ze mną. Przecież to takie głupie.

– Masz rację, to jest głupie. I ja ci tego nie potrafię wyjaśnić w żaden sposób. – Postawiłam na stole kubki, położyłam między nimi spodeczek z torebkami herbaty. – Jesteś pewna, że nie... – zastanawiałam się, jak to powiedzieć, żeby jej nie urazić – że nie znadinterpretowałam słów Szymona?

– Nie. Dopiero teraz wiem to na pewno – odpowiedziała błyskawicznie, odrzucając na spodek torebkę, którą już miała zanurzyć we wrzątku. Gwałtownie odsunęła od siebie naczynie, wstała i wyszła, mocno zatrzaskując za sobą drzwi.

Zostałam sama z kubkami malowanymi w maki. Identycznymi jak te Szymonowe. A herbata też była taka sama jak wtedy. To już nie był drugi nietakt. Te naczynia przeczyły mnie samej i moim słowom. Uderzyłam nimi Dorotę mocniej, niż zrobiłabym to ręką i przyznaniem się do „winy”. Czerwień jej policzków dowiodła, że nie spudłowałam.



Gdy Dorota wybiegła, długo tkwiłam w bezruchu. Było mi głupio. Było mi wstyd i czułam się podle, dlatego że ta młoda dziewczyna wzięła moją prawdę za kłamstwo i nawet nie mogłam mieć jej tego za złe. Nie potrafiłam uspokoić umysłu i miałam do siebie pretensje o to, że nieświadomie przyczyniłam się do czyjejś krzywdy. Jednocześnie nie byłam w stanie zrozumieć, co tak naprawdę się stało, bo Dorota chaotycznie i wybiórczo dawkowała informacje.

Woda na herbatę już dawno wystygła w makowych kubkach, a ja nie miałam siły, by odejść od stołu. Obracałam w dłoniach ceramikę,

z zażenowaniem myśląc o tym, że moje marzenia, a raczej mrzonki, ujrzały światło dzienne w tak kompromitujący sposób. I to na oczach osoby, która nie powinna się o nich dowiedzieć.

Na te cholerne kubki trafiłam zupełnie przypadkiem. Pewnego ranka zabiłam swój ukochany, wielki kubas, który miałam jeszcze od liceum. Zmartwiona, poszłam do małego sklepiku z miszmaszem kuchennym. Kręciłam się po ciasnym wnętrzu, rozlokowanym na trzech poziomach, i cieszyłam oczy stylizowanymi gadżetami. Mało brakowało, żebym wyszła ze ściennym młynkiem do kawy. Cudeńko miało porcelanowy środek, drewnianą szufladkę i przykrywkę i długą rączkę do mielenia. Nie lubiłam kawy, choć od jej zapachu byłam wprost uzależniona. Ręce same wyciągały się do tego młynka, ale rozum podśmiewał się z wyłożonej boazerii kuchni i starych mebli. Może kiedyś, gdy już będzie dom, pomyślałam, bo pomimo upływu lat wierzyłam, że jeszcze mi się przydarzy ten dom z ogrodem. I... jeszcze ktoś.

O młynku zapomniałam szybko, gdy zobaczyłam, co stoi na półce obok. Kubki! Szymbkowe kubki! Tak samo białe i tak samo malowane w czerwone maki i liście, które oplatały uszka! Od razu przypomniałam sobie tamten wieczór, a ręka zamrowiła od dotyku mężczyzny. Umysł mogłam oszukiwać, ale serce i ciało kierowały się inną logiką. A raczej jej brakiem.

Nad zakupem nie zastanawiałam się ani chwili. Nie odkładałam go na potem. Ja po prostu musiałam mieć te kubki, a w sklepie obok, jak na zawołanie, znalazła się pasująca do nich herbata. Ale nawet pijąc później tę herbatę, nawet ściskając w dłoniach makową ceramikę, nie potrafiłam spojrzeć sobie w twarz i powiedzieć, że to coś więcej niż tylko kwestia gustu – upodobania do czerwonych kwiatów i do smakowej herbaty. Było mi wstyd przyznać, że zakochałam się w młodszym o dziesięć lat chłopaku.

Parę dni później takie słowa nie były już potrzebne. A wstyd? Zapomniałam, co to takiego.

26 września 2015

Wstaję od stołu i idę do siebie. M jest w pracy, więc nikt nie zabroni mi przywoływać wspomnień jak i gdzie chcę. Co to za ulga nie musieć mijać się w ciasnym korytarzu! Nie musieć wyłączać palnika pod gotującą się zupą i zapychać głodu schowanymi w sypialni herbatnikami! Rozkoszuję się chwilą bez M. Zwykle w takich momentach otwieram okna i pobieżnie sprzątam mieszkanie. Mówię „pobieżnie”, bo mogłabym nawet na uszach stanąć, a i tak nigdy nie będzie dobrze.

– Zróbmy remont – prosiłam M jakieś trzy lata temu. – Choćby taki. Tyci. – Odmierzałam coraz to mniejszy zakres prac na paliczkach palca wskazującego. – No to taki. – Próbowałam, przy nasadzie paznokcia, ugrać choćby zderzenie obrzydliwych paneli. Tak bardzo nie znosiłam tego ciemnego i ponurego wystroju mieszkania! – Pomyśl, jak jasny kolor ożywi ten przedpokój!

– Wytrzymamy, Łucka – mówił M. – Szkoda energii i finansów. Zostawimy je do naszych komnat – przekonywał słowami i miłością, która wyczierała z jego oczu. Do tej pory nie wiem, jaki dokładnie M ma kolor tęczęwek. Kiedyś skupiałam się tylko na tym uczuciu, teraz, zwyczajnie, unikam jego wzroku.

– Dobrze. – Machałam ręką na wnętrza, które mnie przygnębiały. Jeszcze dwa, może trzy lata – myślałam – i swoje ściany pomaluję tak, jak zechcę. I nigdy żadnej boazerii. Nawet w piwnicy.

Podskakuję jak oparzona, gdy za moimi plecami rozlega się trzask. Cholerne drewno! Zawsze straszy, kiedy jestem sama. Wykrzywiam twarz w brzydkim grymasie. Ta „gadająca” boazeria to właściwie jedyny powód, dla którego cieszę się, gdy M jest w domu, choćby zamknięty u siebie. Rozświetlona szyba drzwi i rozmazany za nią kloc postaci są panaceum na moje lęki. Lepiej przecież bać się w obecności kogoś obcego niż samemu. Nawet w nocy jest mi łatwiej, gdy wiem, że M jest obok. Czasem mam ochotę do niego iść i wcisnąć swoje strachy pod jego ramię, tak jak robiłam to kiedyś. Boazeria mogła sobie

skrzypieć w najgłębszej nocy do woli, gdy miałam obok ciepłe ciało męża. Z jednej strony ściana, z drugiej M. Zasypiałam bezpiecznie, utulona na wąskim kawałku łóżka, bo M rozpychał się niemiłosiernie, a ściana też nie zamierzała popuścić.

Teraz, gdy czasem w nocy się boję albo gdy bardzo brakuje mi Szymona, ubijam dłońmi koc w podłużny kształt i nakrywam go kołdrą. „Głowę” kropię wodą po goleniu i kiedy zamknę oczy, czuję się prawie oszukana. Gdy M wchodzi do mojego łóżka, skopuje koc w nogi, a jego włosy chłoną pozostawiony na poduszce zapach. Nie komentuje w żaden sposób obecności innego mężczyzny w moim łóżku i za to jestem mu wdzięczna.

Włączam w korytarzu światło, które ledwo sączy się spod sufitu i ginie w zawieszonych na ścianie płaszczach. Pomimo że mamy garderobę, nasze okrycia i tak zagracają przedpokój, a buty płaczą się pod nogami. Tak bardzo nam się nie chce. Nie chce się nam dla siebie i dla naszego mieszkania. A wystarczyłoby chociaż wkręcić mocniejszą żarówkę do lampy!

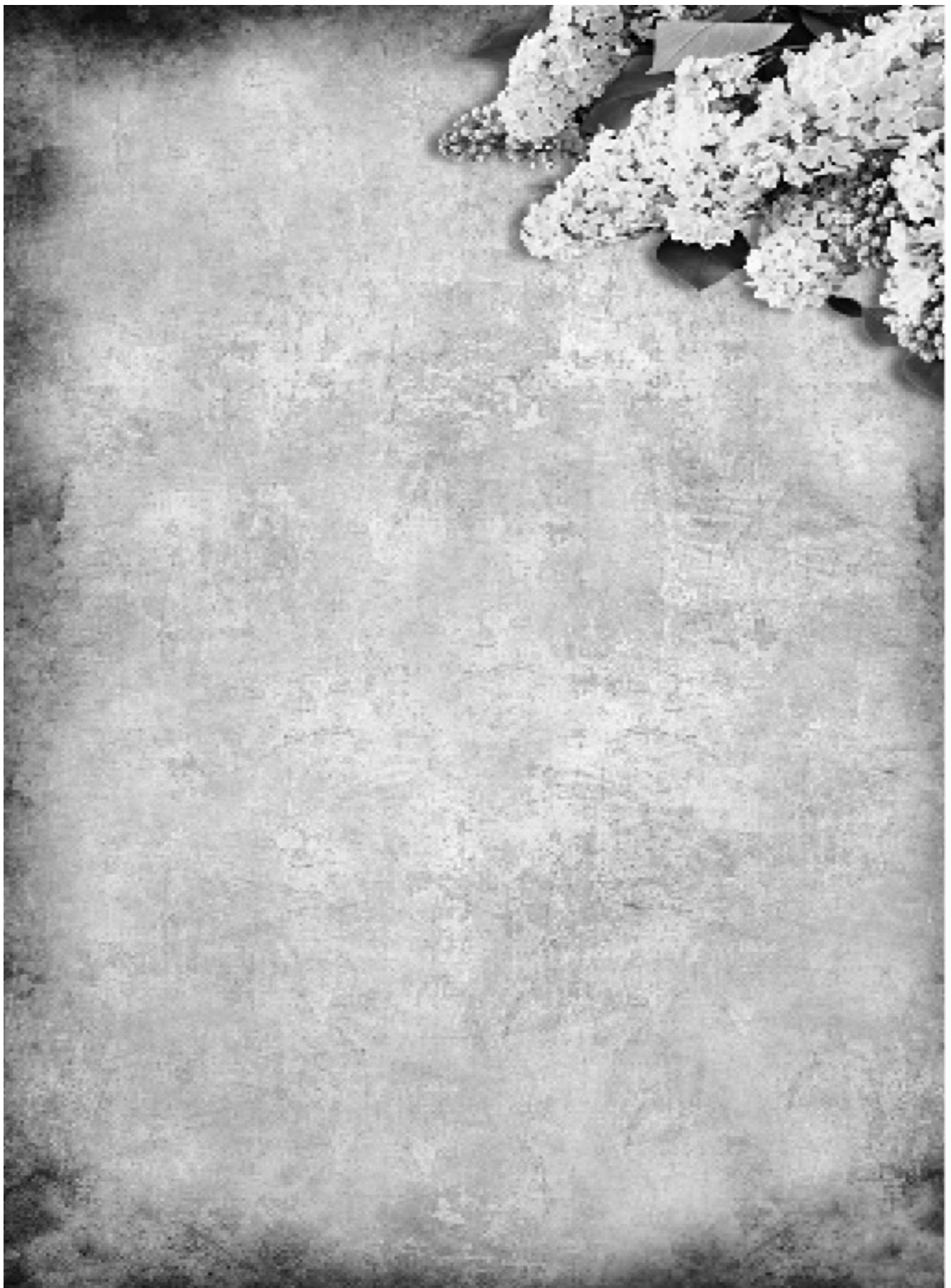
Przyklękam przy niskiej szafce, na której kładę torebki. Niemal na oślep rozsuwam zamek tej największej i doszukuję się w niej płaskiego kształtu. Wyszarpuję netbooka z pokrowca i wracam z nim do kuchni, rzucając okiem na zegar. Mam jeszcze może ze dwie godziny do powrotu M, więc spokojnie podnoszę klapkę i wyciągam z lodówki sok. Patrzą, jak komputer zaczyna pracować, i zastanawiam się, czy Szymkowe wyznanie miłości jeszcze tam jest. Lubię wracać do tamtych dni w ten sposób. Mam wrażenie, że cofa się czas. Albo że to początek. Znów początek.

Czekając na sygnał powitania, przegrzebuję szafki. W tych „słodczych” znajduję jedynie okruchy. U siebie w pokoju – smętnego herbatnika, który nie wie, co ze sobą zrobić w za dużym opakowaniu. Zjadam go, żeby się nie męczył, a folię wciskam do kieszeni dzinsów. Żołądek, a raczej ten żołądek, który mam w mózgu, dopomina się o jeszcze, jednak nie na tyle mocno, żeby zmusić mnie do pójścia do sklepu. Z przyzwyczajenia, przekory, a może mikrogo poczucia, że jest coś, co się nie zmieniło, sięgam do kieszeni płaszcza. Palce od razu wyplątują z niej żukowaty smakołyk.

W kuchni zerkam na ekran komputera i widzę, że jeszcze są.

Czerwone trampki Szymona, zawsze tak samo schodzone i zadowolone z siebie. Rozrzucone czubkami na zewnątrz. Między nimi trawa. Zawsze tak samo zielona, z pojedynczym, złotawym liściem. Cyberprzestrzeń jest łaskawa dla wspomnień. Potrafi zapętlić czas nieskończoną ilość razy. Na zimno. Bez emocji.

Odwijam czekoladkę ze złotka i kliknięciem myszki przenoszę się parę lat wstecz.



Wtedy

Wtedy, te parę lat temu, to, że Szymkowe trampki, że ten blog... wcale nie było takie oczywiste. Nie było w ogóle oczywiste. Przez kilka dni głowiłam się nad tym, co powiedziała Dorota. Szymon wypowiadał się przed całym światem. Szymon wypowiadał się przed całym światem, huczało mi w głowie, a ja nie umiałam znaleźć hasła do tych zwierzeń. Nie potrafiłam wpisać w Google czarodziejskiej kombinacji słów, która otworzyłaby mi drzwi do krainy Szymona.

Siedziałam przy komputerze przez kilka godzin i próbowałam pokonać wirtualną zaporę na tysiąc sposobów. Jednak dane Szymka ujawniały tylko informacje o miejscu, w którym razem pracowaliśmy. Poza tym – żadnego konta na portalu społecznościowym. Żadnej podpowiedzi, nitki, która pociągnęłaby mnie do początku kłębka. Nerwowo zakładałam włosy za uszy, złoszcząc się, ilekroć tylko załaskotały mi policzki. Nic prostszego – można było przytrzymać je gumką, spinką, czy nawet przekłuć długopisem. Ale nie byłam w stanie oderwać się od komputera. Bębniłam tylko w klawiaturę, usiłując nie myśleć, co o takich poszukiwaniach powiedziałby mi rachunek prawdopodobieństwa. Wtedy, w czwartej klasie liceum, na decydujący sprawdzian zrobiłam sobie ściągę i jakimś cudem miałam na niej rozwiązanie odpowiedniego zadania. Czarne i białe kulki ułożyły się w zadowalający mnie wynik oceny miernej. Teraz – nawet identyczna kolorystyka klawiszy netbooka nie była w stanie dołożyć mi plusa do bańki. Po kilku godzinach poddałam się, odsunęłam komputer od siebie i wstałam z krzesła. Poszłam do pokoju i otworzyłam pianino. Dłoń miękko przesunęła się po klawiaturze. Opuszki wyczuwały mikronieciągłości między kolejnymi klawiszami. Znałam je na pamięć i nawet gdy miałam zamknięte oczy, wiedziałam, jakie nuty przypisane są otaczającym je klawiszom. Może to było obycie z pianinem, może kwestia wrażliwości palców, a może jedno

i drugie. Nie zastanawiałam się nad tym. Sięgnęłam tylko po dźwięki, które zawsze działały jak najlepsze lekarstwo. Lewym kciukiem bezbłędnie trafiłam w dolne c, prawym w g. Górne c i e były jego naturalną, eufoniczną kontynuacją. Klawisze wysyłały do młoteczków i strun dotyk moich palców, przerobiony na dźwięki. Adelina odbijała się od ścian pokoju, wsiąkała w wykładzinę i zasłony, uciekała przez otwarte okno, ale i tak zawsze, zawsze najgłośniej słyszałam ją w sercu. Moja ukochana profesorka mawiała, że wyjątkowo mocno osadzam ten utwór w klawiaturze i sobie, co było komplementem, a nie stwierdzeniem przesadnego naciskania klawiszy.

Zagrałam utwór kilka razy, bo jakoś nie chciał mi wyjść spod palców. Nie dawał spokoju. W końcu zmęczył tak bardzo, że poczułam nachodzącą migrenę. Co to jest? – zachodziłam w głowę. – Co się dzieje, do licha?

Zamknęłam pianino, bo widok klawiatury nie chciał mnie uwolnić od muzycznego motywu. Pomimo że nie dotykałam już klawiszy, cały czas słyszałam balladę tak głośno, jakbym ją grała. W końcu wyszłam z pokoju i wróciłam do kuchni. Ciągłe otwarty komputer przypominał mi o tym, co próbowałam zagłuszyć muzyką. Szymon spierał się z Adelina tak bardzo, że dla mnie brakowało już pola do dyskusji. Szymon i Adelina. Adelina i Szymon. Pomyślałam, że jeśli zaraz czegoś nie zrobię, oszaleję i albo zacznę bić w klawiaturę netbooka, albo pobiegnę do pianina i kakofonią dźwięków wreszcie zamknę usta swoim myślom. Komputer był bliżej. Odwrócone proporcje bieli i czerni na klawiszach podziały uspokajająco. Może dlatego, że kolor czarny był dla mnie synonimem moich ukochanych krzyżyków i bemoli. Drobne białe literki nie wyskakiwały ku mnie tak agresywnie jak zęby pianina, z namolnym c, które zawsze wpychało się pod palec. Przez chwilę patrzyłam na obłe czarne kwadraciki, a potem wycisnęłam na ekranie literkowy synonim najbardziej eksploatowanej nuty. Duże a dało mi do ręki nitkę, na którą prędko nanizało się słowo „Adelina”. Kombinacja liter wreszcie dopuściła mnie do wirtualnego świata rekordów. Kliknęłam w ten, który wyglądał na bloga. Duże zdjęcie męskich trampek uświadomiło mi, że wreszcie trafiłam!

26 września, dwie godziny później

Usłyszałam go, dopiero gdy wszedł do kuchni. Musiałam tak bardzo się zaczytać, że w żaden sposób nie zarejestrowałam trzaśnięcia drzwi wejściowych. Sekundę za późno dostrzegłam M za sobą i o tę sekundę spóźniłam się z zamknięciem komputera. Zauważył. Byłam tego pewna, bo jego oczy przez chwilę wyrażały uczucia inne od tych codziennych. Chyba nawet chciał coś powiedzieć, ale szybko odwrócił się do mnie plecami i poszedł do swojego pokoju. Znowu pił, ale tym razem mało. Zapach alkoholu zaledwie podrażnił mój nos i niemal natychmiast się ulotnił.

Ponownie usiadłam przy stole i otworzyłam netbooka, usiłując czytać. Ale nie mogłam się skupić, wiedząc, że M jest w domu. Że w każdej chwili może wyjść z sypialni i zrobić aluzję, jakąkolwiek, do tego, co było kiedyś. Fakt, że zobaczył bloga, nie dawał mi spokoju. M na bieżąco niszczył moje wspomnienia, zarówno te dobre, jak i złe. Parę dni temu zabrał mi kubek, a jeszcze wcześniej wyrwał z odtwarzacza płytę, przy której pierwszy raz się kochaliśmy. Dlatego wiem, że blog stanie się jego kolejnym wrogiem i na wszelki wypadek kopiuję całą treść zakładki Moja Adelina do pliku na pulpicie. Nie pozwolę sobie odebrać Szymona. Nie po raz kolejny.

Jeszcze przez chwilę siedzę w kuchni, choć nie czuję głodu, nie marzę już nawet o herbacie. Chcę się tylko umyć i zamknąć u siebie. Oświetlone drzwi pokoju M nie przepuszczają żadnego dźwięku, nie rozmywają żadnego ruchu.

Może się położył i śpi – myślę niechętnie i zamykam za sobą drzwi do łazienki.

Lampa po lewej stronie lustra słabo rozjaśnia klosz. Jest tylko jeden. Drugi, rozbity dawno temu, odsłonił czarny gwint, którego nie zreanimowała nowa żarówka. Wszystko w tym mieszkaniu się psuło. Przechodziło w strefę cienia, jak kiedyś dowcipnie nazywaliśmy to z M. Rzeczy zepsutych nie naprawialiśmy zbyt rygorystycznie.

– Zostaw. Przecież za chwilę kupimy inną lampę.

– Daj spokój. U siebie zrobimy od nowa. Raz a porządnie. – Nauczyłam się od M czekać wyłącznie na to, co miało być w naszym domu.

Tymczasem nasze mieszkanie zaczęło potykać się o odstające od ściany listwy. Nabijało sobie guzy w półmroku i łapało odrywające się fragmenty tapet na klej biurowy. Znikało stopniowo pod pudłami, w których gromadziliśmy przyszłe gospodarstwo. Kartony pączkowały jak drożdże, rozmnażając się do góry i na boki. Zajmowały każdy wolny centymetr półek i pawlaczy, a potem przeniosły się na podłogę do przedpokoju, kuchni i nawet łazienki. Może to dlatego utonęliśmy w tym mieszkaniu i pozwoliliśmy przyszłości pożreć naszą teraźniejszość. Kartony z tym wszystkim na później przestały się mnożyć, ale porastał je za to kurz, oklejały pasma naszej coraz bardziej widocznej niechęci. Lampy jasno rozświetlały tylko sufit; światło rozpraszało się na pokrywach pudeł, ledwo iluminując przesmyk między pralką, lodówką i kuchenką, które, kupione okazji i dużo za wcześnie, do reszty zagraciły nasz przedpokój. Jeszcze jakiś czas temu umieliśmy się śmiać z tej swojej nory, odliczając na palcach fundamenty, ściany i wreszcie dach przyszłego gniazda. Potem, gdy już przestaliśmy się śmiać, nie pomogło nawet przeniesienie części pudeł, mebli i AGD do wybudowanego właśnie domu. Nie zdołaliśmy siebie odzyskać, a nasze M-4 stawało się coraz bardziej ponure i zaniedbane. Póki się chce dla siebie, chce się i dla domu. Potem jest już wszystko jedno.

Ze złością zakręcam pastę, rzuconą byle jak na brzeg umywalki, a potem rozbijam fajansowy pojemnik, gdy usiłuję wcisnąć do niego tubkę. Owszem, mam swoją pastę, ale nie o to chodzi. Wszystko można albo podzielić na pół, albo kupić podwójne, ale to nie znaczy, że pewnych rzeczy się nie widzi. Ja widzę tę pastę i dwie dolne półki M, do których przykleiły się nieużywane kosmetyki. Widzę włoski, zgarnięte żyletką z twarzy. Widzę też skarpetki, niedbale wciśnięte do kosza na brudy. Co z tego, co z tego, że ja mam swój kosz i nie muszę grzebać wśród zmiętej i niezbyt ładnie pachnącej bielizny M? Potwór, którego hodowaliśmy wspólnie, teraz próbuje nas zjeść. Dlatego, żeby nie dać się tak do końca, zakręcam tę pastę. Zgarniam z blatu pozostałości po goleniu. Myję wannę i toaletę. I jeszcze tę nie moją

połowę stołu, bo nie potrafiłabym zjeść śniadania, patrząc na kałużę herbaty i pływające w niej okruszki.

Stukot naciskanej klamki wzbudza we mnie złość. Zanurzam się po szyję w pianie i mówię niechętnie:

– Kąpię się.

– Muszę. – M wchodzi do łazienki i staje przy sedesie. Odwracam głowę i patrzę na płytki, ale nie da się już nie słyszeć strumienia moczu uderzającego o wodę. Taka – kiedyś – naturalna intymność i konsekwencja mieszkania razem jest dziś jak upokorzenie. Policzek dla związku. Dla tego wszystkiego, co niegdyś łączyło mnie z M. Można się do siebie nie odzywać, można się nie lubić, ale trudno tym niechęciom wytłumaczyć wspólną łazienkę. Trudno też pod łóżkiem trzymać nocnik i tak samo trudno zrozumieć, że coś, co dawniej świadczyło o bliskości, dziś tylko obrzydza. Pamiętam, że kiedyś też korzystałam z toalety, gdy M się kąpał. Niby śmiał się ze mnie, ale i był trochę zły. Mówił, że kobieta powinna być tajemnicza. Nie odsłaniać się w takich sprawach. A dla mnie bliskość to była bliskość. Nie tylko dotyk, przytulenie czy nawet seks. Właśnie ta codzienność, krępująca wśród obcych, a tak naturalna w związku. Oberwałam za swoje. Za to liberalne ściąganie majtek i siadanie na sedesie. Za to odzieranie się z kobiecości otrzymywałam teraz M w pełnej krasie. Co z tego, że stojącego tyłem do mnie? I co z tego, że w spodniach, które nie ujawniały pośladeków?

Jednak złość, z jaką wyskakuję z wanny, wycieram się i narzucam szlafrok, ulatnia się w chwili, gdy otwieram drzwi łazienki. Tym razem nie słyszy mnie M, który klęczy przy moim swetrze. Przez chwilę mam ochotę powiedzieć, żeby już przestał to robić, bo nie licuje to z naszą sytuacją, ale... nie potrafię. Czekam w milczeniu, aż odsunie twarz od wełny i wyciągnie rękę z kieszeni okrycia. Cała sztywnieję, gdy M mnie dostrzega. Zaskakujemy się dzisiaj przy naszych rytuałach i wcale nam się to nie podoba.

– I co się tak patrzysz, ty... ty... – jak zwykle urywa w połowie zdania, by niespodziewanie dokończyć to, co próbuje powiedzieć mi od dwóch lat.

Dziwka? Tylko przez moment nie jestem pewna, czy dobrze słyszę. I tylko przez moment zakładam, że coś źle zrozumiałam. M rozwiewa

moje wątpliwości, powtarzając dobitnie ostatnie słowo.

Wtedy

– No i co? – Wyciągnięta szyja Blue i ta jej złocisto-siwa aureola bardziej niż kiedykolwiek upodobiły ją do słonecznika. – Gdzie to jest, hm?

Dotknęłam palcem zakładki, której tytuł napisano kursywą.

– Moja Adelina. – Mama zmrużyła oczy, żeby odczytać wskazane przeze mnie słowa. – To o tobie?

– Tak. Chyba tak. – Nie potrafiłam uwierzyć, że to ja jestem bohaterką takiej historii.

Blue wstała zza stołu.

– Zaczekaj, muszę znaleźć okulary. – Potarła zaczerwienione oczy. – Rozmazujący się obiekt malarski to jednak co innego niż rozmazujące się litery.

Uśmiechnęłam się, bo mama właśnie mi zdradziła sekret oryginalności swojego malarstwa. Przez tyle lat dopytywałam, skąd ten pomysł na rozmyte kontury postaci, drzew czy przedmiotów. U Blue wszystko fosforyzowało. Główne punkty łagodnie wtapiały się w tło mikroneuronami pociągnięć pędzla. Doczekiwały się przeróżnych określeń od ekspertów i zwykłego odbiorcy, na które autorka nieodmiennie kiwała głową i uśmiechała się tajemniczo. W ten sposób każdy miał swoją rację, z których jednak żadna nie była tak banalna jak krótkowzroczność. Blue, jak nikt, umiała wady przekuwać w zalety i czerpać inspirację z tego, co oferowało jej życie.

W drucianych lennonkach zobaczyłam ją chyba pierwszy raz w życiu. Wybuchnęłam śmiechem na widok zaokularowanego słonecznika.

– No co? Przecież nie będę się domyślać, co trampki napisały o mojej córce. Co innego sztyblety. – Mama zrobiła przytyk do mojej przeszłości. – Ale wtedy wystarczyło tylko posłuchać, żeby nie chciało się już oglądać. Daj no te elektroniczne oświadczyń. – Kazała

przysunąć sobie komputer i znów zawiesiła nad nim długą szyję.

Nie przerywałam jej czytania, bo widziałam, że robi to bardzo uważnie. Odsunęłam się w głąb kanapy i oglądałam pokój stołowy, który prawie wcale się nie zmienił od czasów, gdy mieszkałam z Blue i Gerardem. Może tylko pojawiły się nowe obrazy, a właściwie zabrano pod nie każdy wolny jeszcze centymetr ścian. Miałam szczęście, że lubiłam malarstwo swojej matki, bo inaczej chyba zwariowałabym w takim domu. Obrazy Blue mnie fascynowały. Były pełne tajemniczości, ale nie grozy, a ulubione kolory artystki nie przeczyły moim gustom. Blue nie lubiła zdjęć. Mówiła, że są produkcją taśmową, że nie ma w nich duszy ani nastroju. Pewnie dlatego ważne chwile z mojego życia utrwałała farbą, odsuwając na bok wszystkie obowiązki. I tak, nad sofą królowało złotawe niemowlę, które rozjaśniało jednolite, granatowe tło. W portrecie namalowanym na zakończenie muzycznej podstawówki mama zabawiła się kolorystycznie, sadzając granatowowłosą Łucję przy złotym pianinie. Z kolei gdy 16 grudnia 1991 roku skończyłam osiemnaście lat, odwróciła barwy z portretu niemowlęcego, rzucając je na postać dorosłej już kobiety. Lubiałam się na tym obrazie, na którym moje podłużne oczy ginęły w rozczesanych na boki włosach. Zza pleców wychodziła mi złota poświata, która intensywniała w rogach portretu. Blue mówiła, że to moje dzieciństwo, a to akurat miałam dobre. Może dlatego z taką ufnością patrzyłam z obrazu w przyszłość.

Mamę cechował minimalizm, zarówno w kwestiach życiowych, jak i tych artystycznych. Dwa, trzy kolory i zazwyczaj jeden obiekt potrafiły sprawić, że jej malowidła miały w sobie jakąś głębię i niosły spokój. Wręcz – hipnotyzowały. Dość zabawnie wypadało skonfrontowanie ich z artystką, małą, chudziutką kobietką w zielonych ogrodniczkach i ze złocisto-siwym pióropuszem włosów. Obrazy zdawały się wciągać maleńką Blue i aż trudno było uwierzyć, że te granatowo-złote przestrzenie wychodziły spod jej drobnej ręki.

– A gdybyś miała sportretować więcej niż jedną osobę, jakiego użyłabyś koloru? – Nie wytrzymałam i przerwałam jej czytanie.

– To zależy – mruknęła, nie podnosząc nawet głowy. Było widać, że to, co napisał Szymon, bardzo ją zainteresowało. A ja, tym odwracaniem uwagi od lektury, próbowałam chyba przekonać ją

i siebie, że to nic godnego uwagi.

– Od czego?

– Od cech charakteru na przykład. Dobrze, że nie musiałam portretować sztybletów, bo trzeba by było zużyć dużo buraczanej farby, której nie znoszę. – Blue wyglądała, jakby mówiła sama do siebie, więc się nie obruszyłam. Zresztą, miała rację. Chciałam o coś jeszcze zapytać, ale zniecierpliwiona machnęła ręką, więc dałam spokój.

Czytała bardzo wnikliwie. Tak bardzo, że w pewnej chwili stożek popiołu z jej papierosa omal nie spadł na komputer. Złapałam pyłek, nim zdążył się rozproszyć między klawiszami. To przecież nie był Popielec. Choć może należało schylić głowę i raczej zacząć czynić pokutę niż interesować się minionym już dla mnie karnawalem.

Gdy mama skończyła czytać, powoli, z nieobyciem laika komputerowego, zatrzasnęła klapkę netbooka, a potem obróciła się do mnie na krześle i powiedziała:

– Ten twoje trampki zrobiły coś zarazem najpiękniejszego i najgłupszego pod słońcem.

– Dlaczego najgłupszego? – Uniosłam brwi.

Blue przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa, zaciągając się dymem.

– Dlatego, że ja nie miałabym żadnych wątpliwości, że on mnie kocha, ale mogłabym się o tym nigdy nie dowiedzieć.

– Przecież teraz każdy ma Internet – próbowałam bronić Szymkowego pomysłu na wyznanie uczucia.

– Nawet jeśli ma, to co? – Dziwiłam się, że mama nie zwichrowała sobie jeszcze szyi od wydmuchiwania szarżółtych kółek. – Ty też masz, a ledwie, i to z pomocą tej Doroty, trafiłaś na wpis o Adelinie.

Fakt. Blue przyszpiliła mnie zdrowym rozsądkiem, który odejmował nieco romantyczności całemu zdarzeniu. Bo co z tego, że Szymek podzielił się swoimi uczuciami z całym światem, skoro ja nigdy bym się o nich nie dowiedziała? Zakładałam, że nie porozmawiał ze mną, bo albo nie miał odwagi, albo chciał, żebym przejęła inicjatywę. Mama jakby czytała w moich myślach.

– Nie dzwoń. Nie pisz. Nie idź. Jeśli to coś naprawdę ważnego, Szymon musi ci sam o tym powiedzieć. Tobie, a nie rzucić wyznanie w świat.

– Ale przecież to i tak nie ma sensu. – Dalej nie przyzwaliałam na tę sytuację. – Jestem od niego o dziesięć lat starsza. Co powiedzą ludzie? I przecież on może chciałby mieć rodzinę. A ja właśnie tego nie mogę mu dać.

– To są trzy strony medalu, ale może jeszcze być i czwarta. Ta najważniejsza. Nie pomyślałaś o tym? – Blue nie mówiła wprost i zaczynało mnie to denerwować.

– Tak. Wiem. Wy artyści macie dość liberalne poglądy na pewne kwestie. – Niedelikatnie wypomniałam matce jej sytuację domową, która dziwiła wiele osób.

Blue uśmiechnęła się rozbawiona i założyła nogę na nogę.

– Sama jesteś artystką.

Nie zgadzałam się z nią. Ja byłam tylko odtwórcą. Dobrym, ale jednak tylko odtwórcą czyjegoś talentu. Ale nie zamierzałam się z mamą o to kłócić. Bez sensu w końcu, przy całej tej sprawie.

– Powiedz mi, jak ty to widzisz, ale szczerze. Ja... ja mam zupełny mętlik w głowie.

– Temu się akurat nie dziwię – mruknęła Blue i wstała z krzesła, dając mi znak, żebym poszła za nią.

Poprowadziła mnie do parapetu, na którym stał smętny, dwułodygowy zamiokulkas. Nie wiem, dlaczego mama go trzymała, skoro do tej pory udało mu się wypuścić jedynie mały zawiązek następnej łodygi, która i tak była jakaś cherlawa i pożółkła.

– Kwiatka kupiłam z dziesięć lat temu. Spodobał mi się kolor. Taki mięsisty, żywy. Niosący spokój. Na początku był bardzo gęsty i rósł jak wściekły, więc kiedy na doniczce zaczęły pojawiać się pęknięcia, zdecydowałam się go przesadzić. – Blue z czułością patrzyła na roślinę, a ja słuchałam bez słowa, choć miałam wielką ochotę zapytać, co zamiokulkas ma wspólnego z Szymonem. – Po rozsadzeniu – ciągnęła mama – dałam część tobie i ciotce Matyldzie, a sobie zostawiłam najmniejszy egzemplarz z jedną łodygą. I tylko ten przeżył operację. Przez dwa lata czekałam, że wreszcie się zagęści, ale on się jakoś do tego nie kwapił. W końcu wyciągnęłam go z doniczki i wyniosłam do śmietnika. Ale wiesz co? Zanim zdążyłam wrzucić go do kosza, obejrzałam tę łodygę z każdej strony i tuż przy nasadzie dostrzegłam zawiązek listków. Kwiatka wzięłam z powrotem do domu i czekałam,

aż łodyga urośnie, bo widać było, że cherlak wreszcie zabrał się do życia.

Przerwałam jej niecierpliwie:

– Pamiętam, Blue. Wszystko to pamiętam, tylko nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawą, z którą do ciebie przyszedłam. – Nie odziedziczyłam po matce aż takiego wyczulenia na szczegóły. Wolałam ogół, który wedle własnego uznania i potrzeb mogłam analizować.

– Bez względu na swój brak cierpliwości, musisz wysłuchać historii do końca. – Blue nie była ani odrobinę uszczypliwa. – Na szczęście, historia ma dość łopatologiczną kontynuację, że już nie wspomnę o jej smaczku. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Czy wiesz, że dopiero wczoraj namacalnie odkryłam znaczenie tego powiedzenia?

Patrzyła na mnie z tym swoim uśmiechem, który, od zawsze, był mieszaniwą ciekawości i życzliwości dla drugiego człowieka. Nie pouczała, nie stawiała siebie za wzór. Raczej – towarzyszyła. Może dlatego miałam z nią tak dobry kontakt i mogłam zwierzyć się jej z każdego, absolutnie każdego problemu. Podobnie moje koleżanki, zwłaszcza ze szkoły średniej. Przychodziły często, bez zapowiedzi, a mama otwierała im szeroko drzwi i zapraszała do kuchni. Tylko miarowo wylatujące z jej ust żółtawe obręcze świadczyły, że Blue nie jest manekinem. Mama słuchała całą sobą. Nie biegała wzrokiem po ścianach, nie ziewała w myślach i nie patrzyła na zegarek. Jednak wtedy, akurat w kwestii Szymona, bardzo chciałam, żeby się pospieszyła.

– W każdym razie ten uparciuch wypuścił drugą łodygę i na tym koniec. Dopiero jakieś sześć miesięcy temu zauważyłam, że znów zdecydował się rozwinąć pęd. – Blue dotknęła palcem żółtawego, poskręcanego liścia. – Przez pół roku obserwowałam tego cherlaka, aż stwierdziłam, że jest jakiś uszkodzony. Ty wiesz, jak się czułam? Tyle lat czekałam, żeby wreszcie ruszył do przodu, a on mi pokazuje takie małe, pożółkłe coś! Byłam naprawdę zła, choć pewnie trudno ci to sobie wyobrazić. – Puściła do mnie oko. – Ale wiesz, że dopiero wczoraj przyszło mi do głowy, żeby obejrzeć z bliska tego niewydarzeńca? A mówią, że człowiek mądrzeje z wiekiem... – Cmoknęła nad sobą z dezaprobatą.

Oparłam się o parapet, grożąc Blue, że zaraz zwariuję, jeśli nie

przyspieszy. Mama odsunęła mi pasmo włosów za ucho i bez słowa obróciła roślinę o sto osiemdziesiąt stopni.

– Co to jest? – Patrzyłam zdziwiona na pokryty fioletowawymi kuleczkami wyrostek.

– Właśnie ta czwarta strona. Z każdej innej to wyglądało na niewydarzony liść. I patrz, jaka niespodzianka! A wiesz – uśmiechnęła się z taką dumą, jakby wreszcie zdefiniowała dla siebie esencję życia – wiesz, że ten zamiokulkas kwitnie niezwykle rzadko?

Nic więcej nie musiała mi mówić. Historia i była niesamowita, i niosła w sobie treść, dla której usprawiedliwiłam przydługi wywód Blue. Mama dalej patrzyła na kwiatka z czułością. Zadziorne sprężynki włosów ładnie pasowały do jej uśmiechu.

– Dziękuję, mamó. A ty wiesz, że ja zawsze chciałam mieć takie kręcone włosy jak ty?

– A ja oddałabym duszę diabłu za te twoje gładkie, ciemne pasma. – Przytuliła czoło do mojego czoła.



Zwierzyłam się Blue, bo nie byłam w stanie sobie z tym wszystkim sama poradzić. Ciągłe zaglądałam na bloga i miałam wrażenie, że czytam książkę lub oglądam film z rodzaju tych, których zawsze unikałam. A tu proszę! Gotowy scenariusz, tak nieprawdopodobny, że wręcz idealnie wpisujący się w klasykę gatunku. Tylko bohaterka cokolwiek do niego nie pasowała. Ani piękna, ani szczupła, ani młoda. Wiele razy stawałam przed lustrem w przedpokoju, w którym cały czas widziałam smutną twarz Doroty. Patrzyła na mnie uporczywie, choć prosiłam ją, żeby już sobie poszła. Za oknem deszcz padał nieustannie i nie pozwalał oderwać się od wspomnień. Patrzyłam na swoje stopy i widziałam nasiąknięte wodą tenisówki Doroty. Nie wyniosły się nawet wtedy, gdy całkiem rozebrałam się przed lustrem i z bardzo bliska obejrzałam te swoje lata.

Nie, nie miałam jeszcze zmarszczek. Dodatkowe kilogramy wypełniały ich zaczątki lepiej od kolagenowych zastrzyków. Nie miałam też rozstępów ani obwisłej skóry na brzuchu. Ciało było mocne i ładnie zaokrąglone. Ale – zastanawiałam się – długo tak jeszcze? Odsłaniające się szyjki zębów. Coraz słabszy wzrok, dopominający się o okulary. Hemoroidy i pękające pod kolanami żyły. I wreszcie

kręgosłup, który nie pozwalał zbyt długo wysiedzieć przy pianinie. Więc ile jeszcze mogłam mieć tej gwarancji na zdrowie i względny wygląd?

Przez chwilę pomyślałam, że Szymon po prostu literacko zabawił się moim kosztem. Znalazł chwytliwy temat i liczył, że wypłynie w blogosferze? Mogłam mieć rację. O tym świadczyłaby ilość komentarzy pojawiająca się pod uaktualnianymi wpisami Szymona. Ale nawet i to było bez sensu. Kompletnie bez sensu.

Swoim zwyczajem nie robiłam jednak nic. Zaszłam się w mieszkaniu razem z Dorotą, której znaczenia w całej tej historii także nie umiałam zrozumieć. Tyle umysł i zdrowy rozsądek. Ciało przypominało sobie każdy dotyk Szymona, a palce mrowiły od wspomnienia jego zarośniętego policzka. Masz zmęczony oczy, powiedział, gdy widzieliśmy się ostatni raz przed wakacjami.

Nie rozumiałam nic. Nie wiedziałam, czy to wszystko mogło być prawdą, a jeśli nią było, to dlaczego. I po co. Bez końca analizowałam każde nasze spotkanie i próbowałam spojrzeć w oczy wypieranym przez siebie faktom i przeczuciom. Ale tak naprawdę mogłam wierzyć tylko ciału, które wyrywało się do Szymona.

To dlatego poszłam wtedy do Blue, wiedząc jednak, że stanie w kontrze do moich lęków. Nie myliłam się. Ale mama pokazała mi też czwartą stronę medalu. Stronę, której czasem w ciemno i na przekór wszystkiemu trzeba zaufać.

Gdy tylko zamknęłam oczy i dałam pierwszeństwo sercu, w moich drzwiach pojawił się Szymek.

28 września 2015

Komórka zawsze dzwoni w nieodpowiednim momencie. Odrywa mnie od wspomnień, a właściwie to od kolejnej próby zrozumienia, poukładania tych historii w jakąś sensowną całość.

Niechętnie odbieram telefon. To agent nieruchomości, który zajmuje się sprzedażą naszego domu.

– Nie przeszkadzam? – pyta szybko i nie czekając na moją odpowiedź, informuje mnie, że umówił na jutro kolejnego potencjalnego kupca. Akceptuję godzinę i zapewniam, że pojawię się trochę wcześniej, żeby przewietrzyć pokoje i stworzyć trochę „atmosfery”. Podobno, jak mówi agent, nieruchomości, które sprawiają wrażenie zamieszkaných, łatwiej sprzedać. To ciekawe, bo udaję już tak od roku i ciągle pierwszymi i jedynymi właścicielami jesteśmy my. Ja i M.

Następnego dnia próbuję w moim domu zamieszkać razem z ciastem, którego zapach nie wtapia się jednak w laboratoryjne ściany. Kłamstwo czuć każdym zmysłem. Usiłuję nieprawdnie dodać choćby mikrego alibi, burząc nieskazitelny układ zasłon i rzucając na kuchenny stół magazyn dla kobiet. Licem do dołu, żeby nie było widać, że to gazeta dyżurna, kupiona przed kilkoma miesiącami. Co by tu jeszcze? Zaglądam do kosza na odpadki. No proszę! Spośród opakowań i papierowych ścinków wystaje szyjka butelki. Wyjmuję ją szybko, bez obawy, że pobrudzę dłonie. W moim koszu resztki dżemu nie kleją się do bananowych skórek, a ogryzki jabłek nie ślimaczą paragonu, który po wyrzuceniu do śmieci okazuje się ważny. Akurat teraz jestem z tego zadowolona, choć w każdym innym przypadku oddałabym wszystko za tę codzienność, zwykłość wielu rodzin.

Na dnie butelki kołysze się resztką alkoholu. Ależ mam szczęście! Szybko wypakowuję z kartonów dwa kieliszki (tak, tak, nie zdążyliśmy się z mężem jeszcze rozpakować, a już nas czeka nowa przeprowadzka) i brudzę je bordową cieczą. Położony obok talerzyk z kawałkami czekoladowca bardzo ładnie uwiarygodnia kłamstwo i przywodzi na

myśl wszystkie planowane przy tym stoliku spotkania. Nie udało się, ale kanwę do mistyfikacji mam jak znalazł. I tę płaszczyznę, na której mogę spotkać się z M. On przy wykańczaniu domu opróżnia kolejne butelki, ja potem używam ich w wiadomym celu.

Kieliszki wyglądają tak zachęcająco, że od razu nabieram ochoty na wino. Ale przecież nie będę piła tego, co już pewnie i zwietrzało, i zdążyło sfermentować. Zaglądam prędko do szafki, którą przeznaczaliśmy na alkohol. Drewniany front patrzy na mnie głębokimi oczodołami, z których tylko jeden wygląda jak zaklejone oczko w plastrze miodu. Butelka nie jest nawet otwarta. Nie zastanawiam się nad jej pochodzeniem, tak samo jak nie czuję potrzeby dociekać obecności tej drugiej w koszu na śmieci.

Nagle jednak wzbiera we mnie taki żal na te wszystkie nieprawdy i niebyłości, że odkręcam wino i piję z gwinta. Twoje zdrowie, mężu – unoszę butelkę do góry, próbując wyobrazić sobie, jaką minę miałby M, gdyby mnie teraz zobaczył. Na pewno byłby zaskoczony kolejną rysą, którą ujawniła piękna fasada. Tak, jestem skłonna przypuszczać, że on kiedyś kochał we mnie tylko tę fasadę. Tę tajemniczość i nieprzystawalność do kanonów mody. I jeszcze moment, gdy zakładałam mały kapelusz ozdobiony granatowym kwiatem i gdy mówiłam, że urodziłam się kilkadziesiąt lat za późno. Tak. Moje ubrania zdecydowanie łatwiej byłoby dopasować do początków dwudziestego stulecia niż do czasów współczesnych. Ale, mój drogi mężu, przecież nie jestem swoją oprawioną w ramki praciotką! Muszę czasem pójść do toalety i ogolić sobie nogi. I jeszcze zlikwidować te parę ciemniejszych włosków nad ustami. I czasem pochodzić nago, żeby przewietrzyć intymność.

Łucka! Nie odzieraj się tak ze swoich tajemnic! – słyszę w głowie wielokrotnie powtarzane przez M słowa i piję im na przekór.

Dobrze, że chwilę później słyszę nadjeżdżający samochód, bo całkiem bym się rozkleiła. Prędko wyrzucam pustą butelkę z powrotem do kosza, stawiając na jej miejscu tę ledwo co napoczętą, i już goście wchodzi do domu. Ona w typie hrabiny, z doskonale ułożonymi włosami, okłamującymi czas ciemną farbą. Mówi niewiele. Kiwa tylko głową i uśmiecha się w sposób bezpieczny dla swoich zmarszczek. On, podciągnięty mezaliansem do godności lorda, wszystko krytykuje,

mówiąc, że zrobiliby to inaczej. Bardziej funkcjonalnie.

Już wiem, że nie wprowadzą się do mojego domu. Agent też to wie i po jego minie widzę, że próbuje dociec, co jest nie tak z tą nieruchomością, skoro nikt jej nie chce kupić. Chwilę później odpowiedzi na to pytanie udziela mu sama hrabini:

– Ten dom jest jak pudel.

Mam wrażenie, że do tak prostego przekazu nie pasuje jej zadęcie i cedzenie słów.

– Pudel? – Bardzo uprzejmie unoszę brwi.

– No, tak. – Palce przesuwające się po złotym łańcuszku są zdziwione moim pytaniem. – Wie pani. Tutaj wszystko jest takie białe, sterylne. Śpiące jak pies na sofie.

– I takie mało funkcjonalne – dorzuca swoją ulubioną kwestię hrabiowski małżonek.

Po ich wyjściu czuję, że znów muszę się napić. Tym razem wino nalewam sobie do kieliszka. Wszak jeszcze unosi się tutaj duch eleganckich gości, którego trzeba ufetować w odpowiedni sposób. Z zarzuconymi na fotel nogami powoli sączę alkohol, a potem z westchnieniem idę do łazienki. Tej na górze. Tej, która miała być moja. Jakie to śmieszne! W mieszkaniu używamy wspólnej toalety i wanny. Tutaj każdy miałby swoją własną i nie byłoby trzeba ze złością i obrzydzeniem sprzątać po tej drugiej osobie. Ścierać tłustych pasków z wanny i wyjmować włosów z odpływu. Czyścić zasikane klozetu. Ale przecież nie wprowadzimy się do tego domu! Bo jako kto? Małżeństwo chwilę przed rozwodem, o który nie chce się wystąpić żadnemu z nas? Jakie to śmieszne.

Unoszę swoje koronki, a potem z impetem siadam tam, gdzie nie powinnam. Na złość temu wszystkiemu. I M, i temu domowi, co to jak biały pudel... Łzy, które płyną mi po policzkach, są tak samo ciepłe jak strużka moczu biegnąca do dziewiczego odpływu wanny.

Już więcej nikt mi nie powie, że mój dom jest jak śpiący i bardzo czysty pies.



Do mieszkania wracam pieszo, bo wino nieźle szumi mi w głowie. Przez chwilę zastanawiam się, czy jednak nie sięść za kierownicą, skoro to tylko kawałek, ale dzisiaj jestem w takiej formie, że naprawdę

mogłabym narobić sobie kłopotów. Zamykam więc auto i trochę nie na swoich nogach ruszam poboczem w dół drogi. Ktoś uprzejmie proponuje mi podwiezienie i już sięgam do klamki starego fiata, gdy z radio słyszę When a Man Loves a Woman Boltona. Palce ześlizgują się po czerwonej karoserii i odrywają od niej. Idę dalej, bo gdybym wsiadła, wspomnienia zagryzłyby mnie do reszty. I to przy obcej osobie.

Piosenka nie chce się jednak odzepić od mojej głowy i płacze mi krok. Bo kiedy mężczyzna kocha kobietę, to jej nie odrzuca po dwóch latach jak zepsutą zabawkę. Nie przestaje też nosić obrączki i nie odsuwa się z nie wiadomo jakiej przyczyny. Ale, macam kieszeń, jakoś pomimo tego, mój mężczyzna nie nałożył mi embarga na miedziunki i trwa w swoich racjach, że jedna to mi się codziennie należy. Jak psu miska zupy czy też buda. Tyle że ja jakoś nie merdam ogonem. Psu też do szczęścia nie wystarczą namiastki. To dlatego wpycha się panu pod pachę i nachalnie domaga codziennych porcji czułości.

Niezrozumiały w swej logice M nie potrafi pokonać niechęci do mnie, ale nie jest na tyle mocny, żeby powiedzieć „nie” miedziunce. Wsuwa mi te smakołyki do kieszeni, odkąd tylko poznał moje upodobanie, i nie potrafi przestać. Ze złością ciskam miedziunkę w trawę, żałując tego od momentu, w którym czekoladka znika mi z dłoni. Bo też nie umiem. Nie umiem pokonać swojego łakomstwa i nie żreć tych cholernych słodyczy, które do kieszeni płaszcza czy swetra wkłada mi M. Teraz pożądam tej czekoladki tak mocno, że zakasuję sukienkę i wchodzę w trawę. Na rumianku, jak na drogowskazie, buja się rynnica topolowa. Zapamiętałam nazwę tego chrząszcza, bo uwiódł mnie kolor jego miedzianego pancerzyka. W końcu wszystko, co miłe i ładne dla naszego oka, wchodzi nam do głowy szybko i na długo. M nawet nie musiał mi tej nazwy powtarzać, chociaż najłatwiejsza nie jest.

Żuk kołysze się dalej na rumianku i zapewne ma takie sensacje w żołądku jak ja. Miedziunka musiała nieprzyjemnie wprawić w ruch jego małą stabilizację. Litościwie zatrzymuję ten lunapark i zaczynam brodzić po otaczającej go łące. Mam szczęście; dość szybko trafiam na swoją wersję rynnicy topolowej o równie miedzianym kubraczku. Wyłuskuję smakołyk ze złotka i łakomie zapycham nim usta, a na

efekt połączenia czekolady i wina nie muszę długo czekać. Usta ocieram liściem szczawiu, bo chusteczek, jak zwykle, nie mam przy sobie. Nie mam też przy sobie M, który te chusteczki zawsze nosi. Może odsunął się ode mnie dlatego, że w ważnych momentach nie mam chusteczki? Może Rhett z tego samego powodu zostawił swoją Scarlett? Czuję się tragicznie, więc w poszukiwaniu miętówek, które mogłyby pomóc na żołądek i... na jego zapach, przegrzebuję torebkę, a potem wyrzucam jej zawartość na drogę. Ze złością rozpinam każdą kieszeń i wybebeszam wszelkie schowki. Na ziemię lecą: portfel, komórka i dokumenty. Nieco wolniej spadają paragony i chusteczki, wielokrotnie utwardzone smarkami. W końcu gdy się nie posiada czystej sztuki, to taka zużyta jest na wagę złota. I dlaczego niby nazywa się je jednorazowymi? W torbie znajduję też zaschnięty ogryzek i, wreszcie, pudrowe koraliczki, które wybieram uważnie spośród chusteczkowych paprochów i ziarenek piasku, a potem pakuję do ust. Mięta skrzypiąco przebija się przez posypkę. Od razu mi lepiej. Sprzątam szybko swój bałagan, wrzucając wszystko do torby jak leci.

Zatrzymuję się tylko przy dość dużej, złożonej na czworo kartce. Nie pamiętam, żebym coś takiego nosiła przy sobie. Jeśli już, musiała wypaść chyba z tego dolnego schowka, zakamuflowanego tak, że o jego istnieniu dowiedziałam się dopiero rok po zakupie torebki. Z uwagą rozkładam papier. Może to pozew rozwodowy? Nie, to nie jest pozew, odsuwam na bok czarne poczucie humoru. To gwarancja na kupiony przed laty stół! Ta sama, o zagubienie której posądziłam M, jeszcze wtedy nazywanego mężem. A tymczasem to nikt inny, tylko ja wcisnęłam ją do skajowej kieszeni i o niej zapomniałam.

Jakie to śmieszne, myślę nie wiadomo który już raz dzisiaj, przysiadam na poboczu i zaczynam się histerycznie śmiać. Usta mam otwarte, oczy – przeciwnie i pewnie dlatego wciska się do nich tusz. Trę powieki pięścią, powodując jeszcze większe szczypanie. Szkoda, że cię tu nie ma, mój kochany M! Zobaczyłbyś personifikację swojego pojęcia klasy. Zobaczyłbyś ukochaną księżniczkę w uszarganej wymiocinami i trawą sukni i w upiornym makijażu.

Gdy tylko wreszcie przestaję się śmiać, powoli, na czworakach, podnoszę się z ziemi. To wino poszło mi chyba ołowiem w żyły. Głowę

mam ciężką, a i żołądkowi wcale nie jest lepiej. Sukienka też dzisiaj piła, bo nie chce wstać i wywraca mnie z powrotem na ziemię.

Chwilę później znowu próbuję się podnieść, ale tym razem zaczynam od włosów. Skołtunione, wpadają mi na twarz i czepiają się źdźbeł trawy. Zbieram je byle jak w ciężki węzeł i powoli staję na nogach. Dla utrzymania równowagi otwieram oczy, bo opadające powieki grożą wirującymi kręgami i podskoczeniem żołądka do gardła. Dokładam jeszcze dwa oddechy i chyba jest trochę lepiej. A może nie jest, bo przecież gdyby było dobrze, nie zatrzymałby się przy mnie ten samochód.

– Pomóc pani? – Za obniżoną szybkością pojawia się twarz Beaty, mojej dawnej uczennicy. Nie widziałam jej... Nie widziałam jej od wtedy, od tej naszej ostatniej rozmowy, podczas której próbowałam przekonać ją, żeby wróciła na lekcje. Beata przypatruje mi się uważnie i nie mam wątpliwości, że mnie rozpoznaje. Gdybym była na jej miejscu, pewnie podniosłabym z powrotem szybkość i odjechała. Nie: gdybym była na jej miejscu. Gdybym to ja nią była. Beata jest mądra i zawsze mi tą mądrością imponowała. Jakoś sobie z tym poradzę – przypominają mi się jej słowa sprzed kilku lat, którymi skwitowała swoje nieodwzajemnione uczucie, więc zapewne, z kolejnym rozczarowaniem, w którym aktywnie uczestniczyłam, też się uporała.

Patrzę na jej subtelną twarz. Niewiele się zmieniła od tamtego czasu. Ma tak samo długie i ciemne włosy, niemal białą buzię i czarne oczy, które patrzą na mnie z wyczekiwaniem.

– Podwoję. Niech pani wsiada.

Zastanawiam się tylko przez chwilę. Nie wiem, czy mi przebaczyła, ale widzę, że potrafi być ponad to. Że ma klasę. Jest mi gorzko i może jeszcze bardziej wstyd, ale ujmuję klamkę i wpełzam na siedzenie. Beata wrzuca jedynekę i wyjeżdża na szosę.

– Grasz jeszcze? – pytam, zanim pomyślę. Niepotrzebnie dotykam przeszłości.

Potrząsa głową, patrząc uważnie na drogę

– Miałaś talent do muzyki i wielką chęć do pracy.

– Ale straciłam do niej serce – ucina.

Przez te może dziesięć minut jazdy nie odzywamy się już do siebie. W sumie jestem jej za to wdzięczna, bo migające za oknem obrazy

znów przyprawiają mnie o mdłości, a wewnątrz samochodu zaczyna lekko falować. Pijana się nie czuję, ale dobrze wstawiona już tak. I śmierdzę wymiocinami, bo mam nimi pobrudzoną sukienkę. Pozwalam mokrej plamie wsunąć się między kolana, które mocno zaciskam. Śmierdzi i tak, ale Beata jest ponad przeszłość i teraźniejszość.

– Nie czujesz do mnie żalu? – Mam dość tych niedopowiedzeń i dobrego wychowania. Chciałabym, żeby powiedziała mi w twarz, że zachowałam się nie fair. Mogłabym się wtedy bronić. Coś tłumaczyć. Może trochę zatrzeć wspomnienie wyrazu jej oczu, kiedy poznała prawdę. Ale nie. Wtedy nie powiedziała nic, więc i teraz nie powie. Spójna, interesująca i bardzo wartościowa kobieta. Ten, kto ją oceni właściwie, zdobędzie wielki skarb. Chciałabym z nią porozmawiać. Tak jak kiedyś usiąść pod ścianą i posłuchać historii z jej podwórka. Krzepić się mądrością i dojrzałością tej subtelnej dziewczyny, ale, jestem pewna, taka zażyłość między nami nie mogłaby już powrócić.

Beata odwozi mnie pod blok. Staje przy krawędzi ulicy, nie wyłączając silnika. To znak, że powinnam wysiąść. Zbieram fałdy sukienki, ale i tak potykam się o nią i upadam na chodnik.

– Za dużo wypiałam. Cóż, zdarza się. – Jest mi głupio, że moja była uczennica musi to oglądać. Powoli wstaję na nogi i szukam w torebce klucza do drzwi klatki schodowej. Znów nie mogę nic znaleźć, ale tym razem powstrzymuję się od wyrzucenia wszystkiego na ziemię. Dziękuję tylko Beacie za pomoc i wduszam przycisk domofonu. Niech ona już stąd odjeżdża! Jednak dziewczyna rusza dopiero wtedy, gdy brzęczyk elektronicznego dozorczy wpuszcza mnie do bloku.

W drzwi mieszkania tłukę pięścią tak długo, aż M w końcu mi otworzy i potem zniknie na powrót w swoim pokoju. Rzucam torebkę na półkę, ale zielony aksamit zsuwa się z niej i spada na podłogę. Szminka toczy się pod moje nogi. Portfel i dokumenty są bardziej statyczne. Święty Krzysztof doczepiony do kluczyków brzęka metalem o płytki. Najsubtelniejsze są zasmarkane chusteczki, skasowane bilety i ta cholerna gwarancja.

Do bałaganu, którego narobiłam, dokopuję jeszcze buty. Swetrem także, tym razem celowo, nie trafiam na półkę. Jutro posprzątam. Zresztą, co tam taki bałagan. I tak się go sprząta łatwiej niż ten

niewidoczny, ten ze środka. Fiksuje się jakoś mocno na tym sprzątanu, bo gdy tylko zerkam w łazienkowe lustro, widzę, że muszę zrobić z sobą porządek. Teraz. Natychmiast! Włosy mam skołtunione i też ubrudzone wymiocinami. Nikt by nie rozpoznał w nich długich do pośladków pasm. Zadbanych i wciąż nietkniętych siwizną, ale wyglądających ładnie i wygodnych tylko wtedy, gdy siedzę przy pianinie lub na fotelu. Innym razem wpadających do zupy, targanych przez wiatr i... klejących się do ust podczas wymiotowania. A ja w takich chwilach wolałabym się skupić tylko na wyprowadzaniu treści z żołądka, a nie chronieniu przed nią włosów. Dlatego, bez zastanowienia, łapię nożyczki i chwilę później patrzę, jak ciemne loki wiją się po podłodze. Wokół głowy sterczą mi nierówno przycięte kosmyki, które sięgają ramion. Może dalej wchodzi mi na twarz, ale już nie ciągną ku dołowi. Mam wrażenie, że moja sylwetka się prostuje, że głowa i szyja wracają do pionu, wreszcie nieodciągnięte przez włosy. Teraz jeszcze muszę zrobić to samo z mokrym i klejącym się do nóg ubraniem, które krępuje mi ruchy. Nożyczki dalej trzymam w dłoni i, nie wahając się ani sekundy, sięgam nimi do materiału. Kilkoma ciachnięciami odmładzam sukienkę, żeby pasowała do mojej krótkiej, dziewczęcej fryzury. Odcięte falbany opadają kołem na płytki łazienki. Hm... wygląda, jakbym się z nich wykluła. Sił starcza mi jeszcze na tę myśl. Nie jestem już w stanie się umyć. Chcę dziś naśmiecić, ubrudzić się sobą i ubrudzić siebie maksymalnie.

Zostawiam cały ten bałagan. Niech choć raz pomęczy się z nim M. Niech ponarzeka, niech pooburza się na swoją dawną księżniczkę. Wiem, że jutro to ja będę musiała wszystko posprzątać, ale świadomość, że zakłócę M poranne zabiegi higieniczne, jest dla mnie bezcenna. Gaszę światło w łazience i, nie umywszy nawet zębów, ruszam do sypialni. Lekkość kroków mnie zadziwia. Każę załamywać ręce nad własną głupotą. Nad tym, że przez tyle lat byłam „księżniczkowa”, sukienkowa i kapeluszowa. Dopiero teraz doceniam wygodę płynącą z minimalizmu.

Idę trochę po omacku. Wino wciąż jeszcze płacze mi nogi, a ciemność idzie mu w sukurs. Potykam się o dywanik i ląduję na drzwiach od pokoju M, za którymi widzę tylko nikłą poświatę. Mogę się założyć, że znów czyta przy latarce pod kołdrą. I pewnie znów to samo!

Cholerny Piotruś Pan! Patrząc na dłonie i nagle zwijam je w pięści. Szyba przyjmuje ich uderzenia z dźwiękiem, który wcale nie tłumi krzyku.

– Niech cię szlag! Niech cię szlag! – Szpary między sklejką a szkłem na pewno przepuszczają do pokoju moje słowa. – Niech cię szlag! Za mnie i za Beatę! I...

Przy słowie „Beata” uchodzi ze mnie cała siła. Nie potrafię już wykrzyknąć, wbić pięścią w drzwi imienia jeszcze jednej osoby, której w życiu namieszał mój mąż. Osuwam się na podłogę i znów zaczynam szlochać. Pokój M jest ciągle cichy. Niewzruszony w stosunku i do mnie, i do moich problemów. Rezygnuję i na czworakach idę do swojej sypialni. Winduję się na łóżko i odpływam niemal natychmiast. Może dlatego nie jestem pewna słów, które, jakiś czas później, słyszę nad sobą:

– Nie potrafiłem ich pokochać, bo kochałem ciebie. Wciąż cię kocham. – Ciemny kształt zawisa nade mną i szuka ustami moich ust. Szymon? Szymi? Zmęczenie jednak wygrywa...

To był sen. To na pewno był sen.

30 września 2015

– Jak ty możesz?! – Zamiast przywitania, od progu celuję w Blue swoim niezrozumieniem. Oburzonym niezrozumieniem. Mama ogarnia mnie wzrokiem i, choć zauważa nową fryzurę i krótkie spodenki, nie mówi na ich temat nic. Jak zwykle czeka, aż sama powiem, co mnie gryzie. To już od razu odbiera mi argumenty. Matka Blue akceptująca zawsze i wszystko. A może po prostu nieobnosząca się z własnym zdaniem.

– Ściąłam włosy – stwierdzam buntowniczo, nie po swojemu. Bo ja od wczoraj nie jestem sobą.

Blue zaciąga się odwiecznym papierosem.

– Widzę. Do nowego, zadziornego stylu nie pasuje ci tylko torebka – stwierdza lekko i zaprasza mnie do pokoju.

Fakt. Na sobie mam T-shirt i krótkie spodenki. Stare, zbyt obcisłe, ale skompletowanie nowej garderoby pewnie zajmie mi trochę czasu. Rano nie mogłam już patrzeć na te wszystkie suknie i staromodne butki. Na torebkę też nie mogłam, ale nie miałam siły przepakowywać jej zawartości do innej. Zwłaszcza że M posprzątał. Jak zwykle posprzątał mi torebkę. Wyrzucił zużyte chusteczki i skasowane bilety, a rzeczy ważne porozmieszczał w odpowiednich dla nich przegródkach. Do tej pory nie rozumiem, jak to jest. Wokół siebie robi masę bałaganu, którego nie widzi. Mnie, nawet teraz, sprząta torebkę i kieszenie ubrań. Łatwiej mu zrobić porządek w rzeczach niż w naszym życiu.

– Zjesz z nami drugie śniadanie? – Z kuchni wychyla się Gerard z patelnią. Aż by się chciało walnąć go nią w głowę! Ale przez te artystyczne kudły, przez włosy, których staruszek nie powinien już mieć, nie dotarłabym do mózgu. Wzdycham i poprzestaję na morderczym spojrzeniu, które Gerard odczytuje w sobie tylko właściwy sposób:

– Już wiem. Kawy ci potrzeba, córko B.

– Powinnam ci powiedzieć „ojcze B”?

Widząc, że nie jestem dziś skłonna do żartów, ojczym usuwa się do kuchni. Patrzą więc wyzywająco na Blue, która opiera się o framugę drzwi. Ma na sobie ulubiony niebieski szlafrok, który jest moim pierwszym wspomnieniem z dzieciństwa. Od zawsze kojarzyłam mamę z tym kolorem, więc, skoro tylko liznęłam trochę angielskiego, słówko blue stało się najbardziej adekwatnym określeniem mojej rodzicielki. Czyli nic u nas nigdy nie było normalnie. Nie mówiłam do mamy „mamo”, a „tato” mówiłam czasem do Gerarda, dla którego z kolei byłam córką B. Córka A, z pierwszego małżeńskiego łoża z żoną A, dzięki Bogu, nie mieszkała z nami.

– Co jest, mała? – rzuca w końcu Blue. Tą „małą” chce mi zapewne ułatwić komunikację i wyzalenie się w matczyne... fartuch.

Obrzucam ją niemiłym spojrzeniem, bo jestem dziś bardzo niemiła i nie zamierzam się z tym kryć.

– Powiedz... – Czekam aż wypuści z ust zgrabne kółko. – Powiedz mi, kim ty właściwie jesteś dla Gerarda. Byłaś żoną. A teraz? Była żoną, która mieszka wspólnie z byłym mężem?

Blue nie mówi nic. Przez chwilę patrzy na dekomponującą się coraz bardziej strukturę dymowego okręgu, a potem mówi do mnie: „Chodź” i zamyka wszystkie drzwi do stołowego. Prowadzi mnie do sofy, każe usiąść. Sama lokuje się na krzesło i wkłada pod plecy poduszkę. Papieros ani na chwilę nie opuszcza jej palców.

– Dlaczego nie zamieszkacie oddzielnie? – drażę. – Dlaczego trwacie w takim dziwnym układzie?

– Bo nam obojgu ten układ pasuje. – Wydaje się zdziwiona swoją tolerancją i niemożnością znalezienia innej, mniej gorszącej odpowiedzi. – A dlaczego ty trwasz w identycznym stanie rzeczy, który najwyraźniej cię drażni?

Wiem, że mnie nie oskarża. Nie Blue. Pyta czysto informacyjnie i czeka. Czeką cierpliwie, aż wyartykułuję to, co z takim trudem przechodzi mi przez gardło. Podaje mi papierosa, ale odmawiam, bo żołądkowi robi się niedobrze na wspomnienie wczorajszych mieszanek i ich skutków. W końcu, pokonana nieumiejętnością wytłumaczenia idiotyzmu, który jest moim udziałem, kapituluję:

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie możemy sprzedać tego cholernego domu.

– Bzdura! To żadna wymówka. Gdybyś naprawdę chciała się rozstać z mężem, wyprowadziłabyś się w jednej koszuli, nawet nie mając pomysłu, gdzie pójść.

Patrzę na Blue szeroko otwartymi oczami.

– Z czego go spłacę, mamó? Ja dałam tę cholerną działkę, ale pieniądze na dom były z jego sprzedanego mieszkania. I jeszcze ten kredyt... – bronię swoich racji.

– Jeśli nic do niego nie czujesz, jeśli jest ci z nim źle, to się wyprowadź. Spakuj jedną walizkę. Twój pokój ciągle jest wolny. – Blue zapala kolejnego papierosa. – A kiedy sprzedacie dom, podzielicie pieniądze i wasze drogi się rozejdą. No, jak? Tego chcesz?

Mama przyszpila mnie dymowymi kóleczkami tak, jakby obrysowywała moje ciało. Przyszpila mnie też trafnością uwag. W pewien sposób unieruchamia jak w pułapce i każe bardzo intensywnie myśleć.

– To jest, wbrew pozorom, bardzo proste. Wybór między „chcę” a „nie chcę”. Obrazu się pozbyłaś, prawda?

Prawda. Patrzę na nasz portret ślubny. Kiedy się między nami popsulo, przyniosłam go tutaj. Wiedziałam, że nie chcę mieć go w domu, choć jest piękny. I taki nasz. Granatowa dziewczyna i złoty chłopak. Obrączki, w tych samych barwach, ale kontrastowo do postaci. U M coś granatowiło się na palcu, ja dotykałam opuszką złotawego okręgu. Patrzę na mojego młodego męża i zastanawiam się, czy na pewno nie wyszłam za kogoś innego. Ten tutaj ma w sobie radość i jasną, otwartą twarz. Co zostało z tego w M? Chyba nic.

– No więc jak? Szykować ci pokój? – Głos Blue każe mi się odwrócić.
– To jest prosta decyzja.

– Chyba dla ciebie.

Kiwa głową.

– Masz rację. Dla mnie byłaby prosta.

– Ale dla mnie nie jest – odpowiadam szybko. – Nie umiem podjąć tej decyzji i nie mam pojęcia, jak z tym wszystkim dalej żyć.

Mama znów wypuszcza kóleczek z ust i uśmiecha się do mnie.

– To znaczy, że nie jesteś pewna. Że nie jesteś gotowa na podjęcie jakiegokolwiek decyzji.

– To co mam robić? – pytam cicho. – Jest mi coraz trudniej – dodaję

i referuję krótko ostatnie dni. Nie pomijam nawet tego, że M ciągle pamięta o miedziunkach. Że sprząta moją torebkę. – Co ja mam robić, mam? – powtarzam zgnębiona.

Blue przysiada obok i odsuwa mi krzywo przycięty kosmyk włosów za ucho.

– Najpierw idź do fryzjera. A potem? Potem daj sobie czas. W końcu podpowie jakieś rozwiązanie albo tobie, albo jemu. Aha! – Łapie mnie za nadgarstek. – Zdejmij też to. Może będzie ci lżej.

Cofam rękę szybko, mówiąc:

– Wiesz, że nie mogę. To jedyna pamiątka, jaką mam po ojcu.

– Przez którą ciągle myślisz, że nie zasługujesz na miłość, i bierzesz tylko to, co zechce ci dać życie. Nie umiesz sięgnąć po swoje szczęście.

– Mama daje mi dziś bardzo wyraźne wskazówki. Bardzo wprost próbuje zwrócić moją uwagę na to, czego nie umiem lub nie chcę przyjąć do wiadomości. Gdybym tylko potrafiła wyjść z tego konturu, z tego obrysu mojej osobowości, który przyszpileczkowała dziś dla mnie Blue! Gdybym mogła wysunąć się z tych ram i spojrzeć na siebie z dystansu. Byłoby łatwiej. Albo nawet zupełnie prosto.

– Czy ty wiesz – wybucham niespodziewanie dla samej siebie – czy ty zdajesz sobie sprawę, że ja do dziś pamiętam tamten dzień?

Brwi mamy unoszą się nierozumiejąco.

– Dzień, w którym ojciec się wyprowadził! – mówię prawie przez łzy, Blue niczego mi nie ułatwia. Jest obok, słucha, ale nie dopisuje żadnych dygresji do tego, co chcę jej powiedzieć. Nie ma też pytań pomocniczych. Nie ma kółka ratunkowego. Moja historia jest tylko moją historią. Dopiero gdy ją z siebie wyrzucę, mama przestanie wreszcie milcząco palić papierosa i włączy się w rozmowę. Na razie przygląda mi się z zastanowieniem.

– Miałaś wtedy zaledwie dwa latka.

– Ale pamiętam! Pamiętam. Tato miał na sobie pomarańczowy podkoszulek z takiej miękkiej, frotowej tkaniny – prawie wykrzykuję swoje pierwsze, bardzo przykre wspomnienie. – Wniósł walizkę do jakiegoś żółtego samochodu. Ty stałaś obok i nie mówiłaś nic, choć tak bardzo chciałam, żebyś zatrzymała tatę! Ja to pamiętam, wszystko pamiętam. I jeszcze to, jak prosiłam, żeby pisał do mnie listy. Trzymałam go za nogę i nie chciałam puścić. „Będziesz do mnie pisał

listy? Będziesz?”

Blue przyciska do ramienia moją twarz. Czuję, że jej szczupłe ciało usiłuje zapanować nad płaczem.

– Tak było. Dokładnie tak, jak mówisz – szepcze.

W szlafrok mamy nie da się płakać. Łzy jakoś tak niemiło spływają po materiale, zamiast w niego wsiąkać. Patrzę na ciemniejące od płaczu ścieżki i nagle odkrywam dla siebie dalszą część historii:

– Nie napisał ani razu. Najpierw nas porzucił, potem nie zadał sobie trudu, żeby choć narysować mi list. To jakby dwa razy mnie nie chciał, prawda? Chyba że ja o czymś nie wiem? Może dzwonił? Może pytał o mnie? – Już sama nie umiem sobie odpowiedzieć, czy chciałabym zrehabilitować ojca. W każdym razie pełen bólu wzrok Blue uświadamia mi prawdę. – No, widzisz. Dlatego wszyscy tak mnie traktują. I dlatego ja nie umiem prosić ani stawiać warunków. I nawet pozbyć się tego cholernego zegarka – kończę twardo i starannie osuszam łzy, a potem ostrożnie sonduję mamę trudnym pytaniem: – Czy ty się nie bałaś, skoro ojciec nawet nie chciał wziąć z tobą ślubu, czy się nie bałaś wyjść za Gerarda?

– Nie. – Oczywiście Blue mają w sobie już ten ciepły dystans do świata, który tylko na chwilę przesłoniły łzy. – Fakt, że twój ojciec nie chciał się ze mną ożenić, tylko ułatwił nam potem sprawę. Ale, jak widać w przypadku mojego drugiego związku, obrączka także niczego nie gwarantuje. I może na szczęście.

Słucham tego, co mówi mama, i pocieram palcami lewej ręki symbol swojego małżeństwa. W tej kwestii ja i Blue różnimy się poglądami zasadniczo. Bo ja chciałabym, żeby ta obrączka była gwarancją. Gwarancją i zobowiązaniem i może dlatego wciąż nie umiem jej zdjąć. U mamy czas i słońce dawno już zabiłszy wytatuowany na białą ślad. Tak na palcu – jak i w jej sercu i właśnie to jest mi tak trudno zrozumieć.

– Czy ciebie to nie boli?

– Ale co? – dziwi się zupełnie szczerze.

Zawężam temat machnięciem ręki:

– No, chociażby ojciec. I Gerard w sumie też.

Blue patrzy na mnie z czułym pobłażaniem, które może być chyba tylko sumą jej bliskiego siedemdziesiątki wieku i różnych

doświadczeń.

– Kiedyś... bolało. To znaczy bolało to, że nie potrafiłyśmy go zatrzymać. Bolało to, że wskoczył w nowe życie tak gładko, jakby zmiana całkiem zresetowała go jako człowieka. Bolało wspomnienie tej pomarańczowej koszulki i bolało to, że choć się starałam, nie mogłam być dla ciebie i ojcem, i matką. Potem bolało jeszcze to, że syndrom odrzucenia bardzo widocznie przełożył się na twoje życie osobiste. Ale nic nie było tak ważne jak to, że dzięki niemu mam ciebie, wiesz?

Zastanawiam się, jakim cudem mama ma tak spokojne, uważne spojrzenie. Że nie błądzi nim ponad rozmówcą, nie ucieka myślą do swoich spraw. Cały czas jest. Bardzo uważnie jest.

– Ty sobie poradzisz – kontynuuje, podwijając nogi pod siebie. – Jesteś silna, choć jeszcze nie masz o tym pojęcia. Zahartujesz się i potem też popatrzysz na to wszystko najpierw z dystansu, a w końcu dostrzeżesz plusy. Słowo starej malarki! – Z ręką na piersi i zwisającym z ust papierosem wygląda komicznie, ale właśnie taką ją kocham i nie wstydę się tego mówić.

– A Gerard? Gdzie teraz widzisz plusy Gerarda?

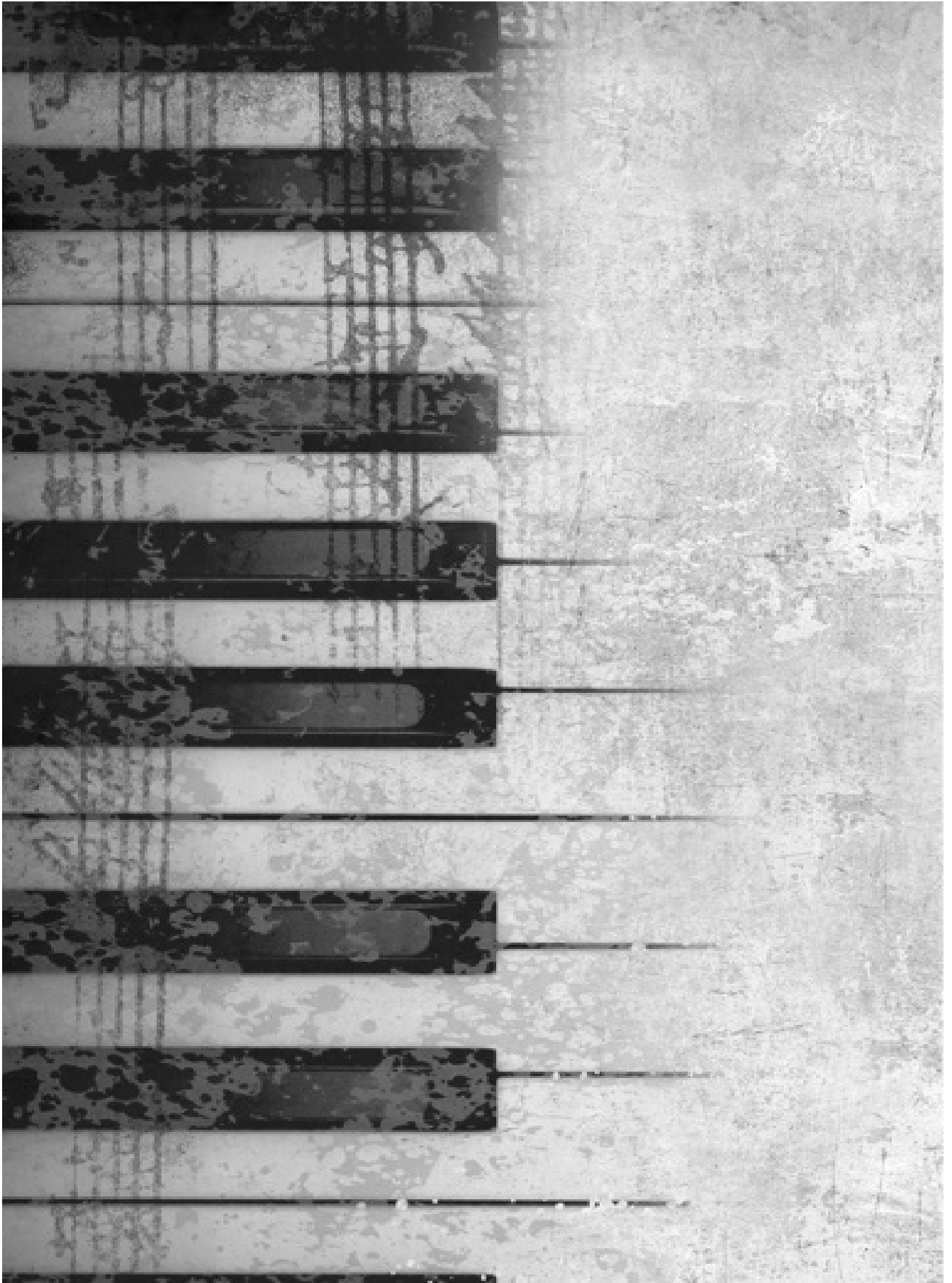
Blue się uśmiecha.

– Twój ojciec podarował mi ciebie, a Geruś, odkąd się poznaliśmy, składa mi takie zwykłe codzienne hołdy.

Oczywiście ta informacja mi nie wystarcza. Nie lubię czytać między wierszami. Wolę czarno-biały, wyraźny kontekst. Chciałabym się też najeść tego jej spokojnego, porozwodowego i ciągle wspólnego życia z moim ojczymem, ale drzwi do pokoju od strony kuchni otwierają się z cichym skrzypnięciem. Może to i dobrze. Czas już ochłonać i położyć kres dzisiejszym wzruszeniom.

– Ja jednak zrobiłem tę jajecznicę – informuje Gerard, a Blue puszcza do mnie oko i szepce:

– Wiesz już, o co mi chodziło? Na przykład o to, że nikt, po prostu nikt, nie umie zrobić takiej jajecznicy.



Wtedy

Przez całą resztę wakacji tęskniłam do momentu, w którym znów zobaczę Szymona. Tak zburzył mi spokój tym blogiem! Tak ciągnął do siebie, że obsesyjnie pragnęłam go zobaczyć. Rozsądek nie bronił się już wcale.

W domu nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca. Nie potrafiłam też tak po prostu pójść do Szymona. Mimo wszystko, ten mój wiek i poczucie, że to jednak mężczyzna powinien zrobić pierwszy krok, odbierały mi władzę sprawczą. Kręciłam się po upiornie gorącym mieszkaniu, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Książki drażniły. Telewizor – jeszcze bardziej. A pianino miało dość wycierania stale tych samych klawiszy. Może to dlatego pewnego dnia kupiłam butelkę wina i upiłam się nim, czytając po raz kolejny wiadomego bloga. Nadal nic nie pojmowałam. Szymon obnażał się przed całym światem, a nie potrafił tego zrobić przede mną. Czytałam w kółko znane już na pamięć zdania i uczyłam się najnowszego wpisu:

Tęsknię za nią bardzo. Nie widziałem jej od dwóch miesięcy. Myślałem, że mi przejdzie. Próbowałem nawet zapomnieć, ale nie potrafię. Co ta kobieta w sobie ma, czego nie umiem znaleźć w innych? Moja Adelina. Moja tylko na tym blogu...

Wczytywałam się uważnie w komentarze, dość szybko wyskakujące pod tekstem. Adelinowy wątek rzeczywiście miał fanów, którzy dość emocjonalnie wypowiadali się pod postami. Najczęściej – pozytywnie, z jednym tylko wyjątkiem. Niejaka Fidelia uparcie krytykowała Szymona. Chwilę po opublikowaniu ostatniego wpisu wytknęła autorowi:

Umiesz tylko pięknie pisać. Romantycznie tak bardzo, że aż bolą mnie flaki. Czy to znak naszych czasów? Mężczyzna, który ukrywa się pod maską Internetu? A może Ciebie tak naprawdę nie ma? Bo gdybyś był, tobyś, cholera, poszedł do niej już dawno! Ech, ja tak bardzo lubiłam

tego Twojego bloga. Wpisy o ciekawych miejscach, piękne fotografie. Co z tego zostało teraz? Smętne wynurzenia o jakiejś Adelinie, która nawet nie wiadomo jak się nazywa. Ech, chłopie. Znikam z tego podwórka.

Byłam ciekawa, czy Szymon napisze jej coś w odpowiedzi. Zwykle na bieżąco komentował uwagi czytelników. Tamtym razem było inaczej. Wypowiedź Fidelii zamykała posta. Wisiała pod nim jak chorągiewka prawdy i chyba była na tyle konkretna, że nikt nie chciał już nic dodawać. Wpatrywałam się w nią, zaciskając palce tak mocno, że aż bieląca mi skóra. Jeszcze jeden kieliszek i na pewno wysłałabym komentarz, który, niezdecydowany, dyndał w okienku dialogowym:

Tęsknię za Tobą, Adelina.

Napisanie tych słów było proste. Wino ośmieliło mi palce, ale nie było go, widać, tyle, żeby kliknąć w „Wyślij”. Pomyślałam, że zwariuję, jeśli w końcu czegoś nie zrobię. Pukanie do drzwi uwolniło mnie od podjęcia decyzji, którą naprawdę coraz trudniej było odwlekać. Zamknęłam klapę netbooka i ruszyłam do przedpokoju, podpierając się ścianami. Alkohol jednak uderzył mi do głowy, i to mocno. I uczynił na tyle bezmyślną, że odryglowałam zamki bez zerknięcia w wizjer.

– Nie mogłem już dłużej wytrzymać bez ciebie. Albo mnie wyrzucić, albo... – Szymon stał w progu i patrzył na mnie wyczekująco.

Trzasnęły jakieś drzwi na klatce, a w sypialni wiatr wybrzuszył zasłony. Daleki grzmot zapowiedział burzę.

– Wejdz – powiedziałam cicho i usunęłam się za drzwi, a potem zamykałam je bardzo długo, bojąc się odwrócić i spojrzeć na gościa.

– Ja przyszedłem do ciebie. Teraz ty przyjdź do mnie – poprosił.

Popatrzyłam na niego i ten nasz wzrok to było pierwsze, co skróciło dystans między nami. Szymon po prostu przyciągnął mnie do siebie, a potem oparł o ścianę i mocno objął dłońmi moją twarz.

– Próbowałem o tobie zapomnieć. Wmówić sobie, że to nie ma sensu. Że jestem dla ciebie zbyt młody. Niedoświadczony. Że sięgam po coś, do czego zwyczajnie nie dorosłem – powiedział. Widziałam tylko jego oczy i włosy, które ładnie kręciły mu się wokół twarzy. Zdałam sobie sprawę, że nie czesałam się od rana i że pewnie wyglądam trochę niechlujnie. A nie tak jak ta Adelina w koronkach, o której pisał.

Jakby odczytał moje myśli, zagłębiając palce w moje włosy. Dotknął opuszkami skóry głowy, a ja przymknęłam powieki.

– Łucja... – Poczułam jego szept w okolicy skroni. – Łucja... Moja Adelina... Moja, tak? – upewnił się, muskając mi wargami policzek.

O parapet uderzyły pierwsze krople deszczu. Wstrząsnęłam się od przeciągu i dotyku ciała Szymona, które coraz bardziej garnęło się do mojego. Kolejny, bardzo głośny już grzmot wygasił światła w mieszkaniu i zagłuszył resztki wątpliwości.

– Szymon... – Zamiast jego twarzy widziałam już tylko ciemny obrys.
– Szymon – powtórzyłam i przytuliłam się do tego mężczyzny tak mocno, jak nigdy wcześniej do nikogo.

Burza szalała za oknami niemal do rana.



Staliśmy naprzeciw lustra, przyglądając się sobie. Szymon obejmował mnie w pasie, wciskając podbródek w mój obojczyk. Jego włosy mieszały się z moimi, które, choć nieuczesane, pięknie zakrywały mi pół sylwetki, kontrastowo odbijając się barwą od jasnej skóry.

Szymon, pomimo spędzonej wspólnie nocy, nadal był nieśmiały. Jeszcze z niedowierzaniem, zachwyconym niedowierzaniem, dotykał mojego brzucha, bojąc się pójść wyżej czy niżej. Widziałam tylko, że ślizga się wzrokiem po lustrzanym odbiciu, co i rusz wracając jednak do naszych twarzy. Ja z kolei z przyjemnością zauważałam, jak moje zaokrąglone, miękkie ciało ładnie wtapia się w mocną sylwetkę Szymona. Był w tym wieku, kiedy mężczyzna ma brzuch tylko z nazwy, a na udach rysują się mięśnie. Niezbyt wysoki wzrost (żeby spojrzeć na mnie, musiał tylko trochę opuszczać głowę) kompensowały młodość i gibkość ciała, które wciąż było bardziej chłopięce niż męskie. Jego ostre, zdecydowane linie stanowiły interesujące tło dla mojej sylwetki.

– Zagrasz dla mnie Adelinę? – zapytał.

Odsunęłam się od niego i przerzuciłam włosy do tyłu. Pępek nagle przestał być centrum świata. Jego wklęsłość zapewne mniej rzucała się w oczy niż pełność moich piersi. Sięgnęłam po szlafrok, ale Szymon go przechwycił.

– Zagraj dla mnie tak, jak wyglądasz teraz – poprosił.

Bez słowa poszłam do salonu i otworzyłam pianino. Zimna tapicerka krzesła szybko ogrzała się od pośladków. Pedał, po chwili, także nie przeszkadzał już stopie chłodem metalu. A dźwięki? Dźwięki jeszcze

nigdy nie docierały do mnie tak mocno. Czułam ich wibrację wszędzie, a najbardziej tam, gdzie złączone uda tworzyły z podbrzuszem literę v.

Nie dokończyłam utworu. Musiałam wstać i iść do Szymona, który, tym razem już śmieiej, sięgnął do moich piersi.

– Łucka – szepnął. – Moja Łucka...



Te pierwsze wspólne dni szybko upłynęły. W głowie mi się nie mieściło, że całe wakacje minęły tak... bezproduktywnie. Że dopiero ich końcówka warta była swojej nazwy. Sierpień co prawda już dogorywał, ale właśnie ta spokojna, wciąż jeszcze ciepła pora bardzo nam odpowiadała.

Jeszcze nie chodziliśmy razem na spacer. Ta miłość wydawała się nam trochę dziwna i próbowaliśmy najpierw oswajać ją w czterech ścianach i nigdzie nie wypuszczać, przerażeni jej intensywnością. Wskoczyliśmy w nią jakby od końca, a potem musieliśmy nadrabiać wzajemne zdobywanie informacji. Uczyliśmy się swoich emocji, gustów i preferencji, pospiesznie budując wspólny obraz, który na seksualnym etapie związku powinien już być wypełniony przynajmniej częściowo.

Właściwie te noce też jeszcze były do oswojenia. Do obdziergania książkowych reguł i osobistych doświadczeń nowym wzorem. Dłoniom i ustom było już do siebie bardzo blisko. Reszta przypominała zawłaszczanie, zdobywanie nowego ładu krok po kroku, zawsze z asekuracją w splecionych palcach. Można się było do nich cofnąć, zacząć wędrówkę jeszcze raz, a można się było upewnić dotykiem, że droga jest właściwa. Z tamtych czasów pamiętam wyłaniającą się z ciemności twarz chłopaka i te jego dłonie, zaciśnięte na moich.

Kiedy wychodził z mieszkania, snułam się po pokojach, nie wiedząc, co z sobą począć. Wszystko nudziło i było lichym substytutem Szymona. Książki, filmy, muzyka mogły wtedy nie istnieć. Dobrze powiedziane. W tamtym okresie czułam się tak, jakby oprócz nas faktycznie nie istniało nic. Czy ja kiedykolwiek byłam w ogóle zakochana? – zastanawiałam się, a po chwili stwierdzałam, że to nie jest zakochanie. To było coś niedefiniowalnego, co może przytrafić się tylko między pasującymi do siebie osobowościami i... ciałami. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiej pełni, takiego sensu i klarowności. Może dlatego przestałam mieć skrupuły. Nie myślałam o Dorocie, nie

myślałam o tym, że jestem o tyle starsza. I wreszcie nie myślałam też o tym, co powiedzą ludzie. Ważna była tylko ta czwarta strona. Czwarta strona miłości, w której Szymon wracał do mnie po pracy, wypakowywał z plecaka golarkę i szczoteczkę do zębów. Kiedy po raz kolejny ugniatał po swojemu wyściółkę zapasowych pantofli, które od tej pory rezerwowałam tylko dla niego. Tymi drobiazgami namiastkowaliśmy małżeństwo, robiąc zabawne miny i wciąż jeszcze nie do końca wierząc w to, co się dzieje. Wydawało się nam, że wspólne życie to dopiero musi być zabawa! Naprawdę, naprawdę kochałam wtedy wszystko, co dotyczyło Szymona. I tę śmieszna, dziecinna maskotkę Rumcajsa, którą zawsze nosił przy sobie. I te już nie dziecięce włoski, które zostawiał na umywalce po goleniu. Najukochańszy był nawet w mistrzowskim bałaganie, który zawsze potrafił wokoło siebie zaprowadzić. Tak, właśnie zaprowadzić! Śmiał się, że ludzie zaprowadzają porządek, a on woli odwrotnie. Więc zaprowadzał ten bałagan u mnie w mieszkaniu, tłumacząc się, że w inny sposób nie umie funkcjonować. Sprzątałam potem jego podkoszulki, układałam równiutko płyty kompaktowe i wygładzałam połowę łóżka, bo mój mężczyzna nawet spać nie potrafił schludnie. Prześcieradło, gdyby nie było przyciśnięte moim ciałem, rolowałoby się do nóg sofy. Poduszka nosiła liczne zmarszczki, bo Szymon kręcił się w nocy i wiercił. Ja spałam spokojnie. I może z obawy przed własnymi zmarszczkami – zawsze na wznak. Nie chciałam jeszcze bardziej katować skóry, która zaczynała poddawać się już sile grawitacji.

Przez te pierwsze dni nic nie powiedziałam światu o Szymonie. Oczywiście, najpierw dowiedziała się Blue. To było jakoś pod koniec sierpnia. Robiliśmy akurat sernik. Metodycznie wygarniałam do miski podzielone przez dwa ilości składników. Szymon patrzył zdziwiony, jak zostawiam w pudełeczku resztkę sera, która zaledwie przykrywała dno.

– Dlaczego nie dodasz całego?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo musiałabym dodać i masła więcej, i jajek i kakao. – Pracowicie ucierałam masę mikserem.

– Przecież w przepisie jest osiemdziesiąt deka twarogu. – Szymon zajrzał mi przez ramię. – Dlaczego dałaś czterdzieści?

Wsunęłam umykający kosmyk za ucho i mruknęłam:

– Zawsze daję tylko połowę składników.

– To sernik wyjdzie ci cienki – stwierdził rozsądnie. – Szkoda tyle zachodu na trzy gryzy.

– A jeśli nie wyjdzie wcale? Szkoda potem tyle pieniędzy wyrzucać do śmieci. – Byłam równie pragmatyczna, jak oszczędna i niełubiąca zbędnego ryzyka.

Szymon wcisnął podbródek w moją szyję, a potem wygarnął do makutry resztę sera. Dołożył także i ten z drugiego kubka. Wbił dodatkowe jajka, które uwypukliły się żółtymi wyspami na gęstej już masie. Wsypał kakao i znów wsunął mi w dłoń mikser, a potem poprowadził mój palec do włącznika i bardzo dokładnie zblendowaliśmy wszystkie składniki. Potem sprawiedliwie podzieliliśmy się widełkami do wylizywania. Szymonowi został śmieszny kleks na ustach, który szybko zdjęłam wargami.

– Tak się nie robi w kuchni. Zaraz się ten niedoszły sernik zmarnuje.

– Przyciągnął mnie do siebie i zaczął odwiązywać mój fartuch. I właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi. Wyswobodziłam się z jego ramion. Jedną dłonią ścierałam pachnące resztki z policzka, a drugą przyglądałam włosy, gdy w progu stanęła Blue.

– Przepraszam. Było otwarte, a ty długo nie wychodziłaś do przedpokoju, więc weszłam. – Mama spoglądała z beczelną sympatią na mnie i na Szymona. Nie zdążyłam nic powiedzieć, bo przeciąg trzasnął drzwiami.

– Chyba ktoś jeszcze idzie. – Szymon przekrzywił głowę, zerkając do przedpokoju.

– Jak to kto? Akurat. – Blue z lubością zaserwowała domowe porzekadło i patrzyła na reakcję mojego gościa.

– Opowiem ci później. – Machnięciem ręki zbyłam pytający wzrok chłopaka, zwracając się do mamy: – No tak. Przyznaję. Mogłam się do ciebie odezwać. Ale i tak długo wytrzymałaś bez wizytacji, Blue.

Spojrzenie Szymona było bezcenne, więc w myślach zapisałam, że jeszcze i to trzeba zrobić. Wprowadzić go stopniowo w bogatą historię naszych rodzinnych grepsów. Mama tymczasem postawiła na krześle wyładowaną farbami torbę i zerknęła mi przez ramię.

– Ja bym cię nie nachodziła jeszcze co najmniej przez tydzień, ale

Gerard tak na mnie nahuczał, że... – Być może po malarsku oceniła spływający z jej palca beżowy sopol, a potem go posmakowała. – Dobry jak zawsze. Tylko coś go więcej niż zwykle. – Spojrzała badawczo na Szymona. – Jeśli to twoja zasługa, to już cię lubię.

Usiłowałam nie wybuchnąć śmiechem i nie zdekonspirować Blue, która w ten sposób testowała moich chłopaków i kolegów. Wpadała do przedpokoju czy do kuchni, gdzie tam nas zastała, i prezentowała gościowi luźno zwisające z pupy ogrodniczki, kudłatą głowę i ubrudzony farbami nos. Moi koledzy zazwyczaj przeżywali szok, spodziewając się bardziej mamowatej mamy w opiętej na obłóściach podomce i z umączoną trwałą. Jednak ten, kto przeszedł kwalifikację, zostawał nagrodzony bogactwem osobowości Blue. I choć między nami mogło potem układać się różnie, antypatia nie przenosiła się na moją mamę. Czasem miałam wrażenie, że jestem od niej dużo mniej interesująca. Taka blada i nijaka. Spokojna i czasem flegmatyczna, wyglądałam jak adoptowana córka mojej żywiołowej, barwnej rodzicielki.

Z tamtego dnia pamiętałam tylko tyle, że po pierwszym wstrząsie Szymkowi zaczęły błyskać wesołe ogniki w oczach. Pozwolił sobie nawet na słowny flirt z moją matką, a pod koniec jej wizyty byli już dobrze zakumplowaną, doskonale dobraną parą przyjaciół-łobuzów.

– Miła ta Blue – powiedział później, opierając głowę na dłoni. Leżałam obok niego, pod cienkim prześcieradłem, i wpatrywałam się w noc. – To twoja ciotka czy jakaś dalsza krewna?

Wybuchnęłam śmiechem i odwróciłam się przodem do Szymona.

– Żartujesz sobie?! To moja mama przecież!

Szymek padł na wznak, plaskając ręką w czoło.

– No to chyba mam u niej niezłą krechę na dzień dobry.

– Wręcz przeciwnie. – Zagłębiłam nos w szyi chłopaka. – Powiedziałabym, że nawet zgarnąłeś pulę. A co? Nie wyglądam na taką matkę? Przywykniesz...

Zamilkłam, zdając sobie sprawę ze znaczenia swoich słów. Do czego miał przywyknąć? Przecież przed nami nie mogło być przyszłości. Ot, krótki, treściwy romans, który był nam akurat potrzebny. Ukryty bezpiecznie w czterech ścianach miał się wysycić, wybrzmieć, a potem zostać zamknięty we wspomnieniach. Ciężko było o tym myśleć, ale

i tak byłam wdzięczna losowi za to, co mi ofiarował.

– A dlaczego mówisz do niej „Blue”? – zapytał po chwilowym milczeniu.

Krótko opowiedziałam mu o zawodzie mamy, o jej niebieskim szlafroku i granatowo-złoty upodobaniach.

– No a Gerard to twój tato?

– I tak, i nie. Gerard to najlepszy na świecie ojczym. Były mąż Blue.

Szymon podrapał się po zaroście.

– Ale to znaczy, że są w dobrej komitywie? Bo skoro ten Gerard nastawał, żeby cię odwiedziła?

Przemieściłam się na piersi Szymona i położyłam głowę na ramieniu. Musiałam, po prostu musiałam zobaczyć, jak zareaguje na to, co zamierzałam powiedzieć. Dobrze, że noc była jasna.

– W dobrej komitywie? Powiedziałabym, że nawet w bardzo dobrej, skoro się rozwiedli, a dalej mieszkają razem i żadne nie układa sobie życia na nowo.

– Jezu! W moim domu byłoby to nie do pomyślenia! – wyrwało mu się szczerze.

– Ale co? Rozwód czy mieszkanie ze sobą po tym rozwodzie?

Chłopak był w kompletnym szoku.

– I jedno, i drugie.

Przetarłam policzek wierzchem dłoni i zadumałam się:

– Wiesz? Mnie dawniej też się to wydawało dziwne. Chciałam mieć normalny dom. Dwójkę rodziców, którzy codziennie chodzą do pracy i są zmęczeni, a dostałam parę zupełnie nieprzystających do standardów osób. Potem się przyzwyczaiłam i taki układ nawet zaczął mi pasować. W końcu lepiej żyć naprawdę niż udawać, że się żyje. Niż udawać kogoś, kim się nie jest. Blue jest najlepszą matką, a Gerard to po prostu... no... Gerard.

Nie umiałam powiedzieć Szymonowi, co miałam na myśli. Trudno było zamknąć w paru słowach to, co przez te wszystkie lata otrzymałam od ojczyma, do którego mówiłam „wujku”. Trudno było to zdefiniować, opisać komuś przecież obcemu.

– Gerard, podobnie jak Blue, zawsze był przy mnie. I dokładnie w taki sposób, jaki był mi potrzebny. – Spróbowałam rozjaśnić obraz, ale zdałam sobie sprawę, że nawet najbardziej plastyczna opowieść nie

odda ogromu miłości, jaką otrzymałam od mamy i ojczyma.

– A ten Akurat to kto? – Szymon był bardzo ciekawski.

– Stara historia, jakich pełno w każdym domu.

– U mnie zawsze byli mama i tato. Wujek i babcia. – Chłopak upewnił mnie, że urodził się w rodzinie, która kochała standardy, a wszelka ekscentryczność była tam obca i nie na miejscu.

Akurat idzie! Uśmiechnęłam się do najdawniejszego wspomnienia, któremu nie pozwolono zniknąć w niepamięci. Miałam może ze trzy lata. Blue, wtedy jeszcze samotna, chwilę po rozstaniu z pierwszym nie-mężem, musiała wyjechać na parę dni. Zostawiła mnie pod opieką swojej matki, która patrzyła na mnie groźnie znad białego fartucha. Była bardzo wysoka, więc miałam wrażenie, że głową sięga do sufitu, a uśmiech niezwykle rzadko gościł na jej twarzy. Babka była dobrym człowiekiem, ale wtedy uważałam ją za kogoś w rodzaju potwora z tą fizjonomią raczej pasującą do bajek dla niegrzecznych dzieci niż słodkich obrazów babulek tulących swoje wnuczęta. Bardzo rygorystycznie podchodziła do czasu i układała swój dzień pod zegarek. Wychowana w domu, w którym posiłki jadłam, kiedy byłam głodna, a zasypiałam dopiero wtedy, gdy dopadała mnie senność, nie mogłam zrozumieć, dlaczego babcia próbuje położyć mnie na poobiednią drzemkę, na którą wcale nie miałam ochoty. „Nie chcę spać! Chcę do Blue!” – krzyczałam. Babcia tłumaczyła cierpliwie, że mama musiała wyjechać i że trzeba się położyć po obiadku. Na wszystkie próby przecząco kręciłam głową, aż w końcu rozeźlona babka krzyknęła: „Zobaczysz! Zaraz tu przyjdzie pan, który zabiera takie niegrzeczne dziewczynki! Tylko słuchaj kroków na schodach!”. Zamarłam i prędko wskoczyłam pod kocyk, choć wcale nie chciało mi się spać. Pan nie przyszedł, ale każde zasłyszane dudnienie obcasów na klatce schodowej napawało mnie lękiem. Z ulgą wróciłam do rodzinnego domu, w którym Blue nie sięgała sufitu. Jednak widmo pana zabierającego niegrzeczne dziewczynki, wcale nie zniknęło wraz z widokiem Baszty, jak później, w czasach szkolnych, ochrzciłam babkę. Gdy tylko ktoś szedł korytarzem, biegłam przytulać się do maminych ogrodniczek, krzyząc: „Idzie! Idzie!”. Blue, znająca z autopsji z metodę wychowawczą rodzicielki, najpierw próbowała tłumaczyć babcie i jej niemądry wymysł, a w końcu zdenerwowała się

i sarknęła: „Akurat. Idzie”. Ucha do interpunkcji ze słyszenia wtedy jeszcze nie miałam i tak oto pan, który zabierał dziewczynki, otrzymał imię i przeszedł do albumu rodzinnych historii.

Szymon ubawił się anegdotą. Długo i serdecznie śmiał się z Baszty i Akurata. A potem, w najzupełniej oczywisty sposób, poprosił:

– Zabierzesz mnie kiedyś do Gerarda i Blue?



Szymon nauczył mnie brać życie za twarz. Nie upominać się o całusy, o pochwały, nie wyczekiwać, ale właśnie brać. Brać pełną garścią. Podobała mi się ta jego bezkompromisowość i odwaga, które cechują tylko ludzi naprawdę młodych. Chłopak robił to, na co miał ochotę, i kiedy miał na to ochotę. Jeśli chciał spać, to spał. Jeśli pragnął poleżeć na trawie i pogapić się w niebo, to właśnie to czynił. Ja byłam już rozpisana przez życie, przez każdy dzień. Upchnięta w kalendarzowe rubryczki, które ponad zachcianki przedkładały obowiązki. Przyjemność miała być nagrodą. Nie mogła być sama dla siebie. Ot tak. Po prostu. Dla chwilowego kaprysu.

Więc jak sernik, to z całości. Tak, żeby ciasto ledwo mieściło się w tortownicy. Że skotłowana pościel i garderoba tworząca przestrzenny wzór na dywanie? Usprawiedliwione, jeśli tylko pragnęło się właśnie odpocząć czy porobić tak zwane „nic”. Nieugotowany obiad? No to co? Zjemy kanapki. Szymon nigdzie nie widział problemu. Można powiedzieć, że był świadom jedynie plusów, jakie ofiarowywało mu każde zdarzenie. I właśnie te plusy skrzętnie wykorzystywał. Kiedy, wkładając buty do szafki, znalazł zakopane w niej głęboko rolki, natychmiast pobiegł po swoje i niemal siłą wypchnął mnie z mieszkania na parkowe alejki.

– Szymek! Nie jeździłam dwadzieścia lat! Słyszysz?! Dwadzieścia lat!

– To czas zerwać z tak długą tradycją, wiesz? – ripostował, zakładając mi buty.

Szymon nie pozwolił mi czekać z niczym. Każdy pomysł palił mu się w głowie, a sekundę później i w rękach. Czasem bałam się głośno o coś pomyśleć, bo dla Szymka rzucone hasło było już sygnałem do działania. Na przykład, kiedy tylko nadmieniłam, że chciałabym mieć dom z niebieskimi okiennicami, na drugi dzień przytachał do mnie duży blok, dwa zatemperowane ołówki i paczkę kredek. Położyliśmy

się wygodnie na łóżku i zaczęliśmy planować, co i jak. Dom, który wychodził spod naszych rąk, był piękny. W pierwotnych planach drewniany, otoczony drzewami i z widokiem. Najlepiej takim na góry. Miała być też weranda, żeby móc się tym widokiem delektować z nad filiżanki herbaty. Do werandy miały pasować dwa wiklinowe krzeselka z przerzuconymi przez oparcia kratkowanymi pledami. Ale największą atrakcją miały być nasze gabinety, do których wchodziłoby się przez wąskie, ukryte w ścianie drzwi. Pokoje do pracy, rozlokowane pod skosem dachu, miał oddzielać tylko ciasny korytarz. Jak dobrze było planować, tym bardziej że wreszcie znalazłam do tych planów współnika! Ołówkowy dom piękniał pod dotykiem kredek, które wyraźnie zaznaczały niebieskie obramowanie okna i pnące się po werandzie dzikie wino.

– Wszystko wydaje się takie proste – szepnęłam w zdumieniu.

– Bo będzie takie. – Szymek popatrzył na mnie z czułością, która śmiała się z resztek moich obiekcji.

Nie odpowiedziałam nic, bo nie chciałam zapeszyć naszego szczęścia, które trwało już kilka tygodni. O wiele dłużej, niż zakładałam na początku. Ale, o ile ten sernik robiłam już z właściwej ilości składników, to jednak istotniejsze sprawy ważyłam dość skąpo. I choć może miałabym apetyt na o wiele więcej, to jednak dalej nie potrafiłam sobie na to pozwolić, traktując Szymka jak piękny podarunek od losu, który przecież kiedyś ktoś musiał mi odebrać. Tak jak ja zrobiłam to wcześniej Dorocie. To, czego chciałam, to dobrze wykorzystać swoje pięć minut. Nasycić się tym czasem tak intensywnie, żeby potem mieć co wspominać.

Myślałam, że w tych planach jesteśmy kompatybilni. Szymon jednak co do przyszłości naszego związku miał całkiem inne zdanie.

2 października 2015

Babie lato. Czas, który nieodwołalnie kojarzy mi się z rozpoczęciem kolejnego roku pracy. Jeszcze kilka dni i znów będę musiała wrócić do szkoły, tak pustej bez Szymka. Kantorek bez kubków w maki i bez wiszącego obok lustra Rumcajsa nie jest już tym samym miejscem, co kiedyś. Nowy pracownik urządził się tu zupełnie inaczej. Wszystko rozłożone jest tak metodycznie, że poprzedni rezydent zapewne nie znalazłby tu niczego. Poruszały się tylko wokół tak oczywistych punktów topografii jak warsztatowy stół z imadłem, kuchenka i stary, rozkładany fotel do spania, dziwiąc się, że spędził tu dziesięć lat. Nie ma ludzi nie do zastąpienia i nie ma też takich rzeczy. Najpierw w warsztacie królowało zdjęcie długonogiej blondynki, potem moje własne, przychepione do szafki od wewnętrznej strony. Teraz z kolei Jacek umiła sobie miejsce pracy kobietą swoich marzeń, której bardzo pilnuje przed obcym wzrokiem. Kiedyś, z rozpędu, sięgnęłam do szafki, w której Szymon trzymał śrubokręty. Jacka akurat nie było w kantorku, a poluzowana śrubka w taborecie destabilizowała siedzisko. Otwarłam więc tę szafkę i stanęłam oko w oko, a raczej pierś w pierś z dziewczyną, która zastąpiła moją podobiznę. No cóż, umarł król, niech żyje król. Nowy król, a raczej królowa, miała na sobie sieć, a jej skóra była tak komputerowo idealna, że przez oczka siatki przeświecały tylko sutki. Bujne włosy wplątywały się w harpun, który celował prosto we mnie. Najwyraźniej Jacek lubił taki... hm... nieco militarny romantyzm. W odruchu samoobrony złapałam śrubokręt i zatrzasnęłam drzwiczki. Narzędzie schowałam potem do swojej torebki, bo Jacek był tak zakompleksiony i chorobliwie nieśmiały, że pewnie popłakałby się ze wstydu na myśl o tym, że ktoś dowiedział się o jego donnie.

Nawłóć już powoli przekwita. Uwielbiam te wiechciowate kwiaty także dlatego, że ich łodygi dają się łatwo rwać. Nie lubię walczyć z opornym łykiem. Nie lubię miażdżyć roślinom naskórka. Wolę zadać im szybki ból. Nie potrafię przejść obok i tylko podziwiać. Muszę

egoistycznie zebrać wrażenia w bukiet. Do złotego pęku dokładam rozczochrane, jasnobrązowe trawy i wychodzę z łąki wprost na dyrektorkę szkoły, w której jestem zatrudniona. Zdaje się, że ściągnęłam ją myślami.

Maria chyba nawet nie słyszy mojego „dzień dobry”. Dopiero gdy wołam ją po imieniu, odwraca się i przez chwilę, patrzy na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Łucja? – pyta niepewnie.

No tak. Włosy, zamiast do pośladków, sięgają mi teraz do ramion. A moje nogi dyrektorka widzi chyba po raz pierwszy w życiu.

– Jezu! Nie poznałam! – usprawiedliwia się. – Gdzie twoja dawna fryzura i te piękne sukienki?

Maria jest bardzo elegancka. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego do tych swoich prostych w kroju ubrań i miodowych pasemek na głowie zakłada srebro. To złota dziewczyna. Dosłownie i właśnie w przenośni biżuteryjnej.

– Chyba nadszedł czas na zmiany – mruczę, przeczesując ręką trochę potargane włosy.

– Dla Szymona? – Puszczą do mnie oko. Przecież nie wie, że mnie i Szymka już od dawna nie ma, a ja nie zamierzam wyprowadzać jej z błędu. – Co u niego? Brakuje go w pracy i gdyby chciał wrócić... – zawiesza głos, patrząc na mnie wyczekująco. – W każdym razie pozdrów go.

– Dziękuję. Pozdrowię. A jak moja lista uczniów na ten rok? – pytam szybko, bo nie chcę już pozostawać w kręgu tematów smutnych i wciąż dla mnie bolesnych.

– Piętnaście. – Maria akcentuje słowo, marszcząc nos. Dobrze wie, że nawet piętnaście godzin na tydzień to dużo. Zwłaszcza z niektórymi uczniami. – Weźmiesz, prawda? Rodzice i dzieci bardzo cię chwalą.

– Nie wszyscy. – Przypominam dyrektorce sprawę z Agnieszką. – To były stracone lata i w dodatku okupione potężnym stresem.

Maria patrzy na mnie tak, jakby chciała o czymś porozmawiać. Waha się przez chwilę, otwiera usta, potem znów je zamyka. Rozgląda się na boki i wreszcie mówi:

– Chyba nie powinnam cię wtajemniczać w takie sprawy... Ale może ją to choć trochę rozgrzeszy w twoich oczach.

Patrzę na nią zaintrygowana. Maria przysuwa się bliżej.

– Agnieszka jest w poprawczaku. Narkotyki, alkohol, papierosy, kradzieże. Zastraszanie uczniów i nauczycieli.

– Od dawna?

– Od wiosny. Parę dni temu spotkałam jej ojca.

Zastanawiam się, dlaczego, według Marii, mam rozgrzeszać tę... tę małą francę. Wreszcie trafiła w odpowiednie miejsce.

– Rozkręciła się, widać. Bo aż tak źle nie było – mówię, żeby coś powiedzieć.

– Też nie miałabym dla niej krztyny współczucia, gdybym nie wiedziała, że takie rzeczy skądś się jednak biorą. Dziecko nie jest złe, bo takie się urodziło. Teraz wiem, że tymi wybrykami po prostu usiłowała zwrócić na siebie uwagę.

Mam w oczach wielkie znaki zapytania, ale nie wypowiadam ich głośno. Maria znów rozgląda się na boki.

– Widzisz, tam się źle działo. Prawie od momentu narodzin Agnieszki. Matka właściwie z nimi nie mieszkała, bo miała innego i wcale się z tym nie kryła. Ani przed mężem, ani przed córką. W dodatku podobno była dla tej małej bardzo surowa. Ojciec zapracowany, często na nocnych wyjazdach, a to dziecko wtedy puszczone samopas. W wolne dni starał się nadrobić. Wiem, że robili wspólne grille, wygłupiali się w przydomowym basenie.

– Skąd to wiesz?

– Moja przyjaciółka jest ich sąsiadką. Mówiła, że dopóki ta mała była w podstawówce, to jeszcze jako tako ten układ funkcjonował. Ale w gimnazjum Agnieszka znalazła sobie własną grupę odniesienia. No i w trzeciej klasie zaczęły się poważne kłopoty – dokończyła Maria tak ogólnikowo, że nie chciałam już o nic pytać. – Grunt, że masz fajne i spokojne dzieciaki w tym roku. Odezwę się do ciebie w ciągu kilku dni i podam grafik. Dobrze?

Kiwam głową.

– Łucja... – Dyrektorka szybko dotyka mojej ręki. – To, co ci powiedziałam, zostaw dla siebie. Nasze miasteczko nie jest duże...

Potakuję samym wzrokiem i udaję, że coś tam poprawiam przy bukiecie. Obcasy butów Marii stukają coraz ciszej, więc wreszcie bezpiecznie mogę się obrócić i pójść w tym samym kierunku co ona.

W głowie przetrawiam to, co usłyszałam przed chwilą, a kwiaty i ciepła jesień przestają cieszyć. Robi mi się żal dziewczyny. Nie dostała miłości od matki, ja poskapałam jej nawet zainteresowania, choć... choć było to uzasadnione. Czuję się bardzo niemiło i wiem, że to uczucie nie opuści mnie przez dłuższy czas. Że teraz będę musiała nieustannie o tym myśleć. Co przegapiłam i w którym momencie? I jeszcze dlaczego? Niestety, ze swoimi uczniami, nawet tymi nieznośnymi, zawsze wiązałam się emocjonalnie i...

– Pani Łucjo?

Słyszę wprawdzie własne imię, ale jakoś nie łączę go ze sobą, więc nawet nie odwracam głowy, żeby sprawdzić, kto woła.

– Pani Łucjo? – Głos jest nieustępliwy. – To pani?

Odwracam się w końcu i widzę stojącego na chodniku listonosza. Mężczyzna zerka na mnie niepewnie, więc kiwam głową.

– Dzień dobry, panie Robercie. To ja.

Zmiana mojego image musi być rzeczywiście duża, skoro listonosz formalnie zapomina języka w gębie, nie mówiąc nawet o wcześniejszym „dzień dobry”. Przez chwilę patrzy na mnie, na nogi trochę zbyt przeciągle, i mówi:

– Ładnie pani tak krótko.

– Dziękuję, panie Robercie. – Uśmiecham się. – Proszę mi tylko nie mówić, że ma pan dla mnie jakieś złe wieści. W zasadzie każdych na dzisiaj będzie już dosyć – konstatuje, mając nadzieję, że listonosz zaczepił mnie tylko kurtuazyjnie.

– Ja to bym najchętniej ludziom same dobre nowiny dostarczał. Niestety, nie da się. – Pan Robert grzebie przez chwilę w torbie i mówi:

– Nie mam nic dla pani. Ale zostawiłem awizo dla męża. W sumie, po znajomości, mogę dać kopertę, pani podpisze, a tamto potarga i wrzuci do kosza. To chyba coś ważnego, bo ze skarbówki.

Kręcę głową. Nie chcę przyjmować żadnej poczty M, a tym bardziej urzędowej.

– Mąż woli sam odbierać takie listy. – Lekko naginam swoją niechęć, żeby listonosz się nie dziwił. Pan Robert potrafi być bardzo rozmowny. Chyba brakuje mu kontaktu z drugim człowiekiem, który składałby się z innych słów niż: „Tu proszę podpisać”, „Mam dla pani emeryturę” i „dobrego dnia”. – Przepraszam. Uciekam do domu, bo czas bardzo

mnie dziś goni. – Odwracam się na pięcie i w biegu wykrzykuję pożegnanie.

Kiedy tylko sylwetka listonosza znika za rogiem ulicy, przestaję się spieszyć. Tak bardzo nie mam ochoty wracać do mieszkania!



W domu nie mogę znaleźć sobie miejsca. Bardzo długo chodzę tu i tam z bukietem, tylko po to, by odkryć, że nawet zielono-żółta nawłóć nie jest w stanie nic poradzić na martwość pokoi. Wygląda tak samo źle i w kuchni, i w salonie. Jak nowy eksponat pośród tych starych, przykurzonych czasem i roztoczami. Bukiet ustawiam w końcu u siebie. Tu nie jest tak martwo. Dbają o to wspomnienia, które dla mnie wciąż mają tyle kolorów i smaków.

Kwiaty tylko na chwilę odwracają moją uwagę od tego, co usłyszałam od dyrektorki. Nielubiane lekcje z Agnieszką są teraz jak wyrzut sumienia. Od nich już bardzo krótka droga do wspominków o Beacie. Jednej dziewczynie nie pomogłam, drugą niechcący skrzywdziłam. Jestem po prostu znakomitym pedagogiem.

Twarz podwożącej mnie ostatnio Beaty znów staje mi przed oczami. Bardzo wyraźnie widzę też oczy Agnieszki, na ten jeden moment proszące. Pozbawione hardości i nienawiści. Wykorzystałam wtedy jej słabość, zapewniając sobie spokój na lekcjach. Tak pięknie rozwiązałam swój problem. Swój i niczyj więcej.

Wtedy

To było równo cztery lata temu. Właśnie zaczynał się rok szkolny, a moja przygoda z Szymkiem wcale nie dobiegała końca. Mówiłam sobie, że to właśnie „przygoda”, nic wielkiego, żeby potem tak nie bolało. Żeby okłamać samą siebie i ująć znaczenia mojej miłości. Do tego, co czułam naprawdę, nie byłam w stanie przyznać się przed nikim. Chyba tylko Blue umiała mnie rozczytać, bo kiedyś, gdy w końcu odwiedziłam ją z Szymkiem, szepnęła:

– Dzieciuch. Ale dobry dzieciuch.

Dzieciuch stał właśnie przy biblioteczce Blue i świat dla niego nie istniał. Przesuwał palcami i wzrokiem po okładkach, mamrocząc coś pod nosem. W pewnej chwili zakrzyknął:

– *Dwa lata wakacji!* Jakie wydanie!

Wysunął prędko książkę z rządka innych, przysiadł na oparciu fotela i zaczął ją łapczywie przeglądać. Zatrzymywał się przy ilustracjach, mrucząc z cicha: – To chyba Service. Tak, na pewno. A te krzewy to...

Prawie do końca wizyty nie mógł się oderwać od książki. Zapytany o coś, sprawiał wrażenie dopiero co obudzonego, więc wszyscy daliśmy mu spokój. Ja popatrywałam tylko na jego rozognione policzki i widziałam dziecko. Dziecko przyklejone do ulubionej zabawki. Było mi wstyd za niego i za siebie. Uspokoiliłam się, dopiero gdy mama położyła mi rękę na ramieniu i szepnęła parę słów o tym dzieciuchu właśnie. Potem dodała, że to piękne, że w tym wieku zachował tyle pasji do ulubionej sprawy. Choćby nawet była to książka dla dzieci. Miałam inne zdanie. Koniecznie chciałam, żeby Szymon olśnił Blue swoją dojrzałością i odwagą wzięcia na siebie odpowiedzialności za to, co sam wywołał. W końcu związek ze starszą kobietą nie jest czymś powszechnie spotykanym i łatwym do akceptacji. A on, zamiast potwierdzać swoje uczucie przed całym światem, udowadniał tak

mocne przywiązanie do Verne'a, że pod koniec wizyty Blue powiedziała:

– Nie odkładaj na półkę. Jest dla ciebie.

Szybkim ruchem wypuściła z ust kóleczo dymu i obserwowała reakcję Szymka.

– Ależ to bardzo rzadkie wydanie! Nie mogę. – Kręcił przecząco głową.

– Możesz. Właśnie dlatego możesz, że ta książka tak bardzo ci się podoba.

Szymon, wychowany w filozofii „gdy dają, to bierz”, nie pozwolił się już dłużej namawiać. Zachwycony niósł książkę do domu w rękach, nie pozwalając mi włożyć jej do torebki. W nocy czytał długo, a gdy poprosiłam, żeby w końcu zgasił lampę, zanurkował pod kołdrę z latarką. Zdziwiona zajrzałam tam do niego, ale mruknął tylko, że tak czytał, kiedy mama wyłączała mu światło, i utknął na dobre na bezludnej wyspie z kolegami, którzy wciąż mieli po kilkanaście lat. Sapnęłam z irytacją i odwróciłam się do ściany.

Nazajutrz, gdy przygotowywał się do pracy, przyniosłam mu książkę.

– Nie zabierzesz prezentu do domu? – zapytałam.

– Chcę, żeby został tutaj. – Przygarnął mnie do siebie tak zdecydowanie, że obraz zaczytanego młokosa przegrał z męskością, która z niego emanowała.



– Ma pani w tym roku dwanaście godzin – powiedziała dyrektorka, gdy podpisałam drugą umowę o pracę w szkole. – Dwie nowe chętne uczennice na pewno. I jednego... hm... Jednego dorosłego ucznia, jeśli się pani zgodzi.

– Nauczyciel? – ucieszyłam się. Wśród moich uczniów najwdzięczniejszym materiałem były właśnie osoby dorosłe. Nie robiły tak spektakularnych postępów jak dzieciaki, ale ich radość wywołana zagranym poprawnie prostym kawałkiem zarażała człowieka i dawała satysfakcję z nauczania.

Dyrektorka pokręciła głową.

– Musi pani (wtedy jeszcze, w drugim roku współpracy, odnosiłyśmy się do siebie oficjalnie) naprawdę mieć w sobie zapał, że uczniowie tak do pani lgną. Chodzi o Szymona – sprecyzowała, a ja zastygłam na

krześle, wybałuszając na nią oczy. – Miły, sympatyczny chłopak. Aż czasem żal, że człowiek urodził się tak późno...

Popatrzyłam na nią uważnie, zastanawiając się, czy robi jakąkolwiek aluzję. Bo przecież chyba nie wiedziała...?

– Czasem mam wrażenie, że naszemu pokoleniu dostali się wybrakowani i mało sensowni mężczyźni – ciągnęła, a ja ledwo mogłam wysiedzieć na stołku. – Ale to tak nawiasem, między paniami – puściła do mnie oko – w nieco słusznym już wieku.

Dyrektorka miała wtedy trzydzieści pięć lat. Ja – prawie trzydzieści osiem. Zaliczyła nas do pokolenia dinozaurów i w pewien sposób jasno wypowiedziała się na temat związku kobiety z dużo młodszym od siebie mężczyzną. To wtedy postanowiłam, że nie pozwolę, by Szymek przyznał się komukolwiek do tego, co tak naprawdę nas łączy. Dlatego od razu odmówiłam poprowadzenia tej dodatkowej lekcji.

– Najlepiej czuję się w nauczaniu dzieciaków, pani dyrektor. – Kłamstwo gładko przeszło mi przez usta. – Dorośli to już zupełnie inna specyfika.

Dyrektorka skinęła głową.

– Rozumiem. Ale zaproponować musiałam. No to witamy po raz drugi na pokładzie. – Wyciągnęła do mnie rękę i uściśnęła ją mocno. – Zapraszam w poniedziałek. Mam nadzieję, że ten kolejny rok będzie mało stresujący i przyniesie pani wiele satysfakcji.



Jednak rok 2011/2012 wcale taki nie był. Zaczął się burzliwie od mojej kłótni z Szymonem.

– Nie pozwalam ci! Nie pozwalam! – wyżyłam się na nim, gdy wróciłam do domu po rozmowie z dyrektorką. Wcześniej, swoim spokojem, doprowadził mnie do momentu, kiedy potrafiłam już tylko krzyżeć. – Ona wyraźnie dała mi do zrozumienia, że jestem dla ciebie za stara! Nieważne, że przecież nie wie. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak ja się czułam, gdy pytała, czy będę cię uczyć?! Szymon! Ja nie chcę stracić tej pracy, rozumiesz? Dlatego zabraniam ci... Słyszysz?! Zabraniam, żebyś w szkole odnosił się do mnie jak do... – Nie miałam pomysłu, jak określić swoją pozycję w naszym związku. – W ogóle najlepiej by było, gdybyś znalazł sobie kogoś młodszego. Wróc może do Doroty...

Poderwał głowę, jakby moje słowa naprawdę go zabolowały.

– Nie wróćę do Doroty – powiedział stanowczo. – I proszę, żebyś więcej nie poruszała tego tematu. A stąd też nie pójdę, bo cię Kocham i nie pozwolę, żeby twoje nierozsądne obawy nas rozdzieliły. Nieważne, że jesteś starsza. Nie obchodzi mnie ani twój wiek, ani co ludzie powiedzą.

Podszedł do mnie. Cofnęłam się pod ścianę, a wtedy on oparł ręce na wysokości mojej szyi, zamykając mi drogę ucieczki i odbierając ochotę do kłótni.

– Teraz nie. Teraz cię nie obchodzi – powiedziałam cicho, ujmując jego głowę i obracając ją w kierunku lustra, które wisiało za drzwiami. Szklana tafla odbiła twarze osób młodych, choć różnica wieku i tak była widoczna. Przy starszym ode mnie mężczyźnie wyglądałabym świeżo. Przy Szymku wyglądałam tylko... na zadbaną. – Teraz cię nie obchodzi – powtórzyłam. – A co będzie za dziesięć lat, kiedy to – uśmiechnęłam się, prezentując zaczątki kurzych łapek – stanie się widoczne? Albo gdy nie będę mogła już nosić krótkich spódnic, bo to? – Uniosłam fałdy sukienki i pokazałam mu poprzecinane zaczątkami żyłaków nogi. – Nie będziesz się wstydził, że mam takie okablowanie? – Specjalnie użyłam tego określenia, żeby wreszcie coś do niego dotarło.

– Ty przecież nie nosisz krótkich spódnic – odpowiedział zupełnie bez sensu.

– Ale maski na twarz przecież nie założę! – Zdenerwowałam się po raz kolejny. – Usiłuję ci wytłumaczyć, że kobieta powinna być albo młodsza od partnera, albo równa mu wiekiem. Kiedy w szklankach moczą się dwie protezy, jakoś łatwiej to znieść, prawda? No tak. Mogę sobie jeszcze przecież zafundować implanty...

Mocno złapał mnie za ramiona. Chyba pierwszy raz widziałam go tak zdenerwowanego. Potrząsał mną tak, że głowa podskakiwała mi jak u lalki.

– Przestań! Przestań już wreszcie! – podniósł głos.

– Nie, nie przestanę. Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że nie możemy całe życie ukrywać się z naszą miłością pod kołdrą?! Że nie możemy udawać, że miłość sprowadza się tylko do pożądania i uprawiania seksu?! Może właśnie przyjdą takie dni, kiedy będziesz musiał w końcu zmierzyć się z moim wiekiem?! I co wtedy zrobisz? Odpuścimy

to sobie teraz. Przeżyliśmy razem coś pięknego, ale uważam, że każde z nas powinno pójść własną drogą.

– Wcale tego nie chcesz. – Przytrzymał mnie za podbródek i popatrzył w oczy.

Próbowałam obrócić głowę, bo Szymon miał rację. Wcale tak nie myślałam. Dziwiłam się, skąd mam w sobie tyle siły, żeby wypowiadać kłócające się z uczuciami słowa. Ale przecież rozsądek! Nie mogłam myśleć sercem, bo ono było totalnie głuche na racjonalne argumenty, a przyszłość moja i Szymona nie istniała. Po prostu nie istniała.

– Tak myślałem. – Pokiwał głową, a ja czułam, jak na twarz i szyję wypływa mi rumieniec. – Teraz wyjdę, ale tylko dlatego, że ja tak chcę. I wrócę. Słyszysz? – Odsunął się szybko i wyszedł do przedpokoju, a po chwili zamknął za sobą drzwi. I wcale nimi nie trzasnął. Widać tylko wydawało mi się, że dwudziestoosmioletni chłopak jest nieskomplikowany i łatwy do rozczytania. I że jeszcze posłucha starszej kobiety. Akurat w tej kwestii Szymon miał własne zdanie i nie zawahał się go forsować. Mało tego. Raz podjętych decyzji nigdy nie cofał.

Po jego wyjściu nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Czułam, że cała ta przygoda – jak z obowiązku zwykłam nazywać siebie i Szymka – wymknęła mi się spod kontroli. Poszłam z nim do łóżka, bez cynizmu, bo naprawdę tego pragnęłam. Bo zakochałam się w tym chłopaku jakoś tak niepoważnie, ale mocno. Bo nie przypuszczałam, że nasz... związek będzie czymś więcej niż właśnie tylko piękną przygodą. I chciałam, żeby trwał, i jednocześnie tego właśnie nie chciałam.

Szymek wrócił późno. Słyszałam, jak zdejmuje buty, a potem kręci się po domu. Parę minut później postawił przede mną kubek, z którego unosiła się para. Sam usiadł obok na łóżku i grzał sobie uda własnym makowym naczyniem. Nawet nie zauważyłam, kiedy położył mi na kolanach czekoladkę.

– Miedziunka! – Nie mogłam powstrzymać lekkiego uśmiechu. Jej widok zawsze potrafił mnie rozbroić.

– Yyy... miedziunka? Jaka miedziunka?

– No, Kasztanek. Ale po mojemu właśnie miedziunka. – Pogładziłam charakterystyczne złotko. Zaraz... Przecież nikt oprócz najbliższej rodziny nie znał mojego upodobania do czekoladek Wawelu. – Skąd

wiedziałaś?

– Byłem u Blue.

Dobrze, że nawet nie zdążyłam się napić.

– Co? – Z niedowierzaniem zmarszczyłam czoło. – Skąd w ogóle miałaś adres? – Znów zrobiłam się zaczepna i gotowa do kłótni. – Nie pamiętam, żebym ci go podawała.

Ze spokojem odstawił kubek na stół i przesunął się na brzeg łóżka, próbując zajrzeć mi w oczy.

– W przedpokoju, na stoliku z telefonem, masz porozrzucone kartki z numerami – wyjaśnił. – Swoją drogą, nie rozumiem, jak akurat ty możesz funkcjonować w takim bałaganie. – Musnął dłonią koronkę mojej sukienki, pokazując, że dziwi go dysonans pomiędzy moim wyglądem, a otoczeniem, w którym się poruszałam. – Dlatego kupiłem ci kalendarzyk. Jeden numer telefonu już wpisałem. – Położył mi na kolanach małe cacko. Na beżowym płótnie wymalowane maki mieszały się z chabrami. Grubo nałożona farba przyciągnęła moje palce.

– Wygląda trochę jak kolory na palecie. Spodobałby się Blue.

– No i się jej spodobał – powiedział ostrożnie, dalej próbując zajrzeć mi w oczy.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, choć nadal czułam złość do Szymka. Byliśmy razem ledwie pięć minut, a on już pozwalał sobie na komitywę z moją rodziną.

– Co ci powiedziała Blue? – Próbowałam silić się na lekki ton.

– Bardzo się ucieszyła, że zaczynasz brać życie w swoje ręce, i stwierdziła, że skoro tak jest, to gra widocznie jest warta świeczki.

Pomyślałam, że mama nie powinna obnażać mnie w taki sposób, i obiecałam sobie z nią porozmawiać, ale najpierw musiałam to zrobić z Szymonem. Nie bardzo wiedziałam, jak zacząć, więc spytałam kąśliwie:

– I co? Blue pewnie ci kibicuje?

– Blue kibicuje nam – poprawił, próbując mnie przytulić.

– No jasne! – Oparłam plecy o wersalkę. – Dlaczego nie? Idealnie wpisujemy się przecież w rodzinę. Tamci lubią się jak wariaci i mieszkają ze sobą pomimo rozwodu, a ty jesteś dekadę ode mnie młodszy!

– Specjalnie używasz tego słowa? Żeby brzmiało poważniej?

Skinęłam głową.

– To brzmi poważnie i do tego jest prawdą. Jestem od ciebie starsza o dekadę.

– A co to ma do rzeczy? – Uniósł ręce i zmarszczył brwi. – Dziewczyno! Zrozum wreszcie! Ja kocham ciebie, a nie twoją metrykę!

– Wiesz to po tych kilku tygodniach? – Morza ironii w moim pytaniu nie usłyszałyby tylko kretyn.

– Kiedyś nie wiedziałem tego nawet po kilku latach. Z Dorotą byłem w sumie ponad trzy i, wierz mi, do końca czekałem na jakiś znak, że to już to. A ciebie przeczuwałem od momentu, kiedy po raz pierwszy przyszłaś do pracy i byłem już pewien wtedy, gdy po raz pierwszy pozwoliłaś mi być ze sobą.

– Przeczuwałem... Być ze sobą... Wiesz, że cytujesz swojego bloga? – Omijałam temat, sama nie wiedząc dlaczego.

– Cytuję siebie. To, co wtedy myślałem, było prawdą i ciągle nią jest. – Nie odwrócił głowy pod moim prześmiewczym wzrokiem. – Ale już dość o tym. Teraz posłuchasz, co mam ci do powiedzenia, i to nie za pomocą bloga. Może i nie mam nawet trzydziestki, ale wiem, co czuję i wcale się tego nie wstydzę. – Przytrzymał mnie za ramiona i nie pozwolił wstać. – Może i jestem przesadnie romantyczny, jednak, zapewniam cię, umiem też być męski i zdecydowany. Powiedz mi teraz, już bez kluczenia, co do mnie czujesz. – Pochylił się nade mną i już wiedziałam, że nie będę w stanie skłamać ani obejść sprawy bokiem. – Wiem, że chcesz ze mną być. Nie zaprzeczaj.

Nie spodziewałabym się, że ten miły chłopak... że ten miły, nieśmiały, trochę przesadnie romantyczny chłopak potrafi tak konsekwentnie dążyć do obranego przez siebie celu. Że nie wstydzi się tak otwarcie mówić o swoich uczuciach i że, dodatkowo, jest tak bardzo pewny moich. Że właściwie czytał mnie jak otwartą księgę. Zdałam sobie sprawę, że faktycznie nie jest to pora na wykręcanie się od odpowiedzi. Że taka wyjątkowa szczerłość zasługuje na szczerłość dokładnie tego samego kalibru. To dlatego nie odwróciłam głowy i nie próbowałam się już wyrwać. Popatrzyłam tylko na Szymona i, tak jak kiedyś, zanurzyłam dłoń w jego zaroście.

– Jesteś jedynym mężczyzną, z którym pragnęłabym mieć dziecko. Ale właśnie tego dziecka nie mogę ci dać.

Położył mi palec na ustach i poprosił, żebym już nic nie mówiła. Jego dotyk nagle stał się bardzo miękki, gdy ostrożnie kładł mnie na łóżku. Bardzo długo ćwiczył palce na moim ubraniu, zanim wreszcie zdecydował się je zdjąć. Dotknął chyba każdej falbanki i każdego niebieskiego kwiatka, który pstrzył sukienkę. Z uwagą studiował każdy detal materiału, a ja miałam wrażenie, że w ten sposób modli się do mnie. Że modli się do każdej rzeczy, która moja jest. Nie chciał ode mnie nic. Pilnował tylko, żebym ani na moment nie zdejmowała rąk z jego głowy. Potem rozdzielił moje palce swoimi i nie puszczał tak długo, aż wreszcie zamknęłam oczy, przekonana, że właśnie skończył się świat.



Szymon zrobił to, o co go prosiłam, ale dopiero po roku dowiedziałam się, jak bardzo było mu przykro, gdy kazałam mu ukrywać swoje uczucia. Że moje zdjęcie musiał trzymać w szafce i że nie wolno mu było mnie objąć czy pocałować. Zastosował się do moich warunków i, choć swoje myślał, zachował to tylko dla siebie.

W szkole, w tym drugim roku pracy, nie zmieniło się właściwie nic. Znow widywałam tylko sprzątaczkę, Szymona, Alicję i Tomka.

– O, lalka! Wyglądasz jakbyś przeżyła niezłą wakacyjną przygodę. – Kolega na powitanie przyparł mnie do ściany. – Taak. Seks to najlepsze lekarstwo i kosmetyk. Chętnie przypudrowałbym ci nosek, wiesz?

– Nie używam pudru. – Wysmyknęłam się spod ramienia Tomka. – Ciebie też miło widzieć – dodałam niezgodnie z prawdą. Na szczęście dyżurny kochanek wyszedł na papierosa i mogłabym odetchnąć przez te parę chwil... gdyby nie Alicja.

Wpadła do pokoju, w biegu rzucając na wieszak dziwaczne poncho i torebkę.

– O, Łucja! Czyli Agnieszka cię nie wykończyła? No, cześć! Miło cię widzieć. Gdzie byłaś i co robiłaś przez wakacje? – Grad pytań i wykrzykników przyparł mnie do ściany tak samo jak przed chwilą fizyczność Tomka.

– Witaj, Alu. Ciebie też miło widzieć – skłamałam po raz kolejny tamtego dnia. Jakoś nie mogłam polubić Alicji. Odstraszał mnie jej impulsywny i zaborczy przestrzennie sposób bycia oraz wygląd. Alicja

darzyła wszelkie asymetrie taką samą namiętnością, z jaką lubiła je równoważyć. Zmieniła fryzurę: zapuściła włosy do prawego ramienia, a z lewej strony przycięła je krótko, niemal do skóry. Kontrast maskowała ciemnymi piórami kolczyka, który, w rzadkich chwilach bezruchu, przysiadł jej ramię. Zdjęte wcześniej poncho sięgało jej prawego kolana, a o lewe objęła się torebka. Zastanawiałam się, po co tak wyraziście podkreślać kontrasty i jednocześnie je niwelować. Ale Alicja miała swoje szpice i wycięcia tak samo jak ja miałam koronki, obcięte równo nad czubkiem pantofla, i włosy rozdzielone przedziałkiem na dwie idealne połowy. Zafurkotała spódnicą, wyszarpnęła dziennik z półki i pobiegła na zajęcia, co kazało i mnie podnieść się z krzesła. Zerknęłam w grafik. Najpierw dwie nowe uczennice, potem Agnieszka i Beata. No, cóż. Kolejnego, rocznego poloneza czas był zacząć.

Nowe okazały się cichutkie i zainteresowane. Przynajmniej takie sprawiły wrażenie na pierwszej lekcji i nie pozwoliły mi go zmienić aż do ostatniej. Zawsze przygotowane, sumiennie, ale bez cienia indywidualizmu wyklepywały z klawiszy muzykę. Nie to, co Beata. Widok nikogo ze szkoły nie ucieszył mnie tak bardzo jak właśnie widok tej szczupłutkiej, ślicznej dziewczyny, która uśmiechnęła się do mnie już od drzwi.

– Jak ja tęskniłam za tymi naszymi zajęciami! – Ostrożnie wyjęła z torby fiołka afrykańskiego i wręczyła mi doniczkę, którą postawiłam na pianinie. Nie powinnam była tego robić, bo raz, że sprzątaczką mogła przelać kwiat i zniszczyć politurę, a dwa, że na instrumencie nie powinno się kłaść żadnych przedmiotów ze względu na rezonans i zniekształcenie dźwięków. Ale skoro całe pianino zastawione było pudłami nut, jeden kwiatek nie mógł chyba aż tak bardzo zaszkodzić.

– Zostawię go tutaj. Będzie nam się milej pracowało. – Uśmiechnęłam się do niej. – Ja też tęskniłam za moją ulubioną uczennicą.

Przerwa w lekcjach wcale nie pogorszyła gry Beaty. Przeciwnie, miałam nawet wrażenie, że ten trzymiesięczny odwyk w jakiś sposób jej się przysłużył. Palce tylko na początku nie mogły nadażyć za wzrokiem w odczytywaniu nut. Potem przypomniały sobie dawną giętkość. Wiedziały też, w który klawisz trafić i kiedy kciuk ma się

wygiąć pod palcem wskazującym i środkowym, żeby sięgnąć kolejnego klawisza. To wszystko zostało Beacie w głowie i w dłoniach, które coraz odważniej wydobywały z pianina muzykę. Lekcja z nią mijiała szybko i właściwie nie była lekcją, a raczej spotkaniem pokrewnych dusz, które, poza sferą muzyczną, także miały się ku sobie. Zajęcia z Beatą były dla mnie jak odskocznia. Jak odpoczynek po starciu z Agnieszką, która już od pierwszej lekcji w nowym roku pokazała, jak bardzo mnie nie lubi.

Wpadła z impetem do sali, spóźniona o parę minut, trzasnęła drzwiami i wydobyła z siebie bardzo obrażone „dzień dobry”. Na nowe nuty popatrzyła z taką nienawiścią, że przypomniałam jej nieobowiązkowość lekcji, a potem zachęciłam:

– Agnieszko, to tylko czterdzieści pięć minut w tygodniu. Skąd wiesz, może kiedyś przyda ci się umiejętność grania na instrumencie? Zwłaszcza że masz talent i nauka powinna przychodzić ci z łatwością.

Nie skłamałam. Agnieszka miała „ucho”. Sprawdziłam to kiedyś, przekupując ją ulubionymi słodyczami. Za cukierki jabłkowe potrafiła przełamać wszelką niechęć i bez patrzenia wyszukać klawisz, w który uderzyłam chwilę wcześniej. Ale przecież nie mogłam w ten sposób prowadzić każdych zajęć, również ze względu na solidną tuszę dziewczyny.

Wtedy na tej pierwszej lekcji upodobała sobie moderator, ciągnąc go do siebie i odpychając tak mocno, że wewnątrz instrumentu aż dudniło od poczynań niedelikatnej ręki.

– To jest bardzo stare pianino! Nikt nie ma prawa traktować go w ten sposób! – zaprotestowałam, łapiąc ją za nadgarstek.

Gdy jednak ponownie, z całą siłą, pociągnęła za gałkę moderatora, zamknęłam pokrywę instrumentu i zapytałam:

– Dlaczego ty chodzisz na te lekcje, skoro tak bardzo nie chcesz grać? Porozmawiaj z rodzicami, żeby cię wypisali.

Gdybym wtedy wiedziała... Gdybym znała powód niegrzecznego zachowania Agnieszki, zrozumiałabym spojrzenie, którym wręcz przyszpiliła mnie do taboretu. Oczywiście, nawet się nie odezwała. Patrzyła tylko na mnie, jak w jakimś stuporze, irytująco powoli mrugała oczami i nie mówiła nic. Wiedziała, jak wyprowadzić człowieka z równowagi. Powinnam była już w pierwszym roku pracy

z Agnieszka zadzwonić do jej rodziców, ale nie zrobiłam tego z różnych przyczyn. Pierwszy był stary jak świat i dotyczył pieniędzy. Ja z ochotą oddałabym te parę groszy, które płacono mi za lekcję z gimnazjalistką, ale szkoła niekoniecznie chciała sobie pozwalać na straty finansowe. Po drugie, nie cierpiałam skarżyć, bo to często obracało się przeciwko mnie, jak kiedyś zapowiedziała Alicja. Można się potem było nasłuchać o braku kompetencji i pedagogicznego podejścia. Tak, za to podejście rodziców do swoich dzieci było często najzupełniej bezkrytyczne. Zaciskałam więc zęby i męczyłam się, ale z nikim tak bardzo jak właśnie z Agnieszka. Trwało to do momentu, w którym, zupełnie nieświadomie, i ja odmówiłam jej pomocy.

To był grudzień. Na pewno, choć zamiast śniegu padał deszcz. Ta pogoda doprowadzała mnie do szału. Na lekcje przyszedłam wyziębiona i dlatego tak się ucieszyłam na widok termosu z gorącą herbatą, który stał w klasie. Szymon! Chłopak uszanował moją wolę i był przy mnie, niby z daleka, a jednak tak bliski. Zawsze potrafił okazać uczucie, i to w sposób najlepszy z możliwych. Nie słowem, nie przytuleniem, a właśnie takim gestem jak ten termos czy kanapki wsadzone do torby w każdy poniedziałek. W ten dzień tygodnia miałam cztery godziny lekcyjne, między którymi organizm dopominał się o jedzenie. Samej nie chciało mi się aż tak o siebie zadbać.

W każdym razie tamtego dnia Agnieszka przesadziła. I to mocno. Zaraz po rozpoczęciu lekcji położyła się na wykładzinie i stopami uderzała w pianino. Przez chwilę patrzyłam na nią w oszołomieniu, a potem wyjęłam komórkę i szybko otworzyłam dziennik na stronie z telefonami do rodziców. Wstukałam prędko numer.

– Nie daję zgody na takie zachowanie. Dzwonię do twojej mamy – powiedziałam, oczekując na sygnał połączenia.

Gdy Agnieszka usłyszała to: „Dzwonię do twojej mamy”, od razu opuściła nogi i usiadła z powrotem. Pomyślałam wtedy, że wreszcie, po prawie półtora roku, znalazłam sposób na wstrętą gówniarę.

– A naprawdę trzeba? – zapytała cicho, w mig porzucając arogancki i bezczelny ton.

– Nie, nie trzeba. – Równie szybko podjęłam decyzję, widząc, że moja uczennica bardzo boi się matki. Wyłączyłam telefon, ale na wszelki wypadek zostawiłam go na pianinie. – Pod warunkiem, że przestaniesz

sprawiać kłopoty. Czuję, że z jakichś powodów musisz chodzić na te lekcje, ale to nie znaczy, że masz mi w taki sposób uprzykrzać życie. Możesz się nie uczyć. Możesz nie robić nic, skoro nie chcesz, ale masz być grzeczna, rozumiesz? Inaczej od razu dzwonię do twojej mamy. Jasne?

Agnieszka spuściła wzrok i pokiwała głową.

– Nie słyszę. – Byłam wredna, ale skoro wreszcie udało mi się znaleźć sposób na spacyfikowanie tej dziewczyny, nie zamierzałam z niego nie skorzystać.

Uczennica tym razem pokiwała głową tak mocno, że nie zobaczyłby tego tylko idiota. Jednak ja byłam nieugięta i egzekwowałam swoją wolę do maksimum.

– Nie słyszę i nie wiem, czy wyraziłam się jasno.

– Tak! Mogę już iść?

– Możesz. – Ostentacyjnie schowałam telefon do torebki. – Widzimy się za tydzień.

Przez te siedem dni nie mogłam się doczekać lekcji z nielubianą uczennicą. Zastanawiałam się, na ile straszak w postaci matki będzie skuteczny. W kolejny poniedziałek przyszła zupełnie inna osoba. Przywitała się spokojnie, choć bez entuzjazmu, usiadła do instrumentu i wbiła wzrok w nuty, które kazałam jej przegrać. Byłam zszokowana, ale nie skomentowałam tego w żaden sposób. Traktowałam ją tak, jakby między nami nic nie zaszło, choć na sympatię z mojej strony raczej nie była już w stanie sobie zasłużyć. Agnieszka dalej pracowała niechętnie, a w gorsze dni po prostu siedziała, gapiąc się tępo w pianino, i nie robiła nic. Nie mogłam zrozumieć, że rodzice zmuszają dziewczynę do czegoś, czego nigdy nie lubiła. Obiecywałam sobie, że w następnym roku porozmawiam już z nimi i wyjaśnię, jak sprawa wygląda, a dyrektorkę poinformuję, że dziewczyna zrezygnowała sama.

Na szczęście nie musiałam tego robić, ponieważ Agnieszka po wakacjach nie pojawiła się już na zajęciach. Szkoła też oglądała ją nader rzadko, bo dziewczyna wagarowała koncertowo. Ale, przyznam, niespecjalnie zawracałam sobie nią głowę. Tym, co się liczyło, był mój święty spokój.

Teraz, właśnie za ten spokój, jest mi wstyd. Jest mi wstyd również za

to, że jako kolejna osoba zlekceważyłam dziewczynę i jej rozpaczliwe próby zwrócenia na siebie uwagi. Że postraszyłam matką, która nie dość, że nie kochała, to jeszcze podobno uprzykrzała jej życie. I za to, że mam dyplom pedagoga. I wreszcie za to, że z teorii zostały mi w głowie nici, którymi i tak nie potrafiłam powiązać obserwacji z wnioskami.

Ale historia Agnieszki to i tak nic w porównaniu z tym, jak przysłużyłam się Beacie.



Beata miała niestety tendencję do zakochiwania się w nieodpowiednich mężczyznach. Tamtego dnia widziałam, że aż się pali, żeby mi coś powiedzieć. I wcale nie myliła się w grze. Przeciwnie, miałam wrażenie, że muzyka, którą wydobywała spod palców, jest pełna i poprawnością, i tym czymś, dzięki czemu melodii się słucha, a nie tylko się ją słyszy. Beata grała... grała jak natchniona. Wiem, że to głupio brzmi, ale tylko takie określenie przyszło mi wtedy do głowy. I właśnie to powiedziałam jej po zakończonej lekcji. Obróciła się wraz z taboretem w moją stronę, a oczy miała jak fiołek afrykański, który kwitł jakby na przekór zimie. Patrzyłam na nią z sympatią.

– No i co tam, mała? – użyłam zwrotu Blue, którym mama podkreślała czułość i zainteresowanie. – Nowa miłość?

Pokiwała tylko głową, chyba niezdolna opowiedzieć o swoich przeżyciach. Patrzyłam na jej śliczną buzię i na uśmiech, który zdawał się promieniować na cały pokój.

– No co?

Nie zdążyłam uzyskać odpowiedzi na powtórzone pytanie, bo Beata podskoczyła do mnie, by mocno się przytulić.

– Oj, mała, mała. Dzieciaro. Szczęśliwa jesteś, prawda?

Cofnęła się na krzesło, trochę zawstydzona, i znów pokiwała głową, a potem wróciła do nut. Jeśli tę otwartą dziewczynę tak bardzo przerastała nowa miłość, to, pomyślałam, musi to być coś wyjątkowego.

Zwierzyła mi się dopiero parę tygodni później. Po zajęciach nie spieszyła się do domu, a ja też wcale jej nie poganiałam. Zapytałam tylko:

– Nie umówiłaś się z chłopakiem?

Zmarszczyła nos i skubała coś przy torbie.

– On nie jest moim chłopakiem i pewnie w ogóle nie będzie.

– Znowu smutna historia, Beata? – Popatrzyłam na nią z troską. Czy naprawdę żaden sensowny facet nie był w stanie poznać się na tej dziewczynie? Czy naprawdę wszystkich interesowały krzykliwe gówniary ze słomą zamiast mózgu, która wзираła im z oczu i wystawała spod zbyt krótkich spódnic? Beata miała i urodę, i delikatność, a przede wszystkim mądrość, rzadko spotykaną u dziewczyn w jej wieku.

– Ty się, Beatko, powinnaś rozejrzeć za kimś starszym. – Byłam pewna, że nagle odkryłam przyczynę miłosnych falstartów mojej uczennicy.

Popatrzyła na mnie w zdziwieniu, szeroko otwierając te swoje niemal granatowe oczy.

– On jest starszy – powiedziała cicho. – I nawet nie wie, że... Nawet nie wie... – nie mogła dokończyć zdania, więc położyłam jej rękę na ramieniu, pełna obaw, czy dziewczyna nie wplątała się w coś zupełnie dla niej nieodpowiedniego, a nawet niebezpiecznego. Wyjęłam z torby czekoladę, otworzyłam opakowanie i połamałam smakołyk, a potem zaprosiłam Beatę na podłogę.

– Na krzesłach siedzi się niewygodnie i tak samo się na nich rozmawia. – Zebrałam spódnicę i usiadłam przy ścianie, przesuwając się w stronę drzwi i robiąc miejsce Beacie. – Lubisz gorzką?

– Lubię. Ale wolę nadziewaną.

Sięgnęłam ręką do kieszeni swetra.

– To tak jak ja. Najbardziej właśnie te. Kasztanki. – Podałam smakołyk Beacie, która odwinęła czekoladkę ze złotka i odgryzła pierwszy kęs. Widziałam, że delectuje się słodkością tak samo jak zwykle robiłam to ja. Nie wgryzałam się od razu w środek, tylko rozpuszczałam w ustach czekoladową skorupkę, czekając, aż drobinki nadzienia zaczną przyjemnie trzeć o język. Lekko oblizałam wargi i sięgnęłam po kostkę gorzkiej. Taką czekoladę jadłam podobnie jak miedziunkę – wolno i z namaszczeniem, nie dbając o to, że brązowa masa brudzi mi zęby na dłuższy czas.

Przez chwilę siedziałyśmy bez słowa. Za oknem dawno już zrobiło się ciemno, a starcie nocy z jarzeniówką nie było zbyt miłe. Podniosłam

się z podłogi, zgasila lampy i uchyla drzwi na korytarz. Smuga światła przecięła pokój, rozjaśniając go tak, jak akurat było trzeba.

– Gdzieś w listopadzie urwał mi się obcas od buta – odezwała się wreszcie Beata. – Powiedział, że go szybko podklei, i tak się miło uśmiechnął, że po prostu zdjęłam but i mu go podałam. Reperował kozak, uśmiechał się do mnie i mówił, że już kończy. Czułam się dziwnie, widząc jak wkłada rękę do buta i dotyka wyciśniętego przez moją stopę kształtu. To było takie... takie...

– Intymne? – pomogłam jej, choć wiedziałam, że ma raczej problem z wypowiedzeniem na głos tego słowa niż z adekwatnym nazwaniem swojego odczucia.

Zaczerwieniła się, a mnie po raz kolejny zdziwiła jej delikatność. Rzecz niezwykła w czasach, gdy dzieciaki nie znały takiego słowa, a nawet jeśli je kojarzyły, to wyłącznie z sytuacji czysto seksualnych. Zresztą też nazywanych dosadniej.

– Ja wiem, że to głupie. Ale od tamtej chwili nie mogę przestać o nim myśleć.

– Zakochujemy się często w najdziwniejszy sposób. I w mężczyznach, których, rozumowo, nie wybrałybyśmy na obiekt swoich uczuć. – Oczywiście pomyślałam także o swojej sytuacji. – Tylko że rozum czasem niewiele ma do gadania. A zazwyczaj nie ma nic.

Beata popatrzyła mi prosto w oczy.

– Pani też jest zakochana, prawda?

Skinęłam głową, uśmiechając się w myślach do Szymona. Gdybym tylko mogła opowiedzieć Beacie o tym, jakie boje toczyłam z własnym rozumem! I jak walczył z nim Szymon, zanim pozwoliłam mu się zabrać na spacer. Zanim pozwoliłam mu trzymać się za rękę. Zanim poszliśmy na wizytę do Blue. I zanim... Tych zanim było naprawdę dużo.

– Czy pani sądzi, że to normalne zakochać się w kimś starszym?

– A czy sądzisz, że to normalne zakochać się w kimś młodszym? – odbiłam piłeczkę, choć wcale nie zamierzałam aż tak się otwierać. – W życiu bywa różnie i nie wiem, co jest normalne, a co nie.

– Ale ja nie mogę o nim nie myśleć. Przecież widuję go niemal każdego dnia. – Popatrzyła na mnie tak, jakby oczekiwała, że ją zdiagnozuję, napiszę zalecenia, a potem zaproszę na kontrolną wizytę.

– Nie wiem, Beatko. – Pokręciłam głową. – Może daj sobie czas i zobaczysz, co z tego wypłynie. Czy pozostaną tylko wspomnienia, czy jednak coś więcej. – Próbowałam jej delikatnie przekazać, że nieodwzajemnionych, wyidealizowanych afektów mamy w życiu bardzo dużo.

– Ja nawet nie wiem, czy on kogoś ma. – Znów wycofała się do cienia i oparła plecy o ścianę. – Głupia jestem, że sobie zawracam głowę i jeszcze pani opowiadam te idiotyzmy.

– A skąd wiesz, że to idiotyzm? Możesz to tak ocenić, ale z perspektywy lat. Beatko, ja kiedyś powiedziałabym, że moje uczucie to idiotyzm. A teraz widzę je w zupełnie innych barwach, rozumiesz? Gdybym nie zaryzykowała, nie pozwoliła temu płynąć... Może nie warto od razu wszystkiego przekreślać – dodałam. – Po prostu przyjrzyj się temu lepiej, dobrze?

Nic innego nie umiałam jej doradzić, gdyż wyraźnie skąpiła szczegółów całej sprawy. Nie wiedziałam, skąd zna tego mężczyznę i gdzie go widuje każdego dnia. I czy zaszło między nimi cośkolwiek więcej niż to, o czym zdecydowała się mi opowiedzieć.

Powoli wstałam, otrzepując spódnicę. Zaświeciłam światło, od którego zaboląły nas oczy. Beata zrobiła daszek z dłoni, zamrugła parę razy i również się podniosła, przerzucając torbę przez ramię.

– Na drogę. – Podsunęłam jej resztę czekolady.

Zamachała ręką.

– O, nie! Po Kasztanku nic już tak nie smakuje.

Po Kasztanku nic już tak nie smakuje, powtórzyłam w myśli jej słowa, zastanawiając się, czy będę w stanie nasycić się czymkolwiek, gdy związek mój i Szymka przejdzie do historii. Bo byłam pewna, że ten chłopak jest czymś najlepszym, co przytrafiło mi się w życiu.

– Masz rację, Beatko. Zawsze wybieraj to, co będzie dobre dla ciebie. Unikaj substytutów, bo one nie sycą nawet na samym początku.

– Pani jest bardzo mądra.

Pokręciłam głową z uśmiechem.

– O, nie. Mądry to jest... – Chciałam powiedzieć „Szymon”, ale w ostatniej chwili dokończyłam niezgrabnie: – Mądry to jest on. Sporo mnie przez te parę miesięcy nauczył.

Za drzwiami rozległ się łoskot stawianego na podłodze wiadra.

Wzięłam prędko torbę do ręki i otworzyłam szerzej drzwi, mówiąc:

– Pora na nas, bo bardzo się zasiedziałyśmy. Pani Wandzia zaczyna już sprzątać. Beata! – Złapałam ją jeszcze za rękaw. – Gdyby się coś działo, gdybyś potrzebowała rozmowy, to wiedz, że jestem.

Odrzuciła włosy do tyłu niemal tak samo jak ja. Nasze pasma różniły się tylko tym, że ja miałam je ułożone gładko i starannie, a u nastolatki widać było jeszcze brak przywiązania do własnego wyglądu. Nawet jeśli uczesała się w kucyk, poszczególne kosmyki wybrzuszały się tu i ówdzie, odstając od reszty. Obdarzona była jednak taką urodą, która jest dobrze widoczna nawet przy lekceważącym do niej podejściu. Beata psychicznie dorosła już do roli kobiety. Natomiast jej fizyczność była jeszcze fizycznością dziecka. Z umorusaną czekoladą buzią, potarganymi włosami i sińcem na kolanie. Byłam bardzo ciekawa, kto pomoże jej się wykluczyć w świadomą siebie kobietę.



Moja uczennica właściwie nie powiedziała mi już nic więcej. Podczas kolejnych zajęć nadmieniała tylko, że on się do niej uśmiechnął, że zapytał, jak podklejony but i w ogóle jak leci. Że ma takie dobre oczy. Ciemne i bardzo miłe. Niczego więcej nie chciała mi zdradzić. Martwiłam się o nią, bo coś mi ten „związek” nie wyglądał przyszłościowo. Raczej zakładałam, że pozostanie w sferze marzeń Beaty i wolałabym taką opcję niż strach, że ktoś wykorzysta tę dziewczynę o wrażliwości dziecka.

Obserwowałam swoją uczennicę bardzo uważnie i parę razy nawet odprowadziłam ją do domu, dowiadując się, że mieszka sama z rodzicami i ma tylko jedną bliższą koleżankę. Że rodzice, tak jak ona, najlepiej czują się sami ze sobą. Że odwiedziny znajomych wprawiają ich w niezły popłoch. Z ulgą wykluczyłam w ten sposób to, czego się bałam najbardziej. Bo skoro widywała go codziennie, nie mógł to być ani krewny, ani przyjaciel domu.

Sprawa Beaty bardzo leżała mi na sercu. Tak bardzo, że któregoś dnia złamałam swoją zasadę, żeby najpierw myśleć, a potem działać, i zrobiłam karczemną awanturę koleżdze z pracy. Skończyłam właśnie zajęcia, otworzyłam drzwi pokoju nauczycielskiego i zobaczyłam, jak Alicja siedzi na krześle i odchyła głowę w tył, a Tomek liże kostkę u jej

stopy.

– Dobrze naprawiłem ci obcasik, szparko? Wujek Tomek dużo umie...

Był obleśny. Zawsze wiedziałam, że ma paskudny charakter, ale nigdy aż tak się nie odsłonił. Zrobiło mi się niedobrze, bo nagle skojarzyłam ten zepsuty but Beaty, ciemne oczy Tomasza, które potrafiły być pełne uroku, no i... no i to, że oprócz zajęć dodatkowych z fotografii prowadził w klasach angielski. A to gnojek! Trzasnęłam drzwiami, ze złością w oczach patrząc, jak Alicja budzi się z chutliwego stuporu. Zerwała się z krzesła i podbiegła do zarzuconego na wieszak ponczo.

– Tomek właśnie zreperował mi but. Gdyby nie on, szłabym do domu na bosaka – trajkotała, nie patrząc na mnie. – No, to cześć. Do czwartku!

Gdy jej szybkie kroki umilkły na korytarzu, podeszłam do Tomka.

– Ty skurwielu! Zostaw ją w spokoju! – wycodziłam.

Tomasz nie był ani odrobinę zażenowany całą sytuacją. Przeciwnie, spoglądał na mnie z bezczelną pewnością siebie.

– Alicję? – prychnął. – Sama się napraszała.

Uderzyłam go dłonią w ramię. Poprawiłam mocniej, mówiąc:

– Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. To wrażliwa dziewczyna. Przestań ją zaczepiać, bo z nią ci to szycie nie wyjdzie. Rozumiesz?

Patrzył na mnie jak na wariatkę, doskonale udając, że nie wie, o kim rozmawiamy. To dopiero mnie rozjuszyło. Już otwierałam usta, żeby wymówić imię Beaty, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam.

– Nieważne, że ona ma już osiemnaście lat. Jeśli jej coś zrobisz, zgłoszę to dyrektorce – zagroziłam tylko.

Tomek oparł się jedną dłonią o stół, a drugą wsadził do kieszeni. Miałam wrażenie, że kombinuje, jak jeszcze bardziej mnie zdenerwować.

– Osiemnastki, powiadasz. – Z uznaniem pokiwał głową. – Mm, uwielbiam te ciążeczka młode i silne... Ale tobą też nie pogardzę, bo widzę, że księżniczka zazdrosna. Czy wiesz, że kiedy się gniewasz, wyglądasz jeszcze ponętniej? – Objął mnie znienacka i spróbował pocałować, a gdy prawą ręką brałam zamach, wykręcił mi ją za plecami i przytrzymał razem z lewą.

– Puść mnie, ty pieprzony gnoju! – wysyczałam.

– Aaa, księżniczka potrafi przeklinać? To dobrze. Bardzo dobrze. Lubię takie kobiety. Z pozoru niewinne, a w środku wulkan. Ciebie wolę, ciebie niż tę osiemnastkę. Słyszysz, lalka?

– Puść mnie, bo będę krzyczeć! – Próbowałam się oswobodzić, ale Tomek był dużo silniejszy. Zaczęłam się naprawdę bać.

– A krzycz sobie do woli. – Uśmiechnął się ironicznie. – W tej chwili nie ma w szkole nikogo, oprócz woźnego, który pewnie ogląda sobie teraz świerszczy... – urwał nagle i odskoczył ode mnie.

W tym samym czasie stuknęły drzwi. Obróciłam głowę i aż mi się słabo zrobiło z ulgi. W progu stał Szymon.

– Wszystko w porządku? – zapytał, patrząc to na mnie, to na Tomka.

– Tak, tak. Małe nieporozumienie – odpowiedziałam szybko, biorąc do ręki płaszcz i torebkę. Nie zamierzałam się skarżyć ani tym bardziej robić z siebie ofiary. Zdażyłam się już bowiem zorientować, że Szymon potrafi być o mnie bardzo zazdrosny. Nie byłam pewna, czy gdybym mu powiedziała, jak pogrywał sobie ze mną Tomek, nie wyniknęłaby z tego jakaś bójka.

Szymon jednak o nic nie zapytał, choć widziałam, że ma na to ochotę. Powiedział tylko, że martwił się, bo tak długo nie wychodziłam z lekcji i że zamknie kantorek na chwilę i szybko odprowadzi mnie do domu. Próbowałam tłumaczyć mu dziwne zajście z Tomaszem, piąte przez dziesiąte streszczając sytuację uczennicy, widok, który zastałam po wejściu do pokoju nauczycielskiego i to, że miałam chęć, naprawdę wielką chęć, tego gnojka pobić.

– Ala leci jak do światła, ale przecież jest dorosła – mruknął tylko Szymon, mocno obejmując mnie przez ciepły płaszcz. – Tomek to zły człowiek i na miejscu dyrektorki nie zatrudniłbym go do pracy z dziećmi. Zwłaszcza z nastolatkami. A ty też uważaj na niego. Lepiej nie zostawaj z nim sama w pokoju. Wstrętny typ.

Wstrętny – przyznałam w myślach, mając nadzieję, że po moich pogrózkach odczepi się od Beaty. Przytuliłam się mocniej do Szymona.

– Przyjdiesz wieczorem? – wymruczałam w jego kurtkę.

– A chcesz?

– Bardzo...

Przy nim powoli przestawałam się wstydzić swoich odczuć

i zastanawiać, czy kobieta w tym wieku ma prawo tak się zalecać do młodego mężczyzny. Bo czy rzeczywiście powinnam była patrzeć w metrykę i wybierać spośród takich typków jak Tomek? Z uczuciem ulgi, że przynajmniej przez jakiś czas nie muszę sobie zadawać takich pytań, jeszcze raz przytuliłam się do Szymona i weszłam do bloku.



Dwa miesiące później to Szymon zadał mi pytanie. Kluczowe.

Podczas ferii wybraliśmy się na kilkudniowy wyjazd w góry.

– Co ja tam będę robić? – Kręciłam nosem, bo zimy nie lubiłam. Ot, chyba tylko na tyle, żeby jak najczęściej zawijać się w ciepły koc, siadać w fotelu i czytać książki przy kubku herbaty imbirowej. Spacerować na szczypiącym policzki mrozie już niekoniecznie. A jeszcze bardziej niekoniecznie narty, które proponował Szymek. – Nie umiem jeździć i nie mam zamiaru się uczyć – broniłam swojego braku zainteresowania tym sportem.

– Zobaczymy na miejscu. – Szymon był lakoniczny i nie wdawał się w jałowe dyskusje. – Spakuj się tylko i w czwartek przyjadę po ciebie z samego rana. Jestem pewien, że miejscowość ci się spodoba.

Nie mogłam powiedzieć, że spodobała mi się jakoś wyjątkowo, ale majestatyczność gór była... była... Nawet nie umiałam określić swoich odczuć wobec pokrytych śniegiem szpiców i ścian. Z pensjonatu, w którym wynajęliśmy kwatere, roztaczał się piękny widok na Tatry. Pierwszego dnia pobytu stałam przy oknie chyba z godzinę. Popijałam herbatę i myślałam, że straciłam kawał życia, bo dopiero w wieku trzydziestu ośmiu lat miałam te najwyższe polskie góry na wyciągnięcie ręki. Tatry były po prostu magiczne! Połknęłam bakcyła i przymówiłam się o wakacyjne poznanie Karpat, łamiąc tym samym swoje założenia co do nieplanowania niczego z Szymonem na przyszłość dalszą niż parę dni. Zbyt śmiało rzuciłam wyzwanie losowi, zanim zdążyłam je dokładnie przemyśleć.

– Tak daleko naprzód nie wybiegamy. – Szymon wykladał na talerze bułki, twaróg i masło od gaździny. – Teraz będziemy jeść.

Widziałam, że cała jego uwaga pochłonięta jest kolacją, i zrobiło mi się wstyd za ten wyskok. Mógł przecież odczuć, że próbuję go przy sobie zatrzymać, że wiązę jakimiś nadziejami, które nie są obopólne. Obiecałam sobie, że nigdy więcej tak głupio się nie zachowam. Że mój

kalendarz związku z Szymkiem będzie miał rubryczki tylko na kilka najbliższych dni.

Jednak nocą to właśnie Szymon przedstawił mi tak długofalowy plan na swoje życie, że oniemiałam. Leżeliśmy już w łóżku, wtuleni w kołdrę i siebie, odgradzeni od pokoju zasłonką, która zwieszała się ze skośnego sufitu. Dzięki niej ciemność była tak gęsta, że nie widziałam nawet swoich dłoni.

– Lubię tak... – mruknęłam, wtulona w Szymka. Chłopak gładził moje włosy od nasady po końcówki. Wyprężałam grzbiet i podsuwałam w górę pośladki, żeby dać do zrozumienia, że chcę intymniejszego dotyku. Jednak Szymon zajmował się tylko moimi włosami, które były obojętne na pieszczoty.

– To znaczy jak?

– No... tak. – Nie bardzo umiałam i chciałam mówić o tym, co ta ciemność wyprawia z moim ciałem i jak bardzo popycha je ku temu drugiemu ciału. – No, jak jest tak ciemno. – Użyłam półprawdy, bo było mi wstyd się przyznać, że po prostu taka atmosfera podnieca mnie jak nigdy wcześniej.

Szymek zsunął moją głowę na poduszkę i oparł się na łokciu. Lubiłam, gdy tak z góry patrzył na mnie, choć akurat wtedy jego twarzy mogłam się raczej domyślać niż ją widzieć. W każdym razie zawsze, gdy leżeliśmy w taki sposób, miałam wrażenie, że różnica wieku między nami w jakiś sposób się niweluje, a nawet obraca na moją korzyść.

– No to ci zrobię taką zasłonkę, najpierw w twoim mieszkaniu, potem w naszym domku – nawiązał do projektu, który kiedyś razem wyrysowaliśmy. – Nic trudnego. Jakaś rurka, potem się to obuduje ładnie regipsami i pomaluje. Wybierzesz sobie materiał, krawcowa przytnie i będziesz miała na co dzień taki wyjazdowy klimacik. Co ty na to?

– Mieliśmy nie planować – przypomniałam – ale w sumie taka zasłonka byłaby niczego sobie.

Szymek zagłębił się dłonią w moje włosy, aż skóra zamrowiała od jego dotyku. Potem zsunął się na ramię i kciukiem wytyczył ścieżkę aż do zagłębienia w łokciu, a na koniec zawędrował do ręki. Opuszkami gładził naskórek, dotykał paliczków i kostek, które łączyły palce ze

śródręczem. Zamknęłam oczy. Szymon bardzo delikatnie, okrężnymi ruchami zaczął masować wnętrze mojej dłoni.

– Zrobię ci tę zasłonkę, ale musisz mi obiecać coś bardzo ważnego.

– Mm...? – Byłam w takim stanie, że chyba obiecałabym mu wszystko.

– Chciałbym, żebyśmy zawsze mówili sobie prawdę. Cokolwiek się przydarzy i jak bardzo mogłoby to zboleć nas jako nas. Obiecujesz?

– Dlaczego mówisz takie rzeczy?

– Bo kłamstwa mogą zepsuć wszystko. Tak samo niepotrzebne są półprawdy.

– Mówisz o sobie i Dorocie? – Byłam pewna, że za chwilę usiądzie na łóżku albo z niego zejdzie. Nie lubił, gdy poruszałam ten temat. Potrafił nawet wyjść z mieszkania i długo nie wracać. Tamtej nocy wprawdzie się nie odsunął, ale poczułam, że jego ciało zrobiło się sztywne.

– Tak. Mówię o sobie i Dorocie. Za długo oszukiwałem się półprawdami i potem musiałem ją skrzywdzić.

– A ja? – zapytałam bardzo cicho. – Czym jestem i będę dla ciebie?

– Naprawdę dalej nie wiesz czy udajesz? – Znów przysunął się do mnie. Przyłgął ciałem do ciała, tracąc poprzedni dystans, a ja poczułam ciepło jego oddechu na skroni. – Łucka – szepnął. – Nie kłam. Nie udawaj. Nie rób tego, o co prosiłem cię wcześniej. Tylko ze mną bądź. Bądź tak prawdziwie. Bez głupich pytań i niepotrzebnych słów.

– Ale na jak długo?...

Przeklinałam się za to pytanie, które odsłoniło i moje myśli, i wszelkie strachy, ale przecież... Przecież musiałam zapytać!

Szymek posadził mnie na łóżku, a potem mocno objął dłońmi moją twarz. Przytulił się czołem do czoła. Przez dłuższą chwilę nie mówił nic, choć czułam, że jest tyle rzeczy, które chce powiedzieć.

– Łucka – zaczął w końcu. – Ja wiem, że ty się boisz. Że chodzi o to. – Lekko szarpnął zegarek na mojej ręce. – I jeszcze o to, że myślisz, że jestem za młody. I że boisz się tego, co ludzie powiedzą. I jeszcze tego, że nie dasz mi pełnej rodziny. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najważniejsze?

Czekałam, aż wreszcie mi to powie. Aż całkiem mnie do siebie przekona. Aż przegoni wszelkie strachy i ten jeden największy, który

nie pozwalał mi zatracić się w tym, czego doświadczałam. Ale to przecież niemożliwe. Niemożliwe – powtarzałam w myślach.

– Powiedz mi to. Wreszcie mi to powiedz. – Szymon nie dawał za wygraną. – Ja muszę to od ciebie usłyszeć, bo siebie jestem pewien. I wreszcie wiem... Dopiero teraz... Dopiero z tobą jestem pewien, że wcześniej były tylko półprawdy. A teraz...? – zawiesił głos. – Co jest teraz, Łucka? Co się liczy?

Powoli uniosłam ręce i pozwoliłam im wgłębić się w zarost Szymona. Wplotłam palce między sztywne włoski i, tak jak kiedyś, poczułam na nich wilgoć. Historia, którą jakiś czas wcześniej opowiedziała mi Blue, wreszcie nabrała sensu i dla mnie. Była kwintesencją tego, co wcześniej usłyszałam od Szymona, i nie pozwalała mi już dłużej ani wątpić, ani się wahać.

– Tylko my w tym wszystkim – powiedziałam cicho. –Czwarta strona miłości, Szymi. Czwarta strona naszej miłości.



Z kilkudniowego pobytu w górach zapamiętałam dokładnie tylko tę pierwszą noc. Zamknęłam oczy i usta rozumowi, odważnie sięgając po to, co dawał mi Szymon. Bo, skoro do tej pory nigdy tak nie kochałam, może warto było zaryzykować? Ufałam temu chłopakowi jak nikomu wcześniej i dostałam od niego to, czego zawsze szukałam u Piotra i innych. Poza tym, Szymon nauczył mnie brać. Nauczył wyrażać oczekiwania i być sobą, także w sferze fizycznej. Do tej pory zbiera mi się na wymioty, gdy przypominam sobie sprawne ręce Piotra, które obracały mnie tyłem, unosiły za pośladki przy ścianie czy sadzały na stole. Miał rację, mówiąc, że byłam jak manekin.

Dopiero Szymek nauczył mnie, że moje ciało jest nie tylko dla innych, ale przede wszystkim dla mnie samej. Że mam ręce, którymi mogę prowadzić cudze dłonie tak jak chcę, aby to mnie było przyjemnie. Przestałam się wstydzić i brać tylko to, co chciano mi ofiarować. Paradoksalnie, mogłam się tak poczuć nie przy starszym, doświadczonej mężczyźnie, ale przy chłopaku, który w zasadzie dopiero wchodził w sprawy intymności. Może dlatego właśnie traktował je tak... prawdziwie i niepobieżnie? I może dlatego nie było w nim jeszcze rutyny, znudzenia i cynizmu Piotra? Nie mam pojęcia. Jakakolwiek była odpowiedź, nie interesowało mnie to. Zawsze

wolałam praktykę od teorii i w sprawach fizycznych takie podejście bardzo się sprawdzało. W czasach studenckich próbowałam jednak nadrobić brak doświadczenia wiedzą i na półkę stawiałam przeróżne wydania Kamasutry i poradniki, jak robić, żeby robić to dobrze. Oglądałam fotografie, na których kobieta o ciężkiej, indyjskiej urodzie zastygała w równie ciężkich pozach. Pufy, frędzle i dzbany z szerokim dnem sprawiały, że wręcz czułam unoszące się ze zdjęć gęste zapachy i po prostu robiło mi się niedobrze. Później zobaczyłam, że pokadrowany czas niespiesznej miłości nie przystaje do moich seksualnych realiów, bo Piotr i inni nie tylko że nie masowali mi stóp, ale czasem wręcz nie zdejmowali z nich skarpet. Wściekłam się wtedy i wyrzuciłam te woniejące pizmem akty. Blue próbowała je zutylizować i wykorzystać w swojej pracowni, ale ona również zbuntowała się przeciwko tej statyce, której nawet swoimi sposobami nie umiała rozruszać. Tak samo jak kiedyś podręcznikami do hodowli małej Łucki, miotnęła albumami przez okno, upewniwszy się wcześniej, że chodnikiem akurat nikt nie przechodzi. Mruknęła tylko, że komuś się na pewno przydadzą, choćby na makulaturę, ale z życiem to one nie mają nic wspólnego. Malowała więc dalej po swojemu i tak samo kochała się z Gerardem. Żywiłowo, spontanicznie, nie dbając o to, że jej chichoty i łózkowe pogwarki dochodzą do moich uszu. Wtedy, przy Szymku, zobaczyłam, że co najwyżej praktykę można ubogacać odrobiną teorii, ale nie na odwrót. Przestałam kochać się z włączonym mózgiem, w myślach odfajkowując etapy i zastanawiając się, czy robię to w miarę dobrze. Dopiero wtedy mnie poniosło. Poczułam ten sam flow, który unieobecniał mnie przy muzyce. Wchodziłam w dźwięki całą sobą, nie słysząc, nie widząc tego, co było dookoła, i tylko w taki sposób grałam prawdziwie. Czasem nawet rozmyślnie brałam klawisze nieodpowiednimi palcami, bo tak było wygodniej dla mnie i dla muzyki. Z niepokory i ucieczki przed schematami brało się coś, czego nie doświadczałam przy starannym wykonywaniu muzyki. A jeszcze, odkąd Szymon nauczył mnie grać nago... upewniłam się, że teoria może i tak, ale napisana samemu sobie i na bazie własnych doświadczeń. Z przypisami, wariacjami i komentarzami.

Zapewne to dlatego sfera fizyczna stała się dla mnie tak ważna i wspomnienie naszej pierwszej wyjazdowej nocy zupełnie wyparło

z głowy te inne. Kadry z reszty pobytu w górach układały się jak w kalejdoskopie. Musiałam poruszyć pudełkiem z pamięcią, żeby coś z niej wyskoczyło. Więc były Tatry, którymi się zachłysnęłam, stając po raz pierwszy na szczycie stoku. I orczyk, który ugiął się pod moją pupą do ziemi, gdy tak samo po raz pierwszy jechałam wyciągiem. I pierwsza wywrotka, podczas której niebo trzykrotnie wpadło na ziemię. I herbata, zaprawiona miodem i cytrusami, pita późnym popołudniem w karczmie. Ale najbardziej właśnie ta pierwsza noc, kiedy Szymek poprosił, żebym za niego wyszła.

To wszystko miałam chyba wypisane na twarzy, gdy wróciłam, bo wszyscy komentowali mój wygląd. Alicja tylko patrzyła podejrzliwie, zapewne czując, że opuszczam obóz singielski, a Tomek komplementował mnie po swojemu. Dobrze, że przynajmniej od ostatniej konfrontacji trzymał się na dystans i nie pozwalał już sobie na bliższe, cielesne poufałości. Właściwie tylko Beata ucieszyła się moim szczęściem w sposób, jakiego pragnęłam. Była mi bardzo bliska duchowo. Chyba widziałam w niej córkę, której nie mogłam mieć, i może dlatego tak bardzo się z nią związałam.

Pierścionek dostrzegła, gdy rozkładałam nuty. Złapała mnie za rękę i bardzo uważnie obejrzała kropeczkę brylantu zatopioną w białym złocie.

– Jaki piękny! Te zwykłe zaręczynowe są jak podbity pieczęciami układ – powiedziała, a ja uniosłam brwi zaskoczona trafnym porównaniem i zapytałam z uśmiechem:

– A skąd wiesz, że zaręczynowy?

– Bo pani nie nosi prawie żadnej biżuterii, więc ten pierścionek musi być bardzo ważny.

Pokiwałam głową, obracając się w kierunku pianina.

– I tobie kiedyś ktoś podaruje taki pierścionek. Z pewnością – dodałam ciepło.

– Chciałabym, żeby on w końcu popatrzył na mnie jak na kobietę, a nie uczennicę – westchnęła, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Ten cholerny Tomek nie mógł wywietrzeć jej z głowy. Dobrze, że chociaż przestał ją zaczepiać. Tak przynajmniej wynikało z jej słów. Pomyślałam, że mój wyskok w pokoju nauczycielskim jednak pomógł w wiadomej sprawie.

Rozpoczęłyśmy lekcję, ale i tak widziałam, że Beata nie może się powstrzymać od zerkania na mój palec.

– On ma dobry gust, a pani szczęście – powiedziała i w końcu na dobre zajęła się nutami.

Lekcja jak zwykle minęła szybko, a potem dziewczyna schowała warkocz pod czapkę i wyszła z sali, swoim sposobem przechylając się nieco na lewo pod ciężarem torby. Zostałam sama i już miałam zbierać się do domu, bo Agnieszka znów odwołała lekcję, gdy do pokoju zajrzał Szymek.

– Nie masz dzisiaj orki na ugorze? – zapytał, rozglądając się po sali.

– Podobno jest chora. Dlatego Beata przyszła wcześniej i teraz mogę już pójść do domu. – Okręciłam szyję szalikiem i wyjęłam włosy spod płaszcza.

Szymek zamknął drzwi i podszedł do mnie. Wtulił nos w policzek, mówiąc, że pachnę zimą i że chętnie poszedłby ze mną na spacer.

– Przyjdź po pracy – wyszeptałam mu do ucha i potarłam wargi o jego zarost, a potem poszukałam ust.

Skrzypnięcie drzwi usłyszałam – i owszem. Jednak nie odskoczyłam od Szymka tak, jak zrobiłabym to jeszcze miesiąc temu. Pierścionek na palcu legalizował przecież dłonie chłopaka, które obejmowały mnie w pasie. A poza tym, co do bliskości naszych ciał mogli mieć Tomek czy Alicja? Pewna, że to któreś z nich, powoli odsunęłam się od Szymona i wyjrzałam zza jego ramienia.

Drobna buzia Beaty była bledsza niż zazwyczaj, a oczy większe. Najpierw rozepchane łzami i niedowierzaniem, a potem prawdą, która w końcu do niej dotarła prędzej niż do mnie. Zanim zdążyłam wymówić jej imię, uciekła. Nie miałam szansy dogonić jej pospiesznych kroków. Zakręciłam się tylko po sali, złapałam do ręki fiołka afrykańskiego i z całej siły uderzyłam nim o podłogę. A potem też uciekłam. Równie szybko jak Beata.



Nie pojawiła się już więcej u mnie. Nie odbierała telefonu i w zasadzie napisała tylko zdawkowego SMS-a, że rezygnuje z zajęć. Nie chciałam jej nagabywać, ale czułam wielką potrzebę rozmowy. Naprostowania pewnych spraw i upewnienia dziewczyny, że nie miałam pojęcia, w kim tak bardzo się zakochała. Pewnie dlatego przyszłam kiedyś wcześniej

do szkoły i poczekałam, aż Beata skończy lekcje. Serce mi się ścisnęło na widok tego chudzielca o smutnej buzi, który pojawił się w drzwiach. Zastąpiłam jej drogę.

– Beatko... Chciałabym z tobą porozmawiać.

Spojrzała na mnie bez słowa i choć byłam pewna, że nie ucieknie, widziałam, że nie ma ochoty na rozmowę. I wcale się temu nie dziwiłam. Postanowiłam jednak nie przechodzić od razu do sedna sprawy.

– Słuchaj – zaczęłam, wzdychając. – Wyszło bardzo nie tak, ale chciałabym, żebyś wróciła na zajęcia. Szkoda marnować twojego talentu.

Pokręciła tylko głową i mocniej wbiła ręce w kieszenie.

– Szymon nigdy się nie dowie, jeśli tego się obawiasz. Być może jeszcze wiele takich zawiedzionych miłości przed tobą, ale z tego powodu nie wolno ci przekreślać siebie.

Popatrzyła na mnie uważnie i tak intensywnie, że musiałam na chwilę odwrócić wzrok.

– Pani nie rozumie, że tu chodzi nie tylko o pana Szymona. Może bardziej o panią. Mnie... mnie jest zwyczajnie przykro – odparła i ruszyła do bramy.

Zawołałam za nią. Przystanęła i obróciła się nieco w moją stronę.

– Ja sobie poradzę. – Usłyszałam w niej dawną Beatę, którą tak ceniłam. – Ale na lekcje nie mogę wrócić, bo czuję się tak, jakby mnie zdradziła przyjaciółka. Nieważne, że nieświadomie. – Podeszła bliżej i dodała cicho: – A pani życzę wiele dobrego. Szczerze. – Odwróciła się, a ciężka torba zaplotła jej się wokół ud. Nie byłam w stanie wymówić słowa. Ja, starsza o dwadzieścia lat kobieta, czułam się przy tej osiemnastolatce jak osoba, której wszystko trzeba tłumaczyć powoli i ze spokojem. A fakt, że porównała mnie do kogoś tak bliskiego jak przyjaciółka, jeszcze spotęgował przykrość i niesmak z zaistniałej sytuacji. To dlatego zdecydowałam wtedy, że nic nie powiem Szymkowi. Właśnie ze względu na Beatę. W tym dramacie nie wszyscy aktorzy byli świadomi swoich ról i tak musiało pozostać. Niechętnie podjęłam się więc reżyserii i, dodatkowo, zostałam też subretką, która uwiodła głównego bohatera.

Jak dalece trafne było moje porównanie i polityka niezawierania się,

zobaczyłam chwilę potem. Stałam na chodniku i patrzyłam, jak Beata idzie powoli przed siebie. Naraz z bocznej uliczki wypadł na nią Szymon. Z uśmiechem pomógł jej złapać równowagę, wskazał na but i zapytał:

– Trzyma się?

Beata skinęła głową po swojemu, jakoś tak na ukos, i poszła dalej. Schowałam się prędko za żywopłot, żeby Szymkowi nie przyszło na myśl przywitać się ze mną głośno ani, tym bardziej, poruszyć tego, co stało się jakiś czas temu w sali muzycznej.

Sprawą Beaty gryzłam się dość długo. Dziewczyna nie zmieniła swojego postanowienia i więcej jej na zajęciach nie zobaczyłam. Siłą rzeczy, nie widywałam jej też w szkole. Czasem tylko mijałyśmy się gdzieś na mieście i po jej oczach widziałam, że nie potrafi zapomnieć. Zaraz po maturze przeniosła się do większego miasta na studia i właściwie straciłam z nią kontakt. Jednak zawsze o niej pamiętałam i miałam wielką nadzieję, że spotkała wreszcie odpowiedniego chłopca. I że będzie tak szczęśliwa jak ja.

Bo ja szczęśliwa byłam. Od momentu, gdy zdecydowaliśmy, że chcemy być ze sobą na zawsze, wydawało mi się, że świat zwariował albo że po prostu śnię. Ten okres znów mogłabym porównać do kalejdoskopu, który za każdym poruszeniem przywoływał sceny i wydarzenia, zawsze jednak w radosnym kontekście. Wyciągałam je z pamięci jak ze szkatułki, co i rusz w innej kolejności i inaczej nasycone wspomnieniami. Więc była i suknia w kolorze leśnego fiołka, którą Blue uszyła mi własnoręcznie. Była i mała kaplica na otoczonym brzożami wzgórzu. Był też młody ksiądz, który na mszę przyjechał rowerem. Wiatr, wcale nie późnoletnio, szarpał mi sukienkę i sypał na nią listki złotawych już brzoż. Zachwycony Szymek wyjmował mi je z włosów, a Blue, wyjątkowo, zrobiła nam artystyczne zdjęcia. Oprócz nas i mojej mamy był jeszcze tylko Gerard. Od Szymka nikt i do tej pory nie wiem dlaczego. Mogę się tylko domyślać, ale mój mąż nie chciał mi niczego powiedzieć. Ilekroć pytałam go o rodzinę, milkł nagle i robił się bardzo zły. Dlatego to wspomnienie schowałam głęboko i nauczyłam się nie psuć nim innych. Nie wiem, co zaszło między Szymkiem i jego bliskimi, ale, metodą Blue, nauczyłam się nie dociekać spraw, na które nie miałam wpływu.

Po ślubie wszystko potoczyło się szybko. Mama podarowała mi działkę, na której chcieliśmy z mężem postawić dom, Szymek sprzedał swoje lokum i przeprowadził się do mnie. Dom rósł w imponującym tempie, ale jak miało być inaczej, skoro do fundamentów i ścian oprócz zaprawy szło tyle serca?

Może dlatego potem musiało się wydarzyć tyle zła? Bo świat nie lubi braku równowagi?

5 października 2015

Brr... Zimno! Naciągam mocno na siebie poszwę, w której ciągle tkwi letni wsad, czyli koc. A początek października straszy już chłodnymi porankami. Nie cierpię zimnej jesieni. Tego burowienia przyrody, kałuży na chodnikach, w których odbija się brudne niebo, i słońca, grzejącego tak słabo, że prawie wcale. To taki czas, kiedy, jak nigdy, potrzebuje się ciepła. Ciepła domu, ciepła policzka tej drugiej osoby i wspólnych rozmów przy herbacie z imbirem. U mnie robi się teraz zimno. Bardzo zimno. Tak zimno jak rok i dwa lata temu. Może powinnam się już przyzwyczać, ale jakoś nie potrafię.

Nie chce mi się wychodzić z łóżka. Czekam, aż M pójdzie wreszcie do pracy, a on, jak na złość, kręci się po domu spokojnie, jakby wcale nie zamierzał dzisiaj wyjść. Nie lubię wspólnych poranków, kiedy nie potrafimy sobie powiedzieć nawet „dzień dobry”, a cóż dopiero zapytać: „Nie idziesz dzisiaj do pracy?”. Taka prosta komunikacja, codzienna i nudna do obrzydliwości, u nas nie jest wcale możliwa. Omijamy się słowem, wzrokiem i bardzo pilnujemy, żeby nie narazić się na przypadkowy dotyk ciał. Zwłaszcza po takiej nocy jak ta sprzed paru tygodni, kiedy potrzeba seksu przegrywa z animozjami i wzajemną niechęcią.

O tym, co czasem dzieje się w moim łóżku, wie tylko Blue. Wie i rozumie, ale ona rozumiałaby nawet wtedy, gdyby podobna sytuacja nie dotyczyła jej i Gerarda. Co prawda, ich przyjacielskie stosunki przenoszą się też na łóżko, ale czy można przez to powiedzieć, że tak jest bardziej normalnie? Po raz kolejny nie mogę zrozumieć dziwacznych, pokręconych relacji w mojej rodzinie. Mama żyje pod jednym dachem z byłym mężem. Z sympatii robią sobie obiady i kolacyjki i z sympatii chodzą do łóżka, ani myśląc o poszukiwaniu nowych partnerów. Ja miałabym wszelkie prawa do tych herbatek i sympatycznych seksów jako ciągle małżonka M, a przecież... Może gdybym miała inne wzorce, mniej rozumiejącą i akceptującą matkę, nie popadłabym w taką beznadziejność, ale... Stop! Nie będę obciążać

najlepszej matki odpowiedzialnością za swoje nieudane małżeństwo.

Nie potrafię tylko przestać myśleć o tym, dlaczego M odsunął się ode mnie. Przecież cały ten rok po ślubie był taki piękny. Dom rósł szybko. Śmiałyśmy się, że chyba od słońca, deszczu i naszej miłości. A wszystko szło tak dobrze. Tak cholernie dobrze! Więc dlaczego? Co się mogło stać? Znając skrytość i zawziętość M, tego nie dowiem się nigdy. A tej jesieni to tak naprawdę nie lubię dopiero od dwóch lat. Od momentu, kiedy nasze małżeństwo i plany przestały istnieć. Wiem tylko, że to był listopad. Jeszcze wieczorem piliśmy herbatę i zastanawialiśmy się, jak urządzić salon. Jeszcze potem byliśmy ze sobą. Pamiętam, jak M przeplatał palce przez moje włosy i szeptał: „Moja Łucka. Moja”. A następnego dnia, kiedy wróciłam z pracy, świat stanął do góry nogami. Na palcu M nie było już obrączki, a on sam, widząc mnie, zamknął się w sypialni i nie odpowiadał na pytania. Po prostu zniknął, zostawiając zamiast siebie jakiś zły cień, z którym mijałam się w przedpokoju, kuchni i łazience. Nie wyjaśniając niczego, przeniósł się do małego pokoju i rozdzielił nasze życie na pół, a parę dni później zwolnił się ze szkoły, w której oboje pracowaliśmy.

Bardzo nie lubię tych wspomnień. A muszę do nich wracać, by ciągle analizować, szukać i mieć nadzieję, że kiedyś w końcu zrozumiem, co tak naprawdę się stało. Za każdym razem zbiera mi się na płacz, gdy pomyślę, ile razy prosiłam M, żeby ze mną porozmawiał. Czepiałam się jego rękawów, próbowałam zaglądać w oczy, bezustannie pytając: „Co ja takiego zrobiłam? No co? Powiedz mi. Niech się już w końcu dowiem, za co to wszystko. Słyszysz?!”. Ale M milczał. Z czasem zaczął sobie tylko pozwalać na półsłówka, pojedyncze wyrazy i zdania, które dotyczyły wyłącznie naszej teraźniejszości. Przeszłości – nigdy. Odwracając wzrok, pytał, jakie płytki ma położyć w łazience. Albo czy półkę na wina robić w kuchni czy w piwniczce. Wrzeszczałam wtedy na niego, żeby w końcu przestał! Żeby przestał budować ten dom, który już nie może być dla nas. Wzruszał ramionami i natychmiast po pracy szedł na naszą działkę. Stukał, pukał, wykańczał, a ja siedziałam w domu i próbowałam nie płakać. Bo przecież mieliśmy to robić razem! Razem wybierać każdy detal, dopieszczać szczegółikami i udomawiać nasze gniazdo.

– Daj spokój – powiedziałam pewnego dnia, gdy zapytał o taras. –

Daj spokój. Czy ty nie widzisz, że ja już nie mam siły? Sprzedajmy ten dom.

Spojrzał na mnie zaskoczony, a ja miałam ochotę go bić. Najpierw mnie odepchnął, a teraz dziwi się, że nie mogę rozmawiać o miejscu, które tak bardzo hołubiliśmy w marzeniach? I które miało być dla nas na zawsze?

– Sprzedamy dom i podzielimy pieniądze. Weźmiesz tyle, żeby zwróciła się twoja kawalerka. Weź nawet więcej. Ja zostanę tutaj.

M nie wypowiedział się ani słowem na temat tego, w jaki sposób zaplanowałałam nasze życie. Dalej pracował przy domu, dalej stawiał ściany przyszłości, podczas gdy fundament dawno już się wykruszył. Ja miałam dość. To dlatego szybko znalazłam agenta, który stwierdził, że z tak pięknym miejscem nie powinno być żadnego problemu. Miał rację. Miał taką rację, że do tej pory nie potrafi znaleźć kupca na nasz dom. A my? My dalej żyjemy obok siebie. W mieszkaniu, które już dawno powinno być wynajęte. W mieszkaniu, które nie może doprosić się remontu i gruntowanego sprzątnia. Wszystko jest nie tak. Wszystko...

W nagłym przypiływie żalu wyskakuję z łóżka i wybiegam z pokoju. M je śniadanie, patrząc przez okno. Dopiero gdy wpadam do kuchni, przestaje się uśmiechać do sikorki, która za szybą kołysze się na kuli ziarna.

– Niech cię szlag! – Wiem, że ciągle rzucam tym samym repertuarem, ale mam to gdzieś. – Niech cię szlag za to, że nawet dla sikorki masz uśmiech, którego mi skąpisz. Niech cię szlag za to, co zrobiłeś. Za to, że w jeden dzień zniszczyłeś to, co było między nami! Niech cię szlag za to, że ci zaufałam!

M najpierw patrzy w szoku na moje rozczochrane włosy. Już nie ma schludnie uczesanego do spania warkocza! Już nie ma Łucki, która ten warkocz przełoży przez ramię pod zachwyconym spojrzeniem męża. Nie ma. Nie ma. Nie ma.

Ostatnie słowa powtarzam chyba na głos, bo M odpowiada:

– Masz rację. Mojej Łucki nie ma od dwóch lat. A z twoimi życzeniami... Uważaj, jeszcze ci się spełnią.

Dawno nie powiedział do mnie tylu słów. Patrę na niego zaszokowana i naraz zaczynam dygotać, bo zdaję sobie sprawę, że

życzyłam mu śmierci.

– Parę dni temu nazwałeś mnie dziwką – próbuję się bronić i ująć znaczenia słowom, którymi obrzuciłam M.

– Nie skłamałem. – Jest irytująco lakoniczny i sprawia wrażenie kompletnie niezainteresowanego. Odgryza kolejny kęs kanapki i znów patrzy na ptaka.

Wściekła podbiegam do okna i uderzeniem pięści w szybę płoszę sikorkę.

– Popatrz w końcu na mnie! Popatrz! – Przysuwam się do niego twarzą. – Poświęć mi tyle uwagi, co temu ptakowi! W nocy umiesz mnie pieprzyć, a w dzień nawet nie jesteś w stanie spojrzeć mi w oczy?

Nie dbam o to, że znów go zaskakuję słownictwem i sobą. Nie dbam! Łucka-księżniczka, której nie wolno przeklinać i mieć krótkich włosów. Madonna z piedestału strącona, psiakrew! Chciałabym go za to bić! Bić! Bić za wszystko! M mocno łapie mnie za pięść, drugą dłonią przytrzymuje moje lewe ramię, którym próbuję się na niego zamachnąć.

– Chcesz bić za prawdę? To nie ja cię zdradziłem – mówi spokojnie. – I to nie ja zepsułem wszystko. – Stoi teraz nade mną, a potem ciągnie mnie do przedpokoju i stawia przed lustrem. – Przypatrz się sobie i skończ wreszcie z tymi oskarżeniami.

– Chyba zwariowałeś! – Odwracam się do niego twarzą i znów próbuję uderzyć. M jest jednak szybszy i wykręca mi ręce do tyłu. Wiem, że powinnam być spokojna, że powinnam tę sprawę rozegrać jak Łucja-księżniczka, ale tego właśnie nie potrafię. Miotam się w jego uścisku, a słowa coraz trudniej przechodzą mi przez gardło: – Z kim? Z kim niby cię zdradziłam? No, z kim?!

– Przestań wreszcie udawać. Nie mogę tego znieść. – Krzywi się i odpycha mnie od siebie. – Ja mam wymienić imię twojego kochanka? A nawet jeśli, to po co? To i tak już bez znaczenia. Przynajmniej dla mnie.

Wzrusza ramionami i idzie do kuchni. Znów siada przy stole i bierze do ręki kanapkę. Kula ziarna za oknem wciąż jeszcze się buja, rozkołysana ptasimi pazurkami. Patrząc na M oniemiała, rozmasowując sobie spuchnięte nadgarstki. Przecież ja nigdy...

– Przecież ja nigdy cię nie zdradziłam... – Podchodzę znowu do niego,

prosząca i już spokojna. Muszę ten idiotyzm, to wielkie nieporozumienie, wyjaśnić teraz. Teraz, gdy M w końcu zaczął ze mną rozmawiać. Kucam przy krześle i mówię cicho: – Przecież ja ciebie kochałam. I tyle miłości na marne? Te plany? Co ty mówisz? Co? Ja nigdy z nikim nie byłam. Nawet przez te ostatnie dwa lata, gdy my... gdy ty... – Nie wiem, jak ubrać myśli w słowa. Szok nie pozwala mi się skupić, a w piersiach czuję ból. – Szymon! – wołam w końcu z rozpaczą.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu wypowiadam jego imię. Po tym wszystkim, co się stało, przestaliśmy się do siebie zwracać po imieniu. Jeśli było trzeba, mówiliśmy bezosobowo, a ja, w myślach, nazywałam Szymona po prostu M. Od męża. Dawno nieużywane słowo okazuje się jednak jakimś wytrychem do mężczyzny, który powoli odwraca wzrok od okna. Widzę, że drga mu kącik ust, gdy powoli wyciąga rękę w kierunku mojej twarzy. Nie podsuwam się ani o milimetr, czekając na jego dotyk. Jednak w ostatnim momencie Szymon przyciąga dłoń do siebie. Odsunięte zbyt mocno krzesło uderza o lodówkę, a sekundę później drzwi z trzaskiem wpasowują się w ramę futryny.

Zostaję sama. Czuję się tak, jakby ktoś wcisnął pauzę. Jakby wszystko zatrzymało się w miejscu. Krzesło – uciekające od stołu, okruszki nierozgarniane przypadkowymi ruchami łokci. Statykę zaburza tylko kropla herbaty na blacie, w której rozmaka odrobina chleba. Marazmowi nie poddaje się też sikorka za oknem. Zawisa znów na kulce, a spod jej dzioba wylatują pestki i tłusty miąższ.

6 października 2015

Zawsze, kiedy wchodzę do mieszkania, przez chwilę po zamknięciu drzwi czuję się tak, jakbym miała zemdleć. Kontrast między jasnością tego, co na zewnątrz, a ciemnym, ponurym przedpokojem jest nie do przyjęcia. Oczy wariują i wszędzie widzą jasne plamy. A potem okazuje się, że plamy i owszem są. Tylko innego koloru. Ciemne punkciki kropkują plafon, pozwalają się sączyć światłu jak przez sitko. Podobne punkciki pstrzą lustro z przydymioną przez czas szybą i boazerię, a na szare linoleum nie mogę już patrzeć! Jak ja tego mieszkania nie znoszę! Nie znoszę tu być, nie znoszę go sprzątać i nie mam już serca do remontów czy upiększeń. Jednak dziś... jednak dziś muszę coś zrobić, bo czuję, że w przeciwnym razie oszaleję. Poza tym... nie mam żadnego innego miejsca. Żadnego domu, o który chciałabym i mogła dbać. Bo przecież piękny, nowy budynek, który stoi na skraju miasta, nie jest tak naprawdę mój.

– Nie przejmuj się. Zostaw. Nie naprawiaj. – Szymon machał ręką na to mieszkanie. – Za chwilę będziemy mieli to swoje najwłaśniejsze miejsce na ziemi. Tam będziesz sobie rządzić i sprzątać.

Jakie to śmieszne! Marnowaliśmy nasze najpiękniejsze wspólne lata mrzonkami o przyszłości, całkowicie ignorując terażniejszość – jedyny aspekt, którego dla siebie mogliśmy być pewni. Każdą złotówkę i każde wolne pięć minut przeznaczaliśmy na budowę domu. Poślubne wakacje nigdy dla nas nie nadeszły, bo zawsze ważniejsze były najpierw pustaki, potem drzwi wejściowe, a jeszcze potem meble do kuchni. Mieszkanie? Mieszkanie było tylko po to, żeby się w nim przespać i coś zjeść. I jeszcze bez żalu naderwać stare linoleum czy rozedrzeć oparcie wersalki.

– Nie mogę się doczekać tego naszego domu – powtarzał Szymon. – Swojego własnego fotela, w którym będę mógł posłuchać muzyki z własnego radia.

Dziwiłam się.

– Przecież to – zataczałam ręką po kuchni czy salonie – to też twój

dom.

– To tylko etap. Przystanek. Tu nie czuję się jak u siebie.

Powinnam była bardziej się w niego wsłuchać. W te słowa, niby niewinne, ale niosące pewien przekaz, który dopiero zaczynałam rozumieć. Szymon utożsamiał dom z fundamentami i kolorem, na jaki chciał później pomalować ściany. Zaczynał od zewnątrz i myślał, że potem łatwo będzie w to wszystko tchnąć duszę. Albo był idiotą, albo rzeczywiście sądził, że ściany są ważniejsze od pieca. Albo może tylko był niedojrzały i powiem, że wolę wierzyć w tę ostatnią wersję niż sądzić, że aż tak bardzo się co do niego pomyliłam. Zresztą teraz to już nieważne. Muszę zacząć odkręcać błędy z przeszłości. Przyhołubić to jedyne miejsce, które nigdy mnie nie zdradziło. Przeprawić je solidnym sprzątaniami i szybkim remontem.

W związku z tym nie jem nawet obiadu. Zalewam sobie tylko torebkę herbaty w kubku, wiązę chustkę wokół rozlatujących się na wszystkie strony włosów i nalewam wody do szaflika. Ręką rozprowadzam płyn do mycia naczyń. Wzbijam pianę, w którą rzucam ścierkę, i niosę miskę do przedpokoju. Nie muszę się nawet przebierać. Podkoszulek i legginsy nadają się do sprzątanania tak samo dobrze jak i do wyjścia na miasto.

Najpierw łapię się za buty. Wrzucam do garderoby wszystkie stojące na podłodze pary i te, które wyjmuję z półek. Hm, będę musiała sobie kupić jakieś obuwie, bo prócz starych trampek nie mam teraz niczego, co mogłabym włożyć. Kwiatki, fantazyjne noski i obcasiki irytują mnie w tym momencie tak bardzo, że chyba je spakuję i wyniosę do kontenerów. O, właśnie! Przypominam sobie, że dwa tygodnie temu kupiłam satynowo-koronkową sukienkę na ramiączkach. Ją akurat trzeba będzie zwrócić do sklepu. Tylko paragon... Czy ja mam paragon? Zostawiam na chwilę buty i wstaję z kucek. Z reklamówki wypada tylko sukienka. W portfelu mam masę kwitków, ale oczywiście tego najważniejszego brakuje. Natomiast w torebce od kilku dni panuje taki porządek, że jeśli nawet wrzuciłam tam paragon, to ten, rękami Szymka, trafił na pewno do kosza. Wywracam jeszcze kieszenie sweterka, który wisi w przedpokoju. Z jednej wyfruwa dziesięć złotych. Chwilę potem na szafce ląduje zawartość drugiej kieszeni: miedziunka i właśnie paragon. Czekoladka leży brzuchem do góry i wygląda jak

zaspana biedronka, której nawet nie chce się ruszać odnóżami. Rdzawe złotko kusi. Żołądek, w niemej konspirze z okiem i mózgiem, natychmiast upomina się o swoje. Szybko jednak przekonuję się, że łakomstwo nie popłaca. Miedziunkę co prawda trzymam w dłoni, ale muśnięty ręką kwit spada za szafkę. Wyszukuję go prędko latarką, ale palcami dostać już nie potrafię. Zła jak osa, odkładam smakołyk z powrotem do kieszeni i próbuję odsunąć mebel od ściany. Ani drgnie! A przecież wcale ciężki nie jest! Zwłaszcza że nie ma w nim butów. Otwieram drzwiczki i zaglądam do środka, pomagając sobie latarką. Nikłe światło lampy na nic mi w tym przypadku. W ścianie, na wysokości moich oczu, widzę dwie śrubki. A więc mebel został przykręcony do ściany! Robi mi się głupio, bo choć mieszkam tutaj już siedemnaście lat, ani razu nie odsunęłam szafki i za nią nie posprzątałam.

Śrubokręt trzymam obok. W ściennej szufladce pod lustrem, która zawsze intrygowała Szymona. Sugerował, że powinnam chować tam sznur koralu albo perfumy. Teraz widzę, że mocno przesadzał z tą romantycznością, w którą, bardziej niż sama chciałam, próbował wrysować moją osobę.

Ze śrubkami radzę sobie szybko. Odkładam je na półkę i ostrożnie wysuwam mebel na środek przedpokoju. Kołtuny kurzu ciągną się za nim jak pajęczyna, a w pozostałym na ziemi brudzie można by pisać palcem. Paragon buja się na szarych niteczkach przyczepionych do ściany. Odmuchuję go z brudu, wsadzam do reklamówki z sukienką i zabieram się za sprzątanie. Odkurzacz przez chwilę sprawnie wsysa „koty”, by nagle zadławić się czymś jakby tekturą i przestać ciągnąć. Odpinam końcówkę i, znów pomagając sobie latarką, zaglądam do jej wnętrza, a potem długopisem wyszturchuję poszarpany kawałek papieru, który przebija kolorami spod kurzu. Delikatnie zdejmuję paprochy wilgotną ścierką i zamieram nad kawałkiem zdjęcia. Wiem, że jestem na nim ja, i wiem też na pewno, że nigdy go nie widziałam.

Na fragmencie odbitki widać moją twarz i splecione włosy. Naga pierś przykryta jest ręką, która nie należy do Szymona. Pamięć współpracuje niechętnie, jednak powoli odzyskuje dla mnie zdarzenia sprzed dwóch lat. Ściera z nich kurz tak samo jak ja przed chwilą z fotografii. Pomimo że tamtej nocy byłam jak pijana, pamiętam. Już

wszystko pamiętam i wszystko już wiem. I pomimo że nie jest to śmieszne, to właśnie dlatego jest śmieszne. Po prostu śmieszne. Łapie mnie głupawka. Najpierw śmieję się histerycznie, potem zaczynam szlochać, a twarz i oczy protestują przeciwko zmieszaniu z łzami kurzowi. Mocno trę powieki ręką, ale tylko potęguję szczypanie, a do łazienki nie mam siły dojść. Po prostu nie mam siły. Przysiadam na podłodze, a później prostuję nogi i szukam plecami oparcia w ścianie. W rękach ciągle ściskam ten fragment zdjęcia, a przez myśli przelatują mi szybkie: „to dlatego, to wszystko dlatego...”.

Czuję jednocześnie ulgę, że wreszcie wiem, i przeogromną złość na Szymona za to, że na samym początku umiał o mnie zawalczyć, ale o późniejszą prawdę między nami już nie. Na to nigdy nie starczało mu chęci. Gdy coś szło nie po jego myśli, zamykał się w sobie i „rozgryzał” problem nicniemówieniem i czasem. Tylko że o ile przy drobnych sprawach taka zachowawczość wychodziła mu na dobre, o tyle w tej kwestii Szymon połamał zęby, a, pozostając w konwencji porównania, naszemu związkowi wybił je wszystkie. I to on, nie ja, zmarnował nasze uczucie. Najpierw miesiącami o nie zabiegał, tłumaczył, jakie jest ważne, a potem dał się okłamać jednemu zdjęciu i zniszczył wszystko między nami tak samo szybko, jak podarł odbitkę. Gdyby... gdyby nie to, że jej kawałek spadł za szafkę... Gdyby nie to, że wpadł tam też paragon... I wreszcie gdyby nie to, że tak bardzo chciałam oddać do sklepu sukienkę z mojego dawnego życia, pewnie nigdy nie dowiedziałabym się, dlaczego Szymon aż tak bardzo ukarał mnie i – w konsekwencji – nas.

Ale teraz już wiem. Wiem. I dlatego nie pozwolę dłużej się obwiniać. Może nie zaprotezuję naszych relacji; w końcu na wbitym w mięso gnieździe sam z siebie nie pojawia się ząb. Potrzeba czasu. Czasu i ręki dobrego chirurga, żeby sztucznie wypełnić pustkę, a ja w tym momencie nie umiem określić tego, co czuję do Szymona, i czy w ogóle jeszcze coś czuję. Ale muszę mu pokazać, jak bardzo się pomylił! I jak bardzo mnie zranił, nazywając dziwką. Czasem największa dosłowność okazuje się nieprawdą.

Nie ubieram się nawet. Przemywam tylko twarz, przeczesuję włosy i z fragmentem fotografii wybiegam z mieszkania.



Mam szczęście. Nasz samochód dostrzegam już na pierwszym postoju dla taksówek. Przebiegam ulicę bezmyślnie, a pisk hamulców i klakson nie robią na mnie wrażenia. Oczy mam utkwione w Szymku, skadowanym do półpiersi przez samochodowe okno. Podbiegam do rdzawego punto, które wybraliśmy pod kolor moich ulubionych miedziunek i do którego Blue uszyła nam pokrowce w kolorze gorzkiej czekolady. Szarpnię za klamkę. Szymon obraca się w moją stronę z uśmiechem dla pasażera, a potem patrzy w milczeniu, jak wsuwam się do środka, zamykam drzwi i kładę mu na kolanie fragment zdjęcia.

Ta chwila jest moja. Uświadamiam sobie, że faktycznie zgadłam, co zniszczyło nasz związek. Szymon najpierw robi się blady, a później gwałtownie czerwienieje. Dłonie tak mocno wpiera w uda, że aż nabrzmiewają mu żyły.

– Skąd to masz? – Nawet na mnie nie patrzy. Obracam się do niego bokiem (chcę przecież porozmawiać) i odpowiadam pytaniem na pytanie:

– A skąd ty to masz?

Szymon zaciska usta. Widzę, że już mi ucieka w świat spraw, do których nigdy nie miałam dostępu. Nie wiem, jak do niego trafić. Nie wiem, jak zacząć rozmowę, i wcale nie ułatwia mi tego Bolton, który jak na złość przypomina to, czego nie ma już od bardzo dawna.

– Pamiętasz tę burzę, kiedy przyszedłeś do mnie pierwszy raz? Kochaliśmy się przy tej piosence... – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Szymon ma przecież dużo lepszą pamięć, jeśli chodzi o to, co było związane z nami. Bardzo intensywnie celebrował nasze daty i wspomnienia, a w najważniejszą rocznicę pukał do drzwi obuty w te swoje trampki. Bolton sączył mu się z kieszeni bluzy i od razu zbliżał nas do siebie.

Takie wspomnienia wcale nie są teraz na miejscu. Szymon gwałtownie sięga do radia i odbiera głos naszej piosence. Jednak ja nadal słyszę ją w głowie. W pamięci mam zapisany każdy fragment muzyki i wibrato Boltona. Tego już Szymon nie jest w stanie wyciszyć, wygasić.

– Po co przyszłaś? – pyta odpychająco.

– Żeby porozmawiać.

– Nie mamy o czym. – Siedzi wyprostowany i patrzy przed siebie.

Ręce mocno zaciska. Tym razem na kierownicy.

– Szymek! – Znów, tym imieniem, próbuję coś w nim poruszyć. Ale, tak jak mówiła Blue, to dzieciak, ciągle dzieciak, pomimo trzydziestu dwóch lat, które skończył w tym roku. – Szymek, do cholery! Spójrz na mnie! Ja stąd nie wyjdę, słyszysz?! Nie wyjdę, dopóki nie wyjaśnimy tego nieporozumienia!

Krzywi się. Nie lubi, gdy cokolwiek bruka mój księżniczkowy image, a ja coraz bardziej mam tego dość. Chcę, żeby w końcu zobaczył we mnie człowieka, a nie obraz, który utkał sobie z marzeń!

– To nazywasz nieporozumieniem?! – Uderza dłonią w zdjęcie. – Do cholery! Tu nie ma czego wyjaśniać! Ani tym bardziej naprawiać!

– A kto mówi, że ja chcę coś naprawić?! – wpadam mu brutalnie w słowo. – Chcę tylko porozmawiać! W końcu porozmawiać!

– Dwa lata za późno. Mogłaś powiedzieć mi wtedy.

Wybucham śmiechem.

– Chyba kpisz! Wyprowadziłbyś się w pięć minut. A zresztą, masz rację. – Nagle poważnieję. – Powinniśmy byli od razu porozmawiać. Od razu, gdy tylko dostałeś to zdjęcie. Bo ja – kręcę głową – naprawdę nie miałam o czym ci mówić i dlatego tego nie zrobiłam. A ty wzięłeś do rąk jakiś niby-dowód i obraziłeś się na mnie i na cały świat. Nawet nie wiedząc, jaka jest prawda. Normalny człowiek w takiej sytuacji rozmawia. Rozmawia! A nie rujnuje wszystko przez swoje chore domysły.

– To nie jest moja ręka – cedzi Szymon, podtykając mi pod nos corpus delicti – ale na zdjęciu jest moja żona. Co miałem sobie pomyśleć?

– Najpierw miałeś z nią porozmawiać! Gdybym wiedziała... Gdybyś mi powiedział, w ogóle nie byłoby całej tej śmiesznej sprawy, wiesz? Mieszkalibyśmy już w naszym domu, pili herbatę na werandzie i mieli wspólny pokój i łóżko, a nie tylko minuty, w których potrzeba seksu nie pozwala nam zasnąć! – Uderzam dłonią w deskę rozdzielczą i walę w nią tak długo, aż ręka zaczyna nieprzyjemnie pulsować.

Gdybym faktycznie go zdradziła! Ale nie. Nie, tego jestem pewna, choć wspomnienia tamtej nocy rozrzedzone są aptecznym specyfikiem. To było na obozie artystycznym, na który pojechaliśmy z uczniami we troje: ja, Tomasz i Ala. To miało być pięć kreatywnych dni.

Pompowanie w dzieciaki wszelkich możliwych doznań, uwrażliwianie ich na sztukę i przyrodę oraz nauka werbalizowania przeżyć w najróżniejszy sposób. Pomysł był Tomasza, a dyrektorka – wielbicielka novum i zwierzęcego uroku pracownika – przyklasnęła projektowi i wylądowaliśmy w Zakopanem, które skupiało w sobie walory przyrodnicze, historyczne i architektoniczne. Wywoływaliśmy duchy Witkacego, Szymanowskiego i Pawlikowskich. Snuliśmy się po ich domach lub ogrodach, zwiedzaliśmy galerie, a potem goniliśmy wysoko w góry, do których miłością zaraził mnie Szymon. Ta wściekła mieszanka wrażeń mocno działała na uczniów. Milcząc, chłonęli opowieści i architektoniczne smaczki. Magda nawet się popłakała, gdy w Kolibie zagrałam na fortepianie Poemat Fibicha.

Dzieciakom odpuściliśmy dopiero w ostatnie popołudnie. Pozwoliliśmy na zorganizowanie dyskoteki i zagospodarowanie czasu po swojemu, co udało im się tak dobrze, że z ledwością zagoniliśmy ich do łóżek przed dwunastą. Ja także chciałam się położyć, ale Tomasz zaprosił mnie i Alicję do siebie na pożegnalnego drinka. Chętnie sięgnęłam po alkohol, ponieważ tempo pięciu dni było naprawdę wyczerpujące. Trochę się pośmialiśmy, powyglądaliśmy. Kiedy Tomek trzymał na wodzy ręce i swój obleśny dowcip, potrafił być naprawdę sensownym facetem, ale gdy Ala zasugerowała powrót do pokoju, mówiąc, że boli ją głowa, podniosłam się i ja. Tomek jednak poprosił, żebym została na chwilę, bo ma do mnie sprawę. Gdy niechętnie przysiadłam znowu w fotelu, zaproponował, że zrobi herbatę i spokojnie pogadamy. Kręcił się przy czajniku elektrycznym, coś tam mieszał, ucierał, odwrócony plecami, a w końcu postawił przede mną duży kubek mocno pachnącego imbirem napoju. Z przyjemnością pociągnęłam łyk i zakaszlałam. Imbir palił mi gardło i wiercił w nosie.

– Pij. Trzeba się rozgrzać po takich wyczerpujących dniach – powiedział Tomasz.

– Uhm. A o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Łyknął herbaty i pochylił się w moją stronę.

– Chciałbym, żebyśmy zakopali wreszcie topór wojenny. Widzę, że mnie nie lubisz, oskarżasz o uwodzenie małolat i do tej pory jakoś niefajnie mi z tym pomówieniem.

Na chwilę zasłoniłam się kubkiem podniesionym do ust. Było mi

wstyd, że tak mnie wtedy poniosło. Owszem, Tomek potrafił być głupi i odpychający, ale faktycznie nie widziałam, żeby swoich sił próbował na podłotkach. A to z Beatą... Pomyliłam się, po prostu się pomyliłam. Ale bynajmniej nie zamierzałam go za to przeproszać. Ani niczego tłumaczyć. Powiedziałam tylko oględnie, że coś mi się przywidziało i żeby nie miał mi tego za złe. Dodałam, że skoro pracujemy razem, to jakoś musimy funkcjonować, pomimo braku sympatii.

– Aż tak bardzo mnie nie lubisz? – zapytał, robiąc minę głodnego kota.

– Aż tak baaaaaaaaardzo – odpowiedziałam, przeciągając samogłoski.

Tomasz pochylił się nade mną.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem. Nie wieem – wybełkotałam, z przerażeniem obserwując sprzęty pokojowe, które fruwały dokoła mojej głowy. Miałam wrażenie, że ja też unoszę się wysoko pod sufit, że pędzę coraz szybciej i szybciej, by naraz odczuć dojmującą potrzebę snu.

– Muszę sięęę położyć na chwiiile. – Przymykałam oczy, żeby nie widzieć roztańczonych mebli. Tomek odsunął narzutę i lekko pchnął mnie na poduszki, mówiąc:

– Jasne. Jak długo tylko potrzebujesz.

Gdy już leżałam, ze zdziwieniem odkryłam, że mam ogromną ochotę na seks. Byłam jednocześnie i śpiąca, i pobudzona. Ale chyba zwyciężyło poczucie zmęczenia, bo po prostu urwał mi się film. Gdy się ocknęłam, pokój nadal wirował, a ja nie bardzo rozumiałam, co się stało. Podejmowałam wysiłki, żeby coś sobie przypomnieć, ale nie wiedziałam nawet, jak dodać dwa do dwóch. I było mi zimno, bardzo zimno. Próbowałam nakryć się kołdrą, której nie było. I nie było też mojego ubrania. Nagle poczułam, że coś ciężkiego na mnie leży. Z wysiłkiem dźwignęłam głowę i zobaczyłam kompletnie nagiego Tomasza, który lizał mnie po brzuchu. Próbowałam zrzucić go z siebie, ale ręce odmawiały posłuszeństwa. Były tak słabe, że nie potrafiłabym nimi nałożyć spodni, zapiąć stanika, a co dopiero odepchnąć tak potężnego mężczyzny jak Tomek. Zaczęłam się bać i może z tego strachu myśli miałam coraz przytomniejsze. Przerażona rejestrowałam rosnące zaangażowanie Tomasza.

– Spałaś tak słodko, że żal mi cię było budzić. – Ugryzł mnie w udo.
– Ale drugiej strony jak długo można się opierać takiej kotce, która aż się prosi, żeby wreszcie zakleić jej te niebieskie oczęta? Niepotrzebnie straciliśmy tyle czasu. Już dawno mogło być tak fajnie. – Przesunął się do mojej twarzy. – Dobrze jest, lalka, co?

– Puszczaj! – Wytrzeźwiałam w sekundę. Czułam, że siły zaczynają mi wracać. – Puść, bo zacznę wrzeszczeć i zrobi się niezła afera, a kiedy to dojdzie do dyrektorki, opowiem jeszcze historię o małolacie, której nie było. Wierz mi, potrafię zmyślać.

Bałam się bardzo, ale wiedziałam, że próbą obrony mogę tylko rozśmieszyć Tomka i zwiększyć jego zaangażowanie. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. W końcu zszedł ze mnie, mówiąc:

– Nie umiesz się bawić, lalka. Nie wiem, co w tobie widzi ten cieć. Przecież, tyle od ciebie młodszy, pewnie potrzebuje często i dużo, prawda?

Ubierał się odwrócony do mnie tyłem, a ja, owinięta prześcieradłem, zbierałam swoją garderobę z podłogi. Chciało mi się płakać, ale nie mogłam tego po sobie pokazać. Zasłoniłam twarz włosami, a potem zamknęłam się w łazience. Jeszcze trochę kręciło mi się w głowie, a lustro odbijało nieznaną mi twarz. Miałam dwa mocne ugryzienia na szyi i mogłam tylko dziękować Bogu, że na tym się skończyło. Sięgnęłam po ubranie. Ręce, ciągle rozdygotane i jakby cudze, nie trafiały guzikami w dziurki, a założenie stanika pozostawało poza moim zasięgiem. Zwinęłam go tylko i wcisnęłam do kieszeni. Twarz piekła ze strachu i wstydu, więc przemyłam ją zimną wodą. Porządnie przetrąłam też oczy i wtedy zobaczyłam na półce jakieś lekarstwa. Wzięłam do ręki buteleczkę i przeczytałam nazwę, która nic mi nie mówiła. Szybko przebiegłam wzrokiem skład i opis działania. Porównałam go z tym, co działo się ze mną. Skojarzyłam z mocnym smakiem herbaty, zakamuflowanym imbirem. I już wiedziałam. Z buteleczką w ręku pchnęłam drzwi łazienki. Uderzyły o ścianę, robiąc w niej dziurę.

– Ty gnoju! Dosypałeś mi tego świństwa?! – Zawiesiłam Tomaszowi lekarstwo przed oczami.

– Bystra jesteś, lalka. – Nie zamierzał zaprzeczać. – Ale chyba dałem za mało, bo tylko chwilę tarzałaś się po łóżku jak kocica w rui.

A mogło być tak interesująco...

Nie dałam mu w twarz, bo w zasadzie nigdy mi to dobrze nie wychodziło. Albo nie trafiałam w policzek, albo biłam zbyt słabo i dłoń zsuwała się na szyję delikwenta. Powiedziałam zatem Tomkowi stanowczo, żeby więcej nie ważył się mnie tknąć, bo pożałuje, i wyszłam, nie zamykając drzwi.

Nie spałam już tej nocy. Siedziałam na łóżku do rana, okręcona pledem, ponieważ nie byłam nawet w stanie przyłożyć głowy do poduszki. W kółko myślałam, że muszę mieć niezwykle silnego Anioła Stróża.

To, co wydarzyło się podczas listopadowego wyjazdu, podałam Szymonowi w skrócie. Powiedziałam tyle, ile było trzeba, żeby wreszcie wszystko stało się jasne, a potem zamilkłam. Szymon także nie mówił nic. Dalej trzymał ręce na kierownicy i patrzył przed siebie. Ja z kolei patrzyłam na muchę, która uderzała skrzydełkami o szybę. Umiała wpaść do samochodu przez uchylone okno, ale ewidentnie w małym łebku nie była w stanie powtórzyć tej samej trasy, tyle że odwrotnie. Pomyślałam, że jesteśmy jak ta mucha. Umieliśmy głupio wdepnąć w sytuację, chcielibyśmy się z niej wydostać, ale chyba nie było takiej możliwości. Miałam wrażenie, że w aucie robi się coraz duszniej. Że moje wyjaśnienia w żaden sposób nie zbliżyły nas do siebie, a chyba rozrzuciły jeszcze bardziej. Boże! Jak trudno było unikać się w mieszkaniu, a co dopiero tutaj, gdzie gabaryty samochodu wymuszały przykrą bliskość! Szymon dalej nie mówił nic, więc uznałam, że nie ma co czekać na rozgrzeszenie. Chwyciłam za klamkę i otworzyłam drzwi. Mucha skorzystała z okazji i wreszcie przestała bzyzczeć, a ja odetchnęłam świeżym powietrzem i wysiadłam.

– Dlaczego ze mną o tym nie porozmawiałaś? – Słowa męża kazały mi wrócić do samochodu.

Nie umiałam odpowiedzieć na to pytanie. Moje milczenie w tej kwestii było tak samo złe jak pewnie zła okazałaby się nadmierna szczerość.

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Może bałam się twojej reakcji. Może uznałam, że na szczęście nic się nie stało. Może pomyślałam, że to nie była moja wina, a może doszłam do wniosku, że tak po prostu będzie lepiej.

– Byłoby inaczej, gdybym wiedział.

Złapałam go za ramię i zmusiłam, żeby na mnie w końcu popatrzył.

– Pewny jesteś?

Czekałam na odpowiedź, której chyba nie potrafił mi udzielić. Ponowiłam pytanie i poprosiłam, żeby był ze mną szczery.

– Jest za późno na urażoną dumę. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to wszystko sobie wyjaśnić. Może po to, żeby bolało mniej. – Cały czas patrzyłam mu w oczy i czekałam. – Nie byłbyś zły? Nie obwiniałbyś mnie o to, co zaszło? No powiedz! Powiedz wreszcie!

Obrócił twarz w stronę okna.

Puściłam jego ramię i znów chciałam wysiąść, ale przytrzymał mnie za bluzkę jak dzieciak.

– Wiesz, co ja czułem, gdy otworzyłem kopertę i zobaczyłem tę fotografię?! Ty rozebrana i te ręce, nie wiadomo czyje... Moja Łucja?! Tyle starań, tak długo, a ty... ty to wszystko zniszczyłaś! Nie mogłem na ciebie patrzeć i nie byłem w stanie z tobą rozmawiać. – Ostatnie słowo wypowiedział bardzo cicho i ukrył twarz w dłoniach. – Dlatego zrezygnowałem z pracy w szkole i dlatego uciekłem do innego pokoju, choć tak całkiem uciec nie potrafiłem. Bo, do cholery, nie mogłem przestać cię kochać, rozumiesz?! – Wyprostował się i znów patrzył na mnie, nie wstydząc się łez, które zbierały mu się w oczach. – Zagryzałem zęby i przygotowywałem ten dom dla nas, bo myślałem, że może jeszcze się coś zmieni. Że jakoś sobie z tym poradzimy. To dlatego nie umiałem ani się wyprowadzić, ani rozwieść.

– I z tego samego powodu odwiedzałeś mnie w łóżku i traktowałeś jak dziwkę? Nie pocałowałeś, nie przytuliłeś, tylko patrzyłeś, żeby sobie dogodzić?

Znów się krzywi. Znów! Znów! Znów! Księżniczka powinna nosić złote pantofelki i zawsze pięknie pachnieć. Księżniczka nie powinna się tak wyrażać, księżniczka nie powinna dać sobie dosypać do herbaty jakiegoś świństwa. Nie wytrzymuję i wybucham:

– Kiedy ty wreszcie pojmiesz, że ja jestem żywą kobietą, a nie panienką z portretu, który sam wymalowałeś?! Nie jestem od wyglądania cały dzień przez okno i grania Adeliny! Kiedy dostrzeżesz, że na tym twoim obrazku są skazy? Są pęknięcia, a gdzieś tam łuszczy się nawet farba! Szymon, ja żyję! Nie tylko w twojej głowie

i wyobraźni! Nie tylko w ramach obrazu. Rozumiesz?! Żyję. Jestem. Czasem mam ochotę kłąć. Czasem chciałabym nawet głośno beknać, obgryźć zadarty paznokieć czy po prostu opić się tak jak ostatnio! Ale przede wszystkim chciałabym wiedzieć, że mam prawo do błędów i że ty to akceptujesz. Że, do cholery, kochasz nie tylko farbę, ale to, zwłaszcza to, co jest pod nią!

Mogłabym tak jeszcze długo otwierać mu oczy, ale widzę, że w końcu coś do niego dociera. Zapewne mu się to nie podoba, że sama brukam swój wizerunek i dodatkowo namawiam go, żeby uwierzył w tę prawdziwą Łucję, ale to już nie moje zmartwienie. Pytam za to złośliwie, bo taka też potrafię być:

– No więc, jak to było z tym łóżkiem? Tu chciałeś widzieć we mnie księżniczkę, a w łóżku? Co było w łóżku? Nie bój się. Właśnie teraz gramy w otwarte karty. Już bez stawki, więc możemy być ze sobą całkiem szczerzy.

Łapie mnie za przeguby rąk, więc teraz to ja muszę na niego patrzeć.

– Niestety, z tęsknotą za tobą sam sobie nie umiałem poradzić. Nie wystarczyło mi już twoje zdjęcie i walenie konia. – Jest wulgarny, ale przynajmniej autentyczny. Tego dnia błyskawicznie opadają wszelkie zasłony. Zdieramy je z siebie nawzajem bezlitośnie. Odchodzą jak opatrunek z rany, a ropa, krew i poszarpana tkanka wreszcie są prawdą. Niezasypaną talkiem i niezasmarowaną maścią prawdą. –

Musiałem do ciebie przychodzić w taki sposób, żeby się przekonać, że ciągle pozwalasz mi na bliskość. Że może jeszcze nie wszystko stracone. Wiem, to idiotyczne, ale właśnie tak czułem. A że byłem taki? Nawet nie wiesz, jak bardzo musiałem uważać, żeby nie dotknąć twojego policzka czy szyi! I żeby pieśczoła przypominała brutalną zachciankę, a nie czuły dotyk. Rozumiesz to w końcu? Czy jeszcze musimy o tym pogadać?

– Nie. Już wiem wszystko. – Jestem obita słowami. Wysmagana prawdą, o którą sama się prosiłam i z którą nie wiem, co powinnam teraz zrobić. Prędko wychodzę z auta, bo jest mi niedobrze. Szymon tym razem mnie nie zatrzymuje, ale nagły dopływ świeżego powietrza tak. Kręci mi się w głowie, i to na tyle mocno, że opieram się na drzwiach samochodu i przymykam oczy. Dopiero dwukrotnie powtórzona pytanie każe mi unieść powieki i odsunąć się od auta.

– Nie. Nie jadę – mówię już w miarę przytomnie. – Taksówka jest wolna.

Mężczyzna z teczką wsuwa się na tylne siedzenie naszego punto, a Szymon odpala silnik i rusza. Po chwilowej słabości, po wyrzuceniu z siebie wszystkich żali i bólów, znów zostawia mnie samą.



Do domu wracam okrężną drogą, myśląc, że ta nasza rozmowa chyba nie była konieczna. Może jednak łatwiej żyć w niewiedzy, we wzajemnych, niemych oskarżeniach, niż znać prawdę, która wcale niczego nie ułatwi? Ba, mam nawet przeczucie, że teraz będzie gorzej. Że niepotrzebnie tak ostro zamieszałam w naszych relacjach. Że wyłowiłam z nich nie tylko winę Szymona, ale też i swoją. Przez dwa lata byłam pewna, że to mąż rozbił nasze małżeństwo, a ja, biedna Łucja, stara już i niezbyt mądra, paskudnie dałam się nabrać. Tymczasem to przeze mnie nasz dom stoi pusty, a wszystkie nasze marzenia zdechły obok pełnej miski. Doprawdy, miałam istny dar do wikłania się w takie układy! Najpierw nie pomogłam Agnieszce, potem jak dobra przyjaciółka słuchałam i radziłam Beacie, która zakochała się w moim ówczesnym narzeczonemu. Teraz – Szymon. Czy ja byłam głucha i ślepa, czy tylko przekonana o swojej nieomyślności i czystym sumieniu? Wyglądało na to, że faktycznie byłam jak święta Łucja, patronująca ociemniałym. I że jak ona wydłubałam sobie oczy, tyle że z innej przyczyny.

Nie chce mi się wracać do domu. Bo czy ja w ogóle mam dom? Czy jest nim moje M-4, z którego zrobiłam sobie przystanek? Czy może ten dom, który wciąż czeka? Jakie to śmieszne! Mam dwa domy i jestem bezdomna. W ogóle bogato u mnie w te dwójki. Dwóch ojców, z których został ten niebiologiczny. Dwie wielkie miłości – Szymon i Szymon-mąż – z których wyklął się M. Dwie najbardziej charakterystyczne uczennice i wśród nich ta ulubiona, z którą nie mam kontaktu. Wreszcie – dwie Łucje. Długowłosa księżniczka, przekonana, że nie zasługuje na miłość, i przycięta z każdej długości nowa ja. Czy na plus, czy na minus, tego jeszcze nie wiem. W każdym razie jestem odkryciem matematyki. Jak by nie podzielić dwa przez dwa, u mnie wyjdzie zero. No, ale nie całkiem. Przynajmniej Gerard zawsze był i jest.

Gdy przechodzę obok szkoły, robi mi się niedobrze, bo wiem, że za parę dni znów zobaczę Tomka i włączącą na niego Alicję. Od tamtego listopadowego wydarzenia dał mi wreszcie spokój. Oziębły spokój, za który byłam wdzięczna do dzisiaj. Patrzyłam obojętnie, jak emabluje Alę i jak jej się to emablowanie podoba. Było mi doprawdy wszystko jedno, jak skończy się ich zażyłość; Alicja miała swój rozum, a jeśli był on w innym miejscu, niż powinien, to trudno. Nie zamierzałam jej ostrzegać. Była tak skupiona na Tomku, że mogłaby mi zarzucić, że zwyczajnie jestem zazdrosna. Blue miała ulubione powiedzonko, którym nauczyła mnie nie wtrącać się w sprawy innych: „ich cyrk, ich małpy”. Ważne było tylko to, że Tomek się odczepił. Nie wiedziałam jednak, że musiał ulżyć niewyżytemu ego i bardzo po swojemu, tchórzowsko, posłał wykadrowane zdjęcie Szymkowi. Mnie pokazał się nago, ale wobec mojego męża nie był już tak odważny. A jednak osiągnął swój cel.

„Chciałbym, żebyśmy zawsze mówili sobie prawdę. Cokolwiek się przydarzy i jak bardzo mogłoby to zabołec nas jako nas. Obiecujesz?” – Słowa Szymona dopiero teraz nabierają głębszego sensu. Wszystko układa się w całość. Znalazłam brakujące elementy układanki w jeden dzień, choć straciłam na to dwa lata. Nie wiem tylko, co będzie dalej. Co zrobi Szymon, gdy wróci z pracy. Solidnie zachwialiśmy naszą milczącą, niechętną stabilizacją. Rozwaliliśmy jej fundamenty. Ale czy na gruzach da się cokolwiek zbudować? Albo posprzątać je tak, żeby nie zostało śladu?

Przez chwilę mam ochotę pójść do Blue. Przytulić czoło do czoła i poczuć jej łaskoczące włosy na twarzy. Zwierzyć się ze wszystkiego i zapytać, co dalej. Ale mama by mi nie poradziła. Po swojemu zapytałaby tylko, co czuję i jak, a potem powiedziała, że to właśnie moja decyzja. A ja nie czuję nic. Kompletnie nic. Mam w sobie wielką pustkę, której nawet nie umiem określić. Zaczynam myśleć o tym, co się stało, i już wątki rwą się w mojej głowie. Zupełnie jakbym zapadała w płytki sen. Czuję, że jestem zmęczona. Bardzo zmęczona. I że muszę odpuścić na chwilę. Widocznie już zbyt długo gryzłam się tą historią i moje ciało zwyczajnie się buntuje. W dodatku zaczyna mi być zimno. Wczesna jesień w tym roku niemiło zaskakuje temperaturami. Nocą sypcha słupek rtęci do ośmiu stopni, w dzień niechętnie podnosi go

najwyżej o dziesięć. Z domu wybiegłam w samym podkoszulku, rozgrzana przez emocje. Teraz brakuje mi swetra i... miedziunki, która pewnie została w jego kieszeni.

Przyspieszam kroku, bo zimno wślizguje mi się pod koszulkę i wygrywa nawet z legginsami. Może to dobrze, bo w końcu przestaję się skupiać na tym, co się stało, i myślę już tylko o gorącej kąpieli. A potem o ciepłym szlafroku i skarpetach i herbacie z imbirem, którego... nie mam w lodówce i po który na pewno nie będzie mi się chciało pójść na bazar. Trudno. Będzie bez.

Ale widzę, że ta herbata i kąpiel w nieodległej przyszłości i tak będą musiały poczekać. Dopada mnie terażniejszość w postaci sąsiada – staruszka, który wydaje się jeszcze starszy niż parę dni temu. Do starości nie pasuje tylko jego wysoki wzrost. Wiek spowolnił dziadka, powykręcał go, ale nie przykurczył do ziemi. Dlatego teraz mężczyzna ma problem. Usztywnione reumatyzmem ciało nie może dosięgnąć do kupy, którą na chodniku zostawił pies. Nie wiem dlaczego, ale po raz pierwszy zawracam ze swojej przyszłości, z myślenia o tym, co będzie za chwilę, i z drżącej dłoni staruszka wyjmuję reklamówkę. Gówniane sprawy trzeba załatwiać od razu. Mniej wtedy śmierdzą.

– Pomogę.

Zbieram z betonu kupę, w której są ślady krwi, i widzę, że mogę robić zakłady, kto pierwszy – pan czy pies – ucieknie niedołęznej starości. W każdym razie wrzucam worek do kosza i uśmiecham się na to sepleniące: „Dziękuję panience. Panienczka taka młoda i śliczna...”.

Moja pomoc już zostaje nagrodzona. Względność perspektywy dzisiaj nie robi na mnie wrażenia. Jest oczywista. Kiedyś podobne słowa podbiły mi bębenka, teraz uświadamiają coś o wiele ważniejszego. Ciągłe jestem dość młoda, żeby rozpocząć wszystko jeszcze raz. Nie powiem, czuję w tej chwili ogromną złość, że wszystko tak głupio się poukładało. Bo gdyby to faktycznie była zdrada, mam wrażenie, że, paradoksalnie, rozpad naszego związku bolałby mniej. Jednak teraz, oprócz nagle klarujących się uczuć, zaczynam odczuwać ulgę. Ulgę, że wreszcie te wszystkie niejasności między nami znalazły wspólny mianownik, że możemy ten marazm w końcu zostawić za sobą. Że coś drgnęło. Że wreszcie pozwoliło odkaslnąć i wypluć z gardła kłęb

flegmy, która dusiła nas przez tyle czasu.

Swoje mieszkanie też jak najszybciej uderzyłabym w plecy. Albo złapała za nogi i odwróciła głową w dół. Chciałabym, żeby także wykszusiło stęchliznę i niemotę tych kilku lat. Obiecuję mu solidne sprzątanie i wyrzucenie wszystkich gromadzonych na przyszłość sprzętów. Najpierw, po zamknięciu za sobą drzwi, mam ochotę ucałować te moje niedoceniane podłogi. Przeprasić za piętno tymczasowości, za brak czułych gestów i słów, które tak samo potrzebne są drugiej osobie, jak i czterem ścianom. Za lata zaniedbań i braku zainteresowania. Za każdą obluzowaną śrubkę i listwę, której nie chciało mi się przykręcić. Za rozbity klosz od lampy przy umywalce. Za pokapany stearyną dywan. Za stół, na którym Alaska zdążyła już zarosnąć innymi plamami. I za... I za... mogłabym tak wymieniać jeszcze długo. Ale po co? Teraz muszę zacząć przeproszać mieszkanie i głową tego nie zrobię. Na początek otwieram tylko okna i drzwi. Także w pokoju Szymona, który widzę po raz pierwszy od dwóch lat. Tym gestem włączam go z powrotem w strukturę mieszkania, a przeciąg wypycha z kątów zastane powietrze. Firanki i zasłony wybrzuszają się od wiatru, który porusza nawet roślinami doniczkowymi. Oddycham pełną piersią razem z mieszkaniem. Już niedługo zrobię ci porządny peeling, lifting, a potem ufarbuję na nowo ściany – myślę. Tymczasem musi wystarczyć wietrzenie, bo najpierw chcę zająć się sobą.

Wanna – wyjątkowo – jest czysta. Spłukuję ją tylko i wlewam pod strumień wody dużo olejku arganowego, który osiada na skórze w momencie zanurzenia. Na rancie wanny czeka miedziunka – moje codzienne uzależnienie. Ale, nim zasłużę na czekoladkę, najpierw muszę się oczyścić. Szoruję ciało. Docieram nawet do nasady włosów, które ciągną się boleśnie pod dłońią. Chciałabym umyć się jak najdokładniej. Zdrapać wszelkie strupy i wygładzić nierówności. Z uwagą pochylam się nad paznokciami. Pumeksuję pięty i nakładam maseczkę na twarz. Już się nie spieszę. Już nie myślę o tym, jak będę o sobie dbać w swojej nowej, pięknej łazience. Nie zostawiam niczego na później. Jestem tu i teraz.

Z wanny nie wychodzę długo, pozwalając olejкови dopieścić moją skórę. Leżę, ukryta pod pianą, a przez wentylację w drzwiach czuję

chłodny powiew. Moje mieszkanie, a raczej mój dom, wreszcie nabrał w siebie tlenu. Wreszcie odetchnął.

Wychodzę dopiero wtedy, gdy woda robi się całkiem zimna, a w boilerze nie mam już zapasu. Zziębnięta wskakuję w pantofle i okręcam ciało szlafrokiem. Przygładam włosy i już mam iść do sypialni, gdy stukot drzwi wejściowych zatrzymuje mnie z ręką na klamce. Szymon wrócił! Przystaję być odważna i znów zaczynam zgadywać, jak to dalej będzie. Próbuję wyłowić jakikolwiek szmer, który by mi podpowiedział, co robi mój mąż. Cisza. Dopiero za moment słyszę urywany monolog. Szymon mówi cicho, więc jego słowa docierają do mnie piąte przez dziesiąte, ale i tak dosłuchuję się ich sensu. Mąż najwyraźniej rozmawia przez telefon z Erykiem. Przeprasza go?... Drżą mi usta, bo widzę, że Szymek coś sobie przemyślał. Że schował do kieszeni urażoną ambicję i pierwszy wyciągnął rękę do brata, z którym pokłócił się jeszcze przed naszym ślubem. Nie interesuje mnie, co powiedział Eryk. Jestem teraz tylko dumna. Tak bardzo dumna, jak pewnie byłabym dumna z własnego dziecka. Naciskam wreszcie tę klamkę i idę prosto do Szymona, który siedzi na szafce do butów i obraca w rękę telefon. Kładę mu rękę na ramieniu, a wtedy on prosi cicho:

– To teraz mnie dotknij. Dotknij, jak ten pierwszy raz. Wtedy, w pokoju ksero. – Bierze moje dłonie i kładzie sobie na policzkach. Przytulam się czołem do czoła i zamykam oczy.

Cisza, jaką w sobie słyszę, poraża. Myśli, wszelkie myśli są już syte i zasypiają w ciepłe naszego dotyku. Chciałabym tak trwać i trwać, bo nie wiem, co będzie za minutę, i nie wiem, co będzie jutro. Rzeczywistość jest jednak bezlitosna; dzwonek telefonu oddziela nas od siebie. Wyjmuję komórkę z torebki i przez chwilę słucham, co ważnego ma mi do powiedzenia osoba z drugiej strony, a potem rozłączam się i mówię bezbarwnym głosem:

– Znalazł się kupiec na nasz dom.

8 października 2015

Nie rozmawiamy o tym, co będzie z nami, ale co do losów naszego domu jesteśmy zgodni. Chodzimy po ogrodzie i czekamy na kupca. Jakoś nie mamy odwagi wejść do środka. Rozglądamy się tylko wokoło i, założę się, Szymon myśli o tym, co ja. Że tutaj miała być altanka, a między tymi lipami w przyszłości miał zawisnąć hamak. Ze łzami w oczach patrzę na te niewiele wyższe ode mnie drzewa, które już zdążyła naznaczyć jesień. Dom też jest już naznaczony. Czekał tyle czasu, żeby się wykluć, dać się zamieszkać. Ale nie nam. Pod naszą ręką dom zezbuczał i zaśmierdł. Co z tego, że wyczuwamy to tylko my.

Potencjalnym kupcom aż się do niego oczy śmieją. Ona, niska i żywiółowa, biega po ogrodzie i wskazuje palcem.

– Widzisz? Tu posadzimy wisterię. A tu koniecznie musi być budleja! A tu będzie idealne miejsce na plac zabaw! – Urządza go na trawniku, na którym chcieliśmy postawić altankę.

Czuję się, jakbym dostała pięścią w brzuch. W pusty brzuch, dla którego nigdy nie było innej opcji niż właśnie ta pustka. Nie było szans, że kiedyś ziarenko piasku urośnie w perłę i że będę dla niej wybierać ubranka i budować plac zabaw w ogrodzie.

Mąż klientki patrzy na mnie uważnie, tak jakby czytał w moich myślach. Co zobaczył? Skurcz kącika ust czy może nawilżoną łąką tęczówkę? Albo rękę położoną na brzuchu, który tylko z zewnątrz wydaje się normalny?

– Moja żona to jeszcze takie dziecko. – Uśmiecha się przeprasząco.
– Mówi, zanim pomyśli.

On nie mówi wiele i nie zadaje pytań, choć widzę, jak ogarnia wzrokiem nasze sylwetki, takie i razem, i nie razem. Pewnie się zastanawia, dlaczego sprzedajemy dom, i miałby pełne prawo o to zapytać. Sama chciałabym wiedzieć, jakie miejsce i z jaką historią kupuję. Szymon jakby wyczuł wątpliwości mężczyzny, bo miękko obejmuje mnie w talii. Klient dostrzega tę bliskość i chyba czuje się uspokojony, a wzrokiem wędruje teraz na dom. Ocenia rynny i kolor

tyнку. Ogląda komin, na którym imitacja cegieł tak naprawdę wcale się nie prosi o kontakt z dymem.

Budynek z zewnątrz jest czystutki. Tak samo jak jego środek. Fugi świeże i nieoblepione tłuszczem, a podłogi czekają na pierwsze plamy. Lustra, którym nie zaglądaliśmy do duszy, są wolne od naszych przeżyć i emocji. Płytki – idealne – bez zacieków i kropek widocznych nie tylko pod światło. Klienci zaglądają do szaf. Studiują nawet uważnie wnętrza toalety i odpływy w wannach i umywalkach, które są tak nieskazitelne, jakby dopiero co zdjęte z ekspozycji. Albo jakby ciągle tam były, bo przecież nasz dom to ekspozycja. Wrażenie psuje trochę wanna. Klientka patrzy na nią podejrzliwie. Rumienię się ze wstydu na myśl o tym, co zrobiłam parę dni temu. Kobieta analitycznie skrobie palcem zażółcenie, a ja mam dla odmiany prywatną chwilę schadenfreude.

Oględziny wypadają jednak pomyślnie i są chyba tylko po to, żeby upewnić się co do decyzji.

– Właściwie na zakup domu byliśmy zdecydowani już przy pierwszej wizycie tutaj. – Kobieta przekłada przez ramię ciężki warkocz. – Bardzo się nam spodobał.

Mówi to z takim ciepłym uśmiechem, że od razu wybaczam jej nietaktowną reorganizację ogrodu przy pierwszych właścicielach. Miła, mała fryga. Zupełne przeciwieństwo przyciężkawej, raczej spokojnej Łucji. Mam szczerą nadzieję, że wraz z mężem będzie tu szczęśliwa.

– To co? Jesteście państwo na sto procent zdecydowani na sprzedaż?
– Dziewczyna kuje żelazo, póki gorące.

Zerkam jeszcze na Szymka, który wprawdzie nie trzyma mnie już za rękę, ale jest obok. W jego oczach czytam tak ambiwalentne uczucia, że muszę szybko odwrócić wzrok. Zbyt dużo się między nami wydarzyło, żeby móc razem tu zamieszkać, ale decyzja o sprzedaży jest trudna. Bardzo trudna, mimo że podjęta już dawno temu. Ale dopiero teraz zaczynała nabierać wymiaru formalnego, który mieliśmy przypieczętować własnym podpisem u notariusza. Słowo stawało się ciałem, ale sama nie wiem, czy wolałam tę cielesność, szybko przybliżającą nas do rozstania, czy jednak sferę życzeń. W każdym razie nasza przyszłość powoli zaczynała się klarować. Po dwóch latach marazmu w końcu nabrała tempa. W ciągu kilku dni wyjaśniło się

wszystko, a nasz dom znalazł sobie nowych gospodarzy.

Słyszę, że Szymon umawia się z klientem. Ustalają szczegóły spotkania u notariusza, a także termin, do którego mamy usunąć z domu nierozpakowane kartony. Cieszę się, że wziął to na siebie, bo ja próbuję przełknąć płacz szturmujący mi gardło. Niespełnione marzenia, a raczej spełnione, tylko nie spożytkowane, bolą. Bardzo bolą.

Klienci rozmawiają z agentem. Mężczyzna ma minę, jakby wygrał co najmniej milion w totka. Wcale mu się nie dziwię. Wreszcie pozbył się miejsca, które zaczynało psuć mu wizerunek. Uparty, piękny dom pozwolił się sprzedać dopiero wtedy, gdy między nami wszystko było już jasne.

A może jednak? Może warto spróbować? Właśnie w tej chwili? – myślę, idąc powoli do furtki. Wszyscy na mnie czekają, a ja celebruję te ostatnie kroki w swoim ogrodzie. Agent i klienci już wyszli, ale Szymon czeka na podjeździe. Kiedy się z nim zrównuję, kładzie mi dłoń na ramieniu i razem zamykamy za sobą bramkę. Dom patrzy na mnie pustką okien, a ja nie mogę oderwać rąk od klamki. Szymek obejmuje mnie i mówi cicho:

– Tak trzeba. Dobrze o tym wiesz. Niech w tym domu wreszcie będzie radość.

Pozwalam w końcu odczepić swoje palce od ogrodzenia. Daję się nawet prowadzić do auta i, dopiero gdy klienci są już daleko, wybucham płaczem. Beżowe ściany i niebieskie okiennice rozmazują się w brudnej szybie samochodu i łzach, których nie nadążam osuszać chusteczkami.



Wchodzę do mieszkania wyczerpana i od razu idę do siebie. Kładę się na łóżku i w dochodzących z przedpokoju odgłosach usiłuję doszukać się powolnego pakowania. Bo przecież za chwilę sprzedamy dom, Szymon weźmie swoją część pieniędzy i wreszcie rozwiążemy tę dziwną i niekomfortową sytuację, w której znajdowaliśmy się zbyt długo. Zakrywam się całą kocem, bo to jednak boli. Wydaje się... wydaje się końcem wszystkiego. Na brak wyciszenia w mojej głowie koc nie pomaga. Zasuвам więc kotarę, grubą, płócienną, która dobrze izoluje mnie od światła i trochę hamuje natłok myśli. I jakby

spowalnia procesy życiowe. Szczelna tkanina tworzy wrażenie grobu. Bardzo uważnie obserwuję swój oddech, uświadamiam go sobie tak dobrze jak bicie serca. Kiedyś, gdy mąż sypał na mnie liście, a ja leżałam bez ruchu, też się tak czułam. Cienkie jak papier nic powoli zaczynało coś ważyć. Zamknęłam oczy, bo suche drobiny raniły mi rogówkę, i wtedy wyobraziłam sobie, że jestem martwa i że tak samo lekko spadać będą na mnie łopaty ciężkiej ziemi. Tak lekko, bo przecież ja już tego nie poczuję. Przykryta liścianym sarkofagiem oddychałam przez szczelinę, uważając, żeby jesienny pył nie nakruszył mi się do ust. Na głowie, tułowiu i nogach miałam grubą warstwę liści, a pod nimi wielką świadomość siebie.

Teraz czuję się podobnie. Wraz ze sprzedażą domu umarła we mnie nadzieja, że może jeszcze jakoś to poskładamy. Ocalała jedynie ta świadomość. Moje centrum. Moja jedyna stała. Dlatego zaciskam mocno oczy, gdy Szymon odsuwa tkaninę i szeptem:

– Łucja. Idę na pocztę. W skrzynce jest jakieś awizo.

– Tak. Chyba już od kilku dni. Zapomniałam ci powiedzieć – mówię i obracam głowę w kierunku ściany. Szymon wycofuje się i poprawia materiał, a potem słyszę, jak wychodzi z mieszkania. Z domu. Z domu. Muszę wreszcie zacząć stosować właściwe nazewnictwo.

Nie wiem, jak długo leżę, ale chyba długo, bo przez zasłonkę przestaje wsączać się światło. To znaczy, że słońce przestało zaglądać do pokoju. Nic mnie to nie obchodzi. Mogę tak leżeć nawet do następnego dnia. Mogę zasnąć nieumyta i w ubraniu. Już mi wolno.

Po chwili faktycznie sen zaczynać przycięzać mi powieki. Myśli, wszystkie bez wyjątku, stają się nieważne. Odpływają do przegródki z napisem: „Na później/Być może”. Ta faza przedsnu jest taka błoga. Nieistotne, ile masz lat i jak wyglądasz. Nieistotne, kim jesteś i czego w życiu nie osiągnąłeś. Liczy się tylko to, że zaraz zaśniesz.

Jednak łagodne przejście do stanu niebytu nie jest mi tym razem dane. Mózg nie potrafi odciąć się od uszu, które już wiedzą, że Szymon wrócił. Zaspane synapsy próbują połączyć dźwięki, które dochodzą z przedpokoju, z tym, co się faktycznie dzieje. Ale jakoś sobie nie radzą z szuraniem i nieokreślonymi odgłosami. Wolałyby pewnie usłyszeć kroki, trzaskanie drzwiczek, szum odkręconej wody. Cokolwiek, co dałoby się łatwo przyporządkować do obrazu.

Świadomość obecności Szymona w domu całkowicie przegania potrzebę i chęć snu. Przez parę minut jeszcze nasłuchuję, a potem niechętnie opuszczam nogi z łóżka. Stopami trafiam w pantofle i, przecierając oczy, wychodzę do przedpokoju.

Szymon siedzi na szafce od butów, a w złożonych na kolanach rękach trzyma jakiś papier, w który wpatruje się tępo. Podchodzę bliżej, żeby mnie dostrzegł. Żeby się wreszcie poruszył, czy cokolwiek powiedział. Ale nie. Nawet na mnie nie patrząc, podaje mi zadrukowaną, opieczętowaną kartkę.

Czytam jeden raz i potem drugi, bo nic z tego, co przebiegłam wzrokiem, nie rozumiem. Dopiero przy kolejnym podejściu sens literek jest już jasny. Absurdalny, ale jasny. Wiem, że pismo nie było obliczone na efekt, ale po ostatnich rewelacjach nie zdziwi mnie już absolutnie nic. Nie zmusi do płaczu, krzyku, hysterii ani do pytań: „Dlaczego znowu ja?”. Z ironicznym spokojem oddaję Szymkowi pismo.

– Wiesz... Przez cały ten czas dom właściwie należał tylko do ciebie – mówi wolno, jakby nie pojmował znaczenia wypowiedzianych przez siebie słów. Niepotrzebnie zaczyna tłumaczyć mi zawiłości prawno-podatkowe, z których wnioskuje tylko to, że jest winien urzędowi skarbowemu jakieś osiemnaście tysięcy złotych. Pewna, że coś przekręcił, już otwieram usta, żeby zapytać, skąd to wie. Szymon jednak uprzedza moje pytanie.

– Byłem w skarbowce i tam wyjaśnili mi wszystko. Nie mam mieszkania, nie mam domu i jeszcze będę musiał za to zapłacić. Podatek i odsetki. Gdybym wiedział wcześniej, że prawo nie działa wstecz, zrobiłbym to od razu. W ciągu tych dwóch ustawowych lat. A tak, muszę teraz dołożyć do puli jakieś siedem tysięcy.

Zerkam na kalendarz i mówię:

– Termin upłynął parę tygodni temu. Nie da się czegoś z tym zrobić?

Szymon kręci głową, mówiąc, że pytał i próbował tłumaczyć, ale miła pani z okienka naprawdę nie potrafiła mu pomóc. Patrzę na niego i zastanawiam się, co powinnam teraz zrobić i co powiedzieć. Nie przychodzi mi jednak nic do głowy, poza tym, że przez ostatnie dni nadrabiamy zaległe lata w zastraszającym tempie.

– Szymon... – zaczynam. – Szymon... – Kręcę się bezradnie wokół jego imienia.

Uzyskuję przynajmniej to, że wreszcie na mnie patrzy. Że w jego wzroku widzę jakiś błysk i chęć do działania. Gwałtownie zrywa się na nogi, drze kartkę i zaczyna głośno przeklinać. Ja dalej stoję oparta o drzwi i obserwuję, jak miota się po naszym ciasnym korytarzu, w którym zostało jeszcze trochę mebli i sprzętu do wywiezienia.

– Co my teraz z tym zrobimy? – Oczami wskazuję na kawałki pisma ze skarbówki. – I z tym? – Dotykam stopą najbliższego stojącego kartonu.

Szymon patrzy na mnie tak, jakbym zapytała go o rzecz nieistotną albo o taką, która boli. Ale tylko przez chwilę widzę na jego twarzy niezrozumienie, które szybko zmienia się w złość.

– Co my z tym zrobimy?! No to zobacz!

Zanim zdążę go powstrzymać, łapie pierwsze z brzegu pudło i wrzuca je do pokoju. Następne musi już przesunąć, bo jest cięższe. Przy pralce żyły nabrzmiewają mu na szyi tak bardzo, że zwyczajnie zaczynam się go bać. Próbuję coś powiedzieć, ale w ogóle mnie nie słucha. Walczy z pakunkami, karniszami i wszystkim, co przez te lata zgromadziliśmy na potem. Walczy, aż przedpokój robi się zaskakująco duży i nawet jaśniej, pomimo tej paskudnej boazerii. Szymon jest cały czerwony i brudny od kurzu. Stoi z rękami na biodrach i ciężko dyszy.

– Szymon...

Gdy słyszy swoje imię, po raz kolejny wypowiedziane przeze mnie, wcale się nie uspokaja. Przeciwnie. Widzę, że w jego oczach dojrzeva jakiś pomysł, którego znów nie powstrzymam. Mam rację. Szymon robi parę głębokich wdechów, później z furią rzuca się na kant ściany, który już od dawna straszy obłuzowaną listwą. Zrywa ją jednym ruchem, a potem, wciąż głodny adrenaliny, atakuje śrubokrętem następny fragment boazerii. Odrzuca go na podłogę i zrywa kolejne. Widzę, jak bardzo jest wściekły. Ta jego wściekłość jest zaraźliwa. Z nożem idę mu w sukurs. Pierwsza deska odskakuje i uderza mnie w łuk brwiowy. Ale to nic. Rozcieram tylko przez chwilę bolące miejsce i dalej rzucam się skalpować ściany. Jestem dla nich tak samo bezlitosna jak mąż, zwłaszcza że spod boazerii wyzierają piękne kolory, które drewno ochroniło przed wyblaknięciem.

W mieszkaniu nie słyhać niczego oprócz pojękiwania desek i gwoździ. Nie odzywamy się z Szymonem do siebie i na siebie nie

patrzemy. Słyszymy tylko swoje oddechy i sapnięcia. Uderzamy z całą siłą w oporne drewno i triumfalnie odrzucamy kolejne kawałki na środek przedpokoju. Przystajemy dopiero wtedy, gdy oboje łapiemy za ostatnią listwę. Razem zrywamy ją ze ściany i przez chwilę nie wiemy, czy ją odrzucić, czy jeszcze potrzymać, bo kawałek boazerii pozwolił się spotkać naszym dłoniom. Patrzymy na siebie w milczeniu. Szymon ma otarcie na czole i smugi brudu na całej twarzy. Ja pewnie wyglądam nie lepiej, ale co tam! Dyszymy. Ciężko dyszymy, a ja dodatkowo widzę przed oczami ciemne punkty.

– Trzeba było to zrobić już dawno – mówi w końcu mój mąż. – Nie czekać na nowe ściany, ale obłaskawić stare. Nie słuchałem cię... Miałem własne pomysły... – Puszczą nagle listwę i biegnie do swojego pokoju, a potem dopada laptopa. Przez chwilę myślę, że te dzisiejsze przeżycia... że to wszystko to jednak za dużo na niezbyt odporną psychikę i że Szymon zniszczy nawet komputer. Nie wiadomo dlaczego. Jednak on tylko podnosi klapkę i przysiadła na dywanie. Potem w skupieniu wstukuje jakieś litery czy hasła i wraca do przedpokoju.

– Co zrobiłeś? – Miniony dzień bardzo skutecznie odblokował nasze dawne kanały komunikacji. Porozumiewanie się jest znów naturalną konsekwencją życia ze sobą czy obok siebie.

Szymon niechętnie wzrusza ramionami i wbija ręce w dżinsy, rozglądając się po rumowisku, którego jeszcze dwie godziny temu nie było.

– Skasowałem bloga.

– Dlaczego? To było jak... jak bajka – mówię z żalnością. Czy naprawdę wszystko, co kiedyś było ważne, musi dziś zostać zniszczone?

– Właśnie dlatego. – Mąż poprawia stos desek i zbiera narzędzia do skrzynki. – Żyliśmy bajką, która była bardzo piękna. Ty: moja Adelina. Długowłosa i w koronkach. Marzenia o przyszłości, o domu. Bajka może i jest dobra na początku, ale potem musi ustąpić miejsca prawdziwemu życiu. My, pewnie nawet bardziej ja, trzymaliśmy się jej kurczowo i przegapiliśmy tę naturalną ewolucję. Utknęliśmy w przeszłości i przyszłości, zaniedbując to, co jest teraz. A o tym, że chciałem w tobie widzieć księżniczkę, nawet wstydy mi mówić.

Ukarałem cię za to zdjęcie, nie próbując nawet poznać twojej wersji wydarzeń. Bo moja Adelina, moja księżniczka rozpuściła się pod dotykiem innego mężczyzny...

Krzywię się, słysząc te słowa. Są pretensjonalne jak tania bajka, jak... Adelinowy wątek na blogu Szymona. Mąż jednak ma rację, używając takiego słownictwa. Chyba lepiej nie dałoby się opisać naszego związku.

Szymek kończy mówić, dopiero gdy ostatnia deska ląduje na zgrabnym stosiku, a narzędzia wracają do skrzynki. Jeszcze się cofa do swego pokoju, czegoś w nim szuka i po chwili dorzuca na stos maskotkę Rumcajsa i *Dwa lata wakacji*, mrużąc: „Tak trzeba. Tak w końcu trzeba”, a potem niespodziewanie podchodzi do mnie i przeciąga ręką po moich włosach.

– Ładnie ci tak krótko, wiesz? – mówi i szybko się odwraca, jakby speszony swoją szczerością i tym, że faktycznie wrócił z dalekiej podróży, w której byłam jego księżniczką. Zawsze długowłosa, ubrana w suknię i pantofelki z kwiatami. Zamkniętą raz na zawsze w schematach, w których mnie widział. Patrząc, jak kręci się po przedpokoju, nie wiem, co powinnam powiedzieć i zrobić. Na szczęście nie muszę o niczym decydować, bo Szymon sadza mnie na stołeczku, obok stawia drugi i proponuje herbatę.

Gdy na chwilę wychodzi najpierw do swojego pokoju, a potem do kuchni, prześlizguję się wzrokiem po tym, czego dokonaliśmy w jakieś dwie godziny. Przedpokój poszerzył się tak bardzo, jakby oderwane deski dodały mu o wiele więcej niż centymetry. Pomieszczenie paruje kurzem i naszymi emocjami: żalem i na pewno złością, że to, co powinnismy byli zrobić już dawno, zrobiliśmy dopiero dzisiaj. O wiele za późno, szczególnie że ściany mają dla nas niespodziankę. Wcale nie musiały się wstydzic musztardowych kolorów, spękanych i poszarzałych. Godnie i spokojnie wyjrzały spod boazerii soczystymi barwami i informacją, że któryś z poprzednich właścicieli czy najemców mieszkania musiał mieć fantazję, odwagę i umiejętność łączenia kolorów. W niszczycielskim szale nie rozglądałam się dokoła. Teraz aż bolą mnie oczy. To ja mieszkałam w pałacu przedeszkowanym na czworaki? Nie mogę się napatrzeć odcieniom starego złota i grubym kobaltowym paskom, które zdobią kąty i giną pod wybrzuszonymi ku

dołowi pseudokasetonami. Im też obiecuję w myślach koniec ciężkiego panowania, ale na razie nie mogę oderwać oczu od barw, które wcale nie są spłowiałe, a wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że paskudne deski świetnie je zakonserwowały. Kolory są tak intensywne, jakby na ściany rzucono je najdalej parę dni temu. Nie mówię oczywiście o dziurach od gwoździ i odpryskach, które powstały przy walce z boazerią.

– A gdyby tak tylko odświeżyć? I nie przemalowywać? – Szymon staje obok i podaje mi parujący kubek. Ten sam, który niedawno wyrwał z moich dłoni i ukrył u siebie w pokoju. Malinowo pachnie przeszłość i makowo wygląda, bo kwiaty na kubku też nie straciły nic ze swojego uroku. Pytanie męża też jest trochę jak powrót do przeszłości. Jak rozpoczynanie nowego... starym.

Zanim jednak zdążę odpowiedzieć Szymkowi, słyszę cztery stuknięcia do drzwi. Wiem, że to Blue, i wiem, że wybrała nie najlepszy moment na wizytę. Mimo to podnoszę się ze stołeczka i wpuszczam ją do środka.

– Martwiłam się – mówi cicho zamiast „dzień dobry” i traci wątek, zaskoczona i widokiem „remontu” w przedpokoju, i siedzącym na stosie drewna zięciem. Zdziwiona zerka też na dwa kubki z herbatą. Nie komentuje tego jednak i tylko myśli głośno: – Co za idiota przykrył te kolory takim paskudztwem?

Rozgląda się po wnętrzach, a potem z bliska ocenia kondycję farby opuszką palca i paznokciem. Moja mama jest teraz jak dziecko. Nie interesują jej sprawy dorosłych, nie pyta, dlaczego deski odpadły od ścian ani dlaczego Szymon wreszcie wysunął czułki ze swojego pokoju, a tylko cieszy się efektem. Z miłością patrzę na Blue, która z tyłu, z tą chryzantemową fryzurą, robi wrażenie małej, trochę rozczochranej dziewczynki w dżinsowych spodniach. Do pełni wizerunku brakuje tylko odpiętej szelki.

– Powiedziałałabym więcej – nawiązuję do jej ostatnich słów. – Co za idiotka przez tyle czasu trzymała te cudowności ukryte pod boazerią?

Nie wiem, czy Blue mnie słyszy, bo stoi jak zahipnotyzowana.

– Zostawicie? – Ona też zadaje pytanie w taki sposób, jakbyśmy po prostu robili remont. Jakbyśmy przez te kilka lat byli najzgodniejszym na świecie małżeństwem, a przynajmniej takim, które umie na siebie

powarczyć, a potem cicho, ze wstydem, godzić się w łóżku. – To wasze kolory – dodaje nagle, zaskoczona tym, co odkryła.

Nie bardzo rozumiem, co ma na myśli.

– Chyba twoje...?

Kręci głową i mruczy pod nosem:

– Granatowa Łucja i złoty Szymon. Tak was kiedyś widziałam. Zaskakujące. Po prostu zaskakujące...

Już wiem, co ma na myśli. Ten portret. Ta nietypowa malarska fotografia, którą podarowała nam w prezencie ślubnym. Granatowa Łucja i złoty Szymon. Złoty Szymon i granatowa Łucja. Ulubione barwy mamy zyskują nowe znaczenie, powielone na ścianach naszego przedpokoju przez kogoś obcego! Milczymy dobrą chwilę. Najwyraźniej każde z nas próbuje wytłumaczyć sobie ten dziwny zbieg okoliczności po swojemu. Dzwoniąca nagle komórka Szymona staje się nietaktem dnia.

– Przepraszam. Muszę odebrać. – Mąż zamyka się w pokoju.

Blue tymczasem szybko podchodzi do mnie i przykuca.

– Pomyliłam się, kochanie. Miłość ma wiele stron. Nie dwie, nie trzy i nie te cztery. Tych miłości, tych jej twarzy jest tyle, ilu ludzi na świecie. Każdy po swojemu. I Gerard, i ja, i to, co teraz, to pewnie też miłość...

Patrzę na nią zdziwiona. I rozumiem, co ma na myśli, i nie rozumiem. Zresztą to nieważne. Mamie szklą się oczy, gdy mówi:

– Będzie dobrze, Łucja. Tylko tego nie zmarnujcie. – Bierze ręką w posiadanie cały przedpokój. I te kolory ścian, i deski, i kurz, który zdążył już przysiąść na podłodze, i mnie, i otwierające się drzwi od pokoju Szymona. Chciałabym się do niej przytulić, ale jest szybsza. Dotyka lekko mojego policzka i ucieka, w biegu żegnając się z zięciem.

Szymon znowu przysiada obok mnie i bierze do rąk kubek z herbatą. Delektuje się smakiem napoju i nawet przymyka oczy, jakby pismo ze skarbówki wcale nie wyprowadziło go z równowagi. Jakby konieczność zapłacenia olbrzymiego podatku nic nie znaczyła.

Przypominam mu o tym delikatnie.

– Nie dziś i nie jutro. Mieliśmy na to całe dwa lata. Teraz nie musimy się już spieszyć – mówi i nagle zaczyna się dławić. W pierwszej chwili myślę, że źle przełknął herbatę, i już chcę ruszyć mu na pomoc, ale

Szymon powstrzymuje mnie machnięciem dłoni i parska śmiechem. Patrzy na moją minę i śmieje się jeszcze głośniej. Boję się, że zwariował i że chyba jest to zaraźliwe, bo śmiech szturmuje i moje kąciki ust, a potem przenosi się do brzucha i oczu, z których płyną łzy, wreszcie niemające nic wspólnego ze smutkiem. Siedzimy w zdemolowanym przedpokoju. Kurz najpewniej dostał się do każdej szafeczki. Skarbówka każe nam zapłacić olbrzymią sumę. Nasze małżeństwo rozsypało się od braku rozmowy i rzekomej zdrady. Czy to za mało argumentów, żeby się śmiać? Śmiać się do bólu brzucha i łez, które ociera też Szymon?

– „Szefie, widziałeś kiedyś taką piękną katastrofę?!” – Mąż cytuje słowa z naszego ulubionego filmu, a ja nie mogę sobie nie przypomnieć widoku składającego się jak kostki domina wyciągu do transportu drewnianych bali. I tego, że bohaterowie, zamiast płakać nad utratą majątku i obróconą wniwecz inwestycją, śmieją się równie głośno i zaraźliwie jak my.

– Tak powinno być zawsze – mówi Szymon, gdy już trochę ochłoniemy i pomasujemy obolałą przeponę.

– Mówisz, że powinniśmy częściej siedzieć na ziemi, złani potem, i patrzeć na demolkę przedpokoju, zamiast go sprzątnąć? Że powinno nam to wejść w krew? – Komizm, mimo wszystko komizm, sytuacji jeszcze do końca ze mnie nie wyparował, a to, że lada chwila będziemy musieli zapłacić gigantyczny podatek... Zaraz... Ten podatek to za kawalerkę Szymona, a skoro właśnie sprzedajemy dom... Odkryciem dzielę się z mężem, który wzrusza ramionami.

– Wyremontujemy to mieszkanie. Zaczniemy od tego, od czego powinniśmy byli zacząć – mówi i nagle milknie. Mogę się założyć, że myśli o tym samym co ja. Że byłoby inaczej, gdybyśmy w naszych rozmowach poruszali inne tematy niż dom i to, co koło niego trzeba zrobić. Gdybyśmy wyjaśnili wcześniej tę rzekomą zdradę... – Nie wiedziałem, że może być tak dobrze... – odzywa się znów po chwili. – Że nie mieć marzeń i celów to takie błogosławieństwo. Faktycznie, pogubiliśmy się w tej walce o oprawę naszego życia.

Miałabym ochotę przysiąść obok. Wesprzeć ramię o ramię, ale czuję, że na to wszystko jest za wcześnie. Że w tej kwestii być może uda się rozpocząć naszą historię od nowa. A właściwie wrócić do momentu,

w którym zaczęliśmy ją sobie źle opowiadać. Ale to jeszcze nie teraz. Tymczasem pociągam tylko kolejny łyk herbaty, zapewniam Szymona, że ja też się pogubiłam, i z miłością patrzę na mieszkanie, które nie zdradziło nas tak jak dom.

– Co z nami będzie, Szymek? – Wiem, że nie powinnam pytać, ale słowa same wrywają mi się z ust. – Jak to się dalej potoczy?

Jesienny, wczesny zmierzch wsącza się powoli oknami do domu. Melduje się w kątach, umniejsza znaczenie bałaganu i wygładza wszelkie chropowatości. Także te między nami. Jak przyjemnie jest po prostu siedzieć! O niczym nie myśleć i tak samo tej ciszy w głowie nie płoszyć zbyt nachalną rozmową. Nie spieszyć się do niczego i, może przede wszystkim, niczego nie planować. Nie wybiegać w przyszłość. Jeśli pić herbatę, to naprawdę ją pić, a nie zastanawiać się, co będzie za chwilę.

Czuję się tak, jakby ktoś wrzucił mnie na szczyt góry i teraz patrzył, jak mozołę się na czubku, który powinien być ukoronowaniem wyprawy. A u mnie jest odwrotnie. Zamiast poczuć każdym mięśniem wysiłek, włożony we wspinaczkę trud, zamiast poznać dłonią szczeliny, przyzwyczać ją do niewygody i ocierających naskórek łańcuchów, mam od razu koniec wycieczki. Teraz będę musiała ruszyć na dół, odrobić zaległości i poznać wszystko od końca, żeby jakoś posklejać naszą historię. I dopiero gdy całkiem sprowadzę nas do początku, poczuję się tak, jakbym właśnie zdobyła szczyt. Albo zobaczyła ukrytą pod wodą część góry lodowej.

– Chcesz jeszcze herbaty? – zadaję kolejne pytanie, które wydaje mi się teraz bardziej na miejscu. Wprawdzie tę herbatę powinniśmy pić razem już wcześniej. Powinniśmy sobie na nią robić jak najczęstsze przerwy w życiu, ale... ale na nadrabianie zaległości nie jest za późno. Herbata na szczycie góry smakuje równie dobrze. Nawet jeśli pominęło się wcześniejsze etapy wędrówki.

– Poproszę. – Szymon podaje mi swój kubek i tym razem to ja dotykam jego ręki. Spotkanie dłoni po latach jest niemal jak to pierwsze. Wtedy też piliśmy herbatę...

Wchodzę do kuchni, napełniam czajnik, a potem wrzucam do kubków świeże torebki. Woda zaczyna szumieć coraz głośniej, a ja odwracam na chwilę głowę w kierunku okna, za którym coś miga.

Sikorka znów buja się na kulce ziarna. Czas lubi zataczać pętle. To nic, że nie zawsze po tych samych torach.

Kraków–Kowary
15 kwietnia–14 października 2015